



Jeffrey Ford

FIZJONOMIKA

Przełożyła
Iwona Michałowska

SOLARIS
Stawiguda 2007



Fizjonomika
tyt. oryginału: The Physiognomy

Projekt i opracowanie graficzne okładki

Tomasz Maroński

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax (0-89) 541-31-17

e-mail: agencja@solaris.net.pl

Dla Lynn, Jacksona i Dereka

- moich przewodników w drodze do ziemskiego raju.

1.

Opuściłem Dobrze Skonstruowane Miasto punktualnie o czwartej po południu. Był jesienny dzień, niebo ciemne, wiał porywisty wiatr. Konie stanęły dęba, przestraszone gwałtownym podmuchem, a ja niemal wypuściłem z rąk dokumenty opisujące przypadek powierzony mi zaledwie przed godziną przez samego Mistrza, Drachtona Nadolnego. Woźnica otworzył drzwiczki powozu. Miał świński ryjek i zepsute zęby, a z jednego wejrzenia na jego grube brwi i głęboko osadzone oczy wyczytałem, że posiada skłonność do fantazjowania i masturbacji. „Na rubież!” - ryknął, przekrzykując wiatr i wypluwając słowa na klapy mojego płaszcza. Skinąłem głową i wsiadłem.

Kilka minut później gnaliśmy przez ulice Miasta ku głównej bramie. Na widok mego powozu przechodnie reagowali osobliwym pozdrowieniem w postaci uniesienia jednego palca, które ostatnio rozpowszechniło się wśród gminu. Chciałem je odwzajemnić, ale zbyt szybko pochłonęły próby odczytania znaków w ich fizjonomii.

Po tych wszystkich latach kręcenia mackami, by wydobyć „duszę”, powierzchowne spojrzenie, wręcz rzut oka na czyjąś twarz potrafił wzbudzić we mnie fascynację. Nos był dla mnie epopeją, usta - dramatem, ucho - wielotomową historią upadku rodzaju ludzkiego. Oko samo w sobie było życiem - a moje oczy myślały za mnie, gdy odjeżdżałem w tę najdłuższą noc z durnym woźnicą, który ani na moment nie dawał wytchnąć koniom, pędzącym jak szalone przez górskie przełęcze skalistego pustkowia, na które zawiodła nas droga. Z pomocą ostatniego wynalazku Mistrza, chemicznego światła o jasnopomarańczowej barwie, zgłębiałem szczegóły

oficjalnego manuskryptu. Miałem się udać do Anamasobii - górniczego miasteczka na północnych terytoriach, ostatniego przyczółka krainy.

Czytałem akta sprawy już tyle razy, że słowa się wytarły. Polerowałem przyrządy tak długo, aż ujrzałem w ich czubkach własną twarz. Wpatrywałem się w oświetlone księżycową poświatą jeziora i sękaty lasy; w stada dziwnych zwierząt, które podrywały się do ucieczki na widok powozu. Gdy zaś blask Mistrza począł przygasać, przygotowałem zastrzyk czystego piękna i wstrzyknąłem sobie w przedramię.

W miarę blaknięcia światła moje ciało rozjarzało się coraz bardziej, a przed oczyma duszy objawił mi się obraz z manuskryptu: biały owoc, rzekomo rosnący w Ziemskim Raju i posiadający różnorakie właściwości nadprzyrodzone. Mówiono, że od lat tkwi umieszczony pod szkłem na ołtarzu kościoła w Anamasobii, nigdy się nie psując - przeciwnie, zawsze olśniewając idealną świeżością.

Przed laty miejscowi górnicy, wydobywający złoża spiry zalegające pod górą Gronus, przebili się przez ścianę do dużej, naturalnie uformowanej komory z oczkiem wodnym i znaleźli tam ów owoc, trzymany przez uwiędłą dłoń zmumifikowanych zwłok. Historia tego odkrycia na pewien czas wzbudziła zainteresowanie w Dobrze Skonstruowanym Mieście, większość mieszkańców uważała ją jednak za prymitywną bajkę wymyśloną przez szaleńców.

Powierzając mi tę misję, Mistrz z gromkim śmiechem wspomniął o lekceważących uwagach na temat rysów jego twarzy, które wyszeptalem w poduszkę przed trzema laty. Oszołomiony jego wszechwiedzą, patrzyłem bez słowa, jak wbija sobie w szyję strzykawkę czystego piękna. Gdy tłok wciskał w jego wybrzuszoną żyłę fioletowy płyn, na twarzy Mistrza począł wykwitac uśmiech.

- Ja nie czytam - rzekł lakonicznie, wyjmując igłę - ja słucham.

Ugryzłem biały owoc, a wtedy coś z niego wyleciało, trzepocząc skrzydłami, miotając się po wnętrzu powozu, wplątując w moje włosy. Potem to coś znikło, a naprzeciw mnie siedział mój Mistrz, Drachtan Nadolny, i uśmiechał się. „Na rubieżę” - rzekł, częstując mnie papierosem. Ubrany był na czarno, a na głowie miał zawiązaną damską chustę, także czarną, zaś te aspekty jego fizjonomii, które przed laty odkryły przede mną jego zabójczą ambicję, zostały podkreślone różem i kreską. W końcu rozpadł się niczym układanka, a mnie zmorzył sen.

Śniłem, że powóz zatrzymał się na jałowej, smaganej wiatrem równinie z zamglonym widokiem na odległe, skąpane w blasku księżycy góry. Temperatura znacznie spadła, a gdy

wypadłem z kabiny powozu, pytając niecierpliwie o przyczynę postoju, moje słowa przybrały postać pary. Absolutna czystość nieba i miriady gwiazd nad głową zamknęły mi usta. Patrzyłem, jak woźnica odchodzi o kilka jardów od powozu i czubkiem buta zaczyna kreślić wokół siebie okrąg. Następnie stanął pośrodku i wymamrotał coś w stronę gór, a gdy się doń zbliżyłem, rozpiął spodnie i zaczął oddawać mocz.

- Cóż to za idiotyzmy? - zapytałem. Zerknął na mnie przez ramię.

- Zew natury, ekscelencjo - odparł.

- Nie - sprostowałem. - Mam na myśli ten okrąg i słowa.

- Taki tam drobiazg - odparł.

- Wyjaśnij - zażądałem.

Dokończył swoją czynność, zapiął spodnie i obrócił się twarzą do mnie.

- Widzę - rzekł - że ekscelencja nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy.

W tym momencie jakiś szczegół w karykaturalnie wydatnych płatkach jego uszu wzbudził we mnie podejrzenie, że Mistrz zaplanował tę całą wyprawę po to, by się mnie pozbyć za moje szeptane niedyskrecje.

- Co takiego? - zapytałem.

Ruszył ku mnie z uniesioną ręką, a ja począłem się kulić; on jednak niespodziewanie położył mi dłoń na ramieniu.

- Jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, proszę mnie kopnąć - rzekł i pochylił się przede mną, zarzucając długie poły płaszcz na plecy, by odsłonić cel.

Kopnąłem siedzenie przede mną i obudziłem się wewnątrz powozu. Otwierając oczy, czułem już, że się zatrzymaliśmy i że poranek w końcu nadszedł. Za oknem, po lewej stronie, ujrzałem stojącego mężczyznę, za nim zaś prymitywne miasteczko, w całości zbudowane z drewna. Nad miastem górowało coś, co wziąłem za górę Gronus, niewyczerpane źródło błękitnej spiry, minerału, dzięki któremu działały piece i silniki Dobrze Skonstruowanego Miasta.

Zbierając swoje rzeczy, dokładnie przyjrzałem się obcemu. Czaszka pochodzenia końskiego, oczy szeroko rozstawione, szczeka masywna - całkowicie dobroduszny i nieskuteczny urzędnik polityczny. Ocenilem, że mogę mu zaufać, i przygotowałem się na spotkanie. Gdy otworzyłem drzwiczki, mężczyzna przestał pogwizdywać i podszedł do mnie.

- Witamy w Anamasobii - rzekł, wyciągając odzianą w rękawiczkę dłoń. Jego otyłość maskowała wydatna broda, wysuniętą górną szczękę - obfitość ciała wokół dolnej.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Burmistrz Bataldo - przedstawił się.

- Fizjonomista Cley - odparłem.

- To dla nas zaszczyt - rzekł.

- Macie kłopoty? - zapytałem.

- Ekscelencjo - wystękał, jakby za chwilę miał się rozplakać - w Anamasobii grasuje złodziej... - Po tych słowach chwycił moją walizkę i razem ruszyliśmy utwardzoną drogą gruntową ku jedynej ulicy miasteczka.

Po drodze burmistrz pokazywał mi poszczególne budynki i rozwodził się nad ich pięknem i użytecznością. Testował moją uprzejmość barwnymi opowieściami o miejscowej historii. Zobaczyłem ratusz, bank, tawernę - wszystkie zbudowane z jasnoszarego, pełnego drzazg drewna, kryte łupkiem. Niektóre, choćby teatr, były całkiem spore i prymitywnie przyozdobione: na części desek wyrzeźbiono twarze, zwierzęta, błyskawice i krzyże. Na południowej ścianie banku ludzie wyryli swoje imiona, co zachwyciło burmistrza.

- Nie mogę uwierzyć, że tu żyjecie - mruknąłem do niego ze współczuciem.

- Na niebiosa, ekscelencjo, jesteśmy zwierzętami - odparł, kręcąc powoli głową - lecz bez wątpienia potrafimy wydobywać błękitną spirę.

- Tak - przyznałem - i to jak dobrze. Pewnego razu jednak, podczas wystawy w Hali Nauk Dobrze Skonstruowanego Miasta, widziałem małpę, która pięćset razy napisała piórem na pergaminie słowa: „Nie jestem małpą”. Każda linijka była starannie wykaligrafowana.

- To cud - rzekł burmistrz.

Zaprowadził mnie do żalosego, czterokondygnacyjnego budynku w centrum miasteczka, o nazwie Hotel de Skree.

- Zarezerwowałem dla ekscelencji całe czwarte piętro - oznajmił.

Powstrzymałem się od komentarza.

- Obsługa jest doskonała - dodał. - Kremat w gulaszu smakuje wybornie, a wszystkie napoje są gratis.

- Kremat - wycodziłem przez zęby, ale nie kontynuowałem, gdyż lewą stroną ulicy zbliżał się ku nam stary, błękitny człowiek. Bataldo zauważył, że patrzę na steranego życiem Staruszka, i zamachał do niego. Starzec miał skórę koloru bezchmurnego nieba.

- Co to za potworność? - zapytałem.

- Starzy górnicy tak długo żyją wśród pyłu spirowego, że cali nim przenikają. W końcu zupełnie twardnieją. Jeśli rodzina takiego człowieka jest biedna, sprzedaje go państwu jako spirową skałę za połowę ceny czystej bryły o takiej samej wadze. Jeśli są bogaci, rejestrują go jako „zahartowanego bohatera” i stawiają na wieczność w mieście jako pomnik osobistej odwagi i lekcję dla młodzieży.

- To barbarzyństwo - powiedziałem.

- Większość z nich nie dożywa starości - rzekł burmistrz. - Zawały w kopalni, zatrucia gazem, upadki w ciemnościach, szaleństwo... Ten tu pan Beaton - dodał, wskazując staruszkę - w przyszłym tygodniu zostanie gdzieś znaleziony, ciężki jak kamień nagrobny i nieruchomy jak skała.

Potem wprowadził mnie do westybulu hotelowego i poinformował kierownictwo, że przybyłem. Wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości. Państwo Mantakisowie, zarządzający podupadłą elegancją Hotelu de Skree, byli wręcz podręcznikowymi przykładami fizjonomicznych gaf. Natura ewidentnie zbłądziła podczas tworzenia czaszki starszego pana, czyniąc ją zbyt wąską, by mogła pomieścić prawdziwą inteligencję, i niemal tak długą jak moje przedramię. Gdy całował mój pierścień, wiedziałem już, że niewiele mogę się po nim spodziewać. Ale nie mam, by tak rzec, zwyczaju bić psów. Zaszczyciłem go uśmiechem i aprobującym skinieniem głowy. Twarz pani Mantakis, wydłużona, o ostrych zębach, nosiła natomiast cechy pyska fretki, co znaczyło, że będę musiał przeliczać resztę po każdej transakcji pieniężnej z jej udziałem. Sam hotel, z wyświechtanymi dywanami i połamanym żyrandolem, wołał o pomstę do nieba swoim szarym bezruchem.

- Jakies specjalne życzenia, ekscelencjo? - zapytał pan Mantakis.

- Lodowata kąpiel o świcie - odparłem. - Poza tym potrzebuję absolutnej ciszy, by móc medytować nad swymi odkryciami.

- Mamy nadzieję, że pański pobyt będzie... - zaczęła staruszkę, ale przerwałem jej machnięciem ręki i zażądałem, by mnie zaprowadzono na pokoje. Gdy pan Mantakis brał moją walizkę i ruszał ku schodom, burmistrz oznajmił, że przyśle kogoś po mnie o czwartej.

- Zgotujemy waszej ekscelencji oficjalne powitanie! - zawołał za mną.

- Jak pan sobie życzy - odparłem i zacząłem się wspinać po rozkołysanych schodach.

Moja kwatera okazała się całkiem przestronna: dwa duże pokoje, jeden sypialny, drugi do pracy, z biurkiem, stołem laboratoryjnym i kanapą. Podłogi skrzypiały, jesienna bryza

północnych terytoriów dmuchała przez źle uszczelnione okna, a tapeta z pionowymi zielonymi pasami i niezidentyfikowanym gatunkiem różowego kwiatu przywoływała myśli o karnawale.

W sypialni z nieprzyjemnym zdumieniem odkryłem egzemplarz „hartowanego bohatera”, o którym opowiadał mi burmistrz. Stary człowiek w górniczym kombinezonie stał lekko pochylony w kącie, podtrzymując długie, owalne lustro.

- To mój brat Arden - przedstawił go Mantakis, stawiając walizkę obok łóżka. - Nie miałem serca wysłać go do Miasta jako paliwo.

Nim wyszedł, zapytałem go:

- Co pan wie o tym owocu z Ziemskiego Raju?

- Arden był przy tym, jak go znaleźli - powiedział swoją głupkowatą, powolną mową. - Jakies dziesięć lat temu. Był całkiem biały i wyglądał jak dojrzała gruszka, w której chce się zatopić zęby. - To rzekłszy, zademonstrował swoje krzywe, żółte zębiska. - Ojciec Garland powiedział, że nie powinniśmy go jeść, bo stalibyśmy się nieśmiertelni, a to wbrew woli bożej.

- I pan kupuje te farmazony? - zapytałem.

- Co takiego? - Uniósł brwi, nie rozumiejąc, co mam na myśli.

- Wierzy pan w to?

- Wierzę we wszystko, w co wierzy wasza ekscelencja - zadeklarował i opuścił pokój.

2.

Studiowałem własne odbicie w lustrze podtrzymywanym przez skamieniałego Ardena, rozważając swój stosunek do powierzonej mi sprawy. O ile było prawdą, że Mistrz zesłał mnie na rubieżę za karę, nie oznaczało to jeszcze, iż mam wykonywać powierzone mi zadanie bez należytej staranności. Gdybym zaniedbał swoje powinności, natychmiast by się o tym dowiedział i kazał mnie zgładzić albo zesłać do obozu pracy.

Byłe dureń nie uzyskałby statusu Fizjonomisty Klasy Pierwszej w ciągu niespełna piętnastu lat. Od czasu do czasu przeprowadzałem niezmiernie precyzyjne dochodzenia fizjonomiczne. Któż, jeśli nie ja, odkrył osobowość wilkołaka latrobiańskiego w ciele sześciolatniej dziewczynki, kiedy bestia siała zniszczenie w miastach leżących zaraz za kolistym murem? Któż wskazał pułkownika Rasukę jako potencjalnego rewolucjonistę i zapobiegł zamachowi na Mistrza wiele lat przed tym, nim niedoszły zamachowiec sam uświadomił sobie, do czego jest zdolny? Wielu, wśród nich sam Drachton Nadolny, uważało mnie za najlepszego w tym fachu, a ja nie miałem zamiaru szkodzić swojej reputacji niezależnie od tego, jak trywialną sprawą i w jak odległym miejscu przyszło mi się zajmować.

Było to, rzecz jasna, zadanie godne co najwyżej któregoś z tych świeżo upieczonych absolwentów, którzy są tak niezdarni, że kaleczą się własnymi przyrządami. Religijne implikacje tej historii wywoływały u mnie specyficzny ból pośladków. Swego czasu próbowałem nakłonić Mistrza, by zakazał wszelkich praktyk religijnych. Ludność Miasta dawno już zastąpiła je kultem Drachtona Nadolnego, wynikającym najpewniej z pragnienia uczestnictwa w jego niezwyklej formie wszechwiedzy. Tu jednak, na rubieżach, nadal oddawano cześć pustym symbolom.

- Niech sobie wierzą w te brednie - odparł wówczas Mistrz.

- Ale to psuje ich charakter! - zaprotestowałem.

- Wcale mnie to nie martwi - rzekł. - Psucie charakterów to moja specjalność. Religia oznacza lęk, a cuda są monstrami. - Wyciągnął rękę i wdzięcznym ruchem wydobyl zza mojego ucha gęsie jajo. Gdy je roztrzaskał o kant stołu, ze środka wyskoczył świerszcz. - Rozumiesz? - zapytał Mistrz.

Właśnie wtedy dostrzegłem, że jego brwi są połączone, a na kłykciach rosną niewielkie kępki włosów.

Zalewało mnie czyste piękno, zmieniając to, co niewypowiadalne, w obrazy, szepty, aromaty. W lustrze, za swym odbiciem, ujrzałem ogród pełen białych róż i żywopłot porośnięty powojem, które następnie przeszły stopniowo w obraz Dobrze Skonstruowanego Miasta. Chromowane iglice, szklane domy, wieże i blanki lśniły w słońcu bardziej gościnnej sfery umysłu. Ale potem i to poczęło znikać, ustępując miejsca posępnemu wystrojowi mojej izby w Hotelu de Skree.

Przez chwilę sądziłem, że narkotyk uraczył mnie jedną ze swoich sztuczek, ściskając dwugodzinne zwykle halucynacje do kilku minut, ale pomyliłem się. Za mną, spoglądając w zwierciadło ponad mym ramieniem, stał profesor Flock, mój dawny mentor z Akademii Fizjonomiki.

Wyglądał całkiem świeżo jak na kogoś, kto dziesięć lat wcześniej pożegnał się z tym światem, i miał bardzo uprzejmy wyraz twarzy jak na kogoś, kto w wyniku moich prześladowań wyładował w jednym z najcięższych obozów pracy - kopalni siarki na południowych rubieżach krainy.

- Profesorze - rzekłem, nie odwracając się, lecz przemawiając do odbicia w lustrze - pański widok zawsze sprawiał mi szczerą przyjemność.

Ubrany na białą, jak niegdyś w akademii, zbliżył się do mnie i położył mi rękę na ramieniu, a ja poczułem jej ciężar, jakby naprawdę tam była.

- Cley - rzekł - posłałeś mnie na śmierć, a teraz mnie wzywasz?

- Przykro mi - odparłem - lecz Mistrz nie tolerował pańskich wykładów z tolerancji.

Pokiwał głową z uśmiechem.

- To było głupie. Przyszedłem ci podziękować za to, że uratowałeś wielkie społeczeństwo przed moimi ekscentrycznymi rojeniami.

- Nie ma pan żalu? - zapytałem.

- Ależ skąd! - zadeklarował. - Zasłużyłem na to, by się usmażyć jak plaster szynki i udusić w oparach siarki.

- W takim razie przejdźmy do rzeczy - rzekłem. - Jak powinienem się zabrać za tę sprawę?

- Dwunasty manewr - odpowiedział. - Anamasobia jest układem zamkniętym. Musisz po prostu odczytać każdy obiekt w mieście, przeanalizować dane i odszukać tego, którego cechy zdradzają inklinację ku przywłaszczaniu oraz religijno-psychotyczną wiarę w cuda.

- Czym charakteryzuje się to ostatnie? - zapytałem.

- Skazą, znamieniem, brodawką lub pieprzykiem, z których wyrastają niezwykle długie czarne włosy.

- Tak podejrzewałem - rzekłem.

- I pamiętaj, Cley - dodał - oględziny muszą być kompletne. Odwróć każdy kamień, zajrzyj do każdej szczeliny.

- Oczywiście - odparłem.

Następnie ułożyłem się na łóżku i poprzez pokój spoglądałem na wizję poruszającego się powoli Ardena i lustra, które w jego rękach przeistacza się w wodospad. Z oddali dobiegały stłumione okrzyki rozkoszy lub przemocy państwa Mantakis, a ja przypomniałem sobie moje ostatnie romantyczne spotkanie.

Pewnej nocy, kilka miesięcy wcześniej, gdy zakończyłem pracę nad sprawą Gruliga - chodziło o odrażające zabójstwo ministra finansów, któremu odcięto głowę - postanowiłem odświeżyć się w Wierchołku Miasta. Wjechałem szklaną windą na dach sześćdziesięciokondygnacyjnej budowli, gdzie pod kryształową kopułą znajdował się bar ze stołami i krzesłami, kobietą grającą na harfie i wieczornym widokiem na obszar tak wielki, że zdawał się całym światem.

Podszedłem do czarującej istotki, która samotnie zajmowała stolik przy oknie, i postawiłem drinka. Nie pamiętam jej imienia ani rysów twarzy, lecz wciąż mam w głowie specyficzny aromat, nie perfum, lecz jakby dojrzałego melona. Opowiadała mi o swoim dzieciństwie, o rodzicach i jakimś problemie, z którym się zmagali, a gdy nie mogłem już znieść tej pustej gadaniny, zaoferowałem dziewczynie pięćdziesiąt nadoli za pojechanie ze mną powozem do parku.

Kiedy tam zmierzaliśmy, przygotowałem dla niej koktajl, a gdy odwróciła wzrok, wlałem do środka sporą dawkę czystego piękna. Prostemu ludowi nie zezwalano na używanie narkotyku, więc pomyślałem, że może to wywołać ciekawy skutek. Wkrótce po wypiciu dziewczyna zaczęła krzyżeć, nawiedzana przez jakąś tajemniczą wizję, więc posadziłem ją sobie na kolanach, by pocieszyć. W końcu stało się jasne, że prowadzi rozmowę ze swym nieżyjącym bratem. Ja tymczasem wciąż usilnie uspokajałem jej ciało.

Gdy legła na marmurowej płycie starego pomnika ofiar wojny, pod ogromnymi, rozkołysanymi dębami, z zadartą spódnicą i nogami skierowanymi ku Psiej Gwieździe, wsunąłem swój instrument rozkoszy w palec wskazujący mojej skórzanej rękawicy, by uniknąć kontaktu z niższą chemią. W mgnieniu oka było po wszystkim; po latach żmudnych ćwiczeń opanowałem tę technikę do perfekcji. „Kocham cię” - powiedziałem i pozostawiłem ją tam. W ciągu następnych tygodni zastanawiałem się, jak często o mnie myśli. Z ciepłym uczuciem melancholii odpłynąłem w sen. Ostatnim, co zapamiętałem, było falowanie koszarnej tapety i zimny wiatr północnego terytorium uderzający o szyby.

O czwartej zbudził mnie głos pani Mantakis.

- O co chodzi? - zawołałem.

- Przyszedł pan Beaton, by zaprowadzić waszą ekscelencję do domu burmistrza - odparła.

Szybko wstałem i zacząłem się odświeżać. Zmieniłem koszulę, uczesałem się i oblizałem zęby. Dopiero gdy wkładałem płaszcz, dotarło do mnie nazwisko Beaton. Nim doszedłem do westybulu, przypomniałem go sobie - i oto stał przede mną, zgarbiony, błękitny, ledwie trzymający się na nogach. Ruszył ku mnie, szurając nogami, i tak powoli, że zdążyłbym w tym czasie wypić filiżankę herbaty, wręczył mi list od burmistrza. Gdy mamrotał, z jego otwartych ust wypadło kilka ziaren błękitnego pyłu i potoczyło się na dywan.

„Ekscelencjo - pisał burmistrz - jako że dziś rano wyraził Pan takie zainteresowanie stanem Beatona, pomyślałem, że może ucieszy Pana okazja do dokładniejszego przestudiowania go. Gdyby podczas wspólnej wędrówki nieuleczalnie zeszywniał, proszę po prostu iść dalej drogą, którą Pana prowadził, a dotrze Pan do mego domu. Z poważaniem, Bataldo”.

Skończywszy lekturę, spostrzegłem, że błękitny człowiek już zdążył zamienić swój ludzki status na mineralny. Nie wydał żadnego dźwięku - żadnego pożegnalnego jęku czy okrzyku, żadnego szmeru ciała ustępującego kamieniowi. Po prostu stał, wpatrując się we mnie pustym, wyczekującym wzrokiem, z wyciągniętą ręką i palcami rozsuniętymi jedynie na tyle, że

zmieściłby się między nimi list. Dotknąłem jego twarzy: cała, nie wyłączając zmarszczek i brody, była gładka jak błękitny marmur. Gdy cofałem rękę, jego oczy nagle spojrzwały w moje i zastygły. Ten nieoczekiwany ruch przestraszył mnie na chwilę.

- Może ogrzejesz w zimie moje mieszkanie - powiedziałem zamiast epitafium. Potem zadzwoniłem po właścicieli.

Gdy pojawiła się pani Mantakis, zapytałem, jak mogę dojść do domu burmistrza. W ciągu niecałych dwóch minut podała mi pięć różnych dróg, z których żadnej za bardzo nie zapamiętałem. Do zachodu słońca pozostało jednak mnóstwo czasu, a ja miałem przynajmniej ogólne pojęcie, dokąd zmierzam.

- Proszę coś zrobić z tym tu Beatonem - powiedziałem. - Wygląda na to, że się zdecydował.

Zerknęła na błękitnego górnika i pokręciła głową.

- Podobno zaraz po narodzinach upuszczono go i upadł na głowę.

Pospiesznie ruszyłem ku drzwiom wyjściowym Hotelu de Skree, a ona trajkotała dalej.

Szedłem pustą ulicą na północ, szukając alejki położonej między sklepem wielobranżowym a tawerną, wymienionymi we wszystkich pięciu opisach drogi. Słońce stało nisko, silny wiatr uderzał we mnie. Idąc samotnie wśród cieni budynków, zastanawiałem się, czy burmistrz zażartował sobie ze mnie, czy też istotnie usiłował zaspokoić moją legendarną ciekawość naukową. Nie ujrzałem w jego twarzy niczego, co pozwoliłoby mi sądzić, że ma odwagę ze mnie dworować, więc porzuciłem podejrzenie o kpinę i skupiłem uwagę na szukaniu drogi. Zimne powietrze dodawało mi wigoru, wytrząsając tkwiące w mym organizmie resztki piękna.

Wkrótce usłyszałem za plecami kroki.

- Ekscelencjo, ekscelencjo! - wołał ktoś, przekrzykując wiatr.

Sądziłem, że wysłali kolejnego przewodnika, ale po odwróceniu się ujrzałem młodą kobietę, niosącą dziecko. Miała na głowie chustę, lecz na podstawie tego, co nie zostało zasłonięte, oceniłem, iż jest dość atrakcyjna. Pozdrowiłem ją.

- Ekscelencjo - rzekła - miałam nadzieję, że zerknie pan na mojego syna i powie mi, czego mogę się po nim spodziewać w przyszłości. - Wyciągnęła dziecko przed siebie i znalazłem się twarzą w twarz z małą, wykrzywioną buźką. Jedno spojrzenie aż nazbyt wyraźnie ukazało mi całą historię. W rysach prostaczka wyczytałem krótką opowiadkę o rozpuszcieniu i upadku wiodącym do śmierci.

- Błyskotliwy? - zapytała, gdy tak studiowałem dziecięce kształty.

- Nie aż tak - odparłem. - Ale i nie całkiem tępy.

- Czy jest jakaś nadzieja, ekscelencjo? - zapytała, gdy już wyjawilem jej wszystkie swoje wnioski.

- Droga pani - odrzekłem zniecierpliwiony - czy słyszała pani kiedyś o mule, który by wydalal złote monety?

- Nie - odparła.

- Ja także. Miłego dnia - życzyłem jej i ponownie ruszyłem na północ.

Gdy wchodziłem w długą alejkę pomiędzy sklepem a tawerną, słońce wskazywało bardzo późne popołudnie, lecz gdy się z niej wynurzył, zapadał zmrok i poczułem pierwsze pomruki wielkiej bestii nocy. Obok jakiegoś krzaka ujrzałem jednego z owych zahartowanych bohaterów, trzymającego tabliczkę z wypisanym ręcznie napisem: TĘDY, EKSCLENCJO. Strzałka pod słowami wskazywała krętą, biegnącą pod górę ścieżkę, znikającą w ciemniejszym lesie.

Wiatr przewiewał mnie na wskroś, każąc iść szybciej. Przekląłem idiotyczny posąg, który sterczał tam, szczerząc błękitne zęby i wytrzeszczając oczy - a wtedy nagle, nie wiadomo skąd, sfrunął wielki czarny ptak i narobił mi na rękaw płaszcza. Wrzasnąłem na niego i ruszyłem śladem jego lotu w górę, w kierunku ośnieżonego wierzchołka Gronusa, gdzie niewątpliwie szalała jakaś potworna zamieć. Plama cuchnęła ananasem i wywoływała we mnie mdłości, ale było zbyt zimno, by zdejmować płaszcz.

Mijając granicę lasu i wstępując w cień drzew, wspomniałem wzrok Beatona, który nagle zwrócił się ku mnie i zamarł... Uświadomiłem sobie, że zapadła noc. Gałęzie były nagie, a ścieżka zasłana stertami żółtych liści. Ponad szkieletowymi koronami jasno świeciły gwiazdy, ale miałem wrażenie, że żadna z nich nie znajduje się tam, gdzie powinna. Zakodowałem sobie, by odplacić się burmistrzowi za życzliwość, gdy będzie musiał stanąć przed mackami. „Zawsze można przeprowadzić operację chirurgiczną” - powiedziałem na głos, by się pocieszyć. Szedłem powoli naprzód, trzymając się ścieżki najlepiej, jak potrafiłem, i żywiąc nadzieję, że za kolejnym zakrętem ujrzę światła domu.

Musiałem myśleć racjonalnie, by zachować czysty umysł. Nie przepadałem za nieznanym. Od dzieciństwa ciemność stanowiła dla mnie jedno z największych wyzwań. Nie miała twarzy ani żadnych rysów, które można by interpretować; nie dawała wskazówek przydatnych w odróżnieniu przyjaciela od wroga. Fizjonomia nocy była wielką pustką, drwiącą z moich

przyrządów i dającą potencjalne schronienie prawdziwemu złu. Nie potrafię powiedzieć, jak wielu moich kolegów po fachu miało ten sam problem i musiało spać przy zapalonym świetle.

Usiłowałem się skupić na zadaniu, rozmyślając o tym, czego mogę się spodziewać i ile czasu zajmie mi odczytanie rysów całego miasta. I właśnie wtedy, przedzierając się przez leśne ostępy, doznałem jednego z tych rzadkich olśnień, które przychodzą bez zastrzyku. „Skoro ci głupcy wierzą, że skradziony owoc ma moc czynienia cudów - rzekłem na głos - może powinienem się rozglądać za kimś, komu po dokonaniu zbrodni diametralnie zmienił się charakter”. Ja sam, rzecz jasna, nie przypisywałem owocowi żadnych nadnaturalnych mocy - uważałem to wszystko za brednie - ale jeśli ktoś wierzył, że owoc robi z niego geniusza, nauczy latać albo uczyni nieśmiertelnym, czyż nie zaczęłby się inaczej zachowywać? Każdego semestru mówiłem moim studentom w akademii: „Fizjonomista to coś więcej niż jego chromowe instrumenty. Uważny, rozumny umysł jest matką wszystkich narzędzi; pozwólcie, by was nakarmił mlekiem zrozumienia”.

Gdy ta monumentalna myśl odciskała się w mojej głowie, wziąłem kolejny zakręt i ujrzałem rezydencję burmistrza. O dwieście jardów w górę stromego na pierwszy rzut oka zbocza przez baterię okien frontowych przebijał blask świec. Już miałem zacząć podejście, gdy usłyszałem za sobą jakieś odgłosy - początkowo ciche i odległe, lecz rosnące wykładniczo z każdym uderzeniem serca. Przez tych kilka chwil, odkąd to coś wyłoniło się z ciemności jak potwór uwolniony z koszmaru aż po moment, w którym zahamowało o cale ode mnie, wierzgając kopytami w powietrzu, miałem w głowie kompletną pustkę.

Potwór okazał się powozem z czwórką koni. Na koźle zasiadał ten sam wieprzowaty mistyk, który mnie przywiózł z Dobrze Skonstruowanego Miasta. Wyszczrzył zęby w blasku zawieszanej w koźle lampy.

- Mistrz kazał mi pana eskortować - rzekł.

Miałem w głowie milion inwektyw, którymi chciałem go obrzucić, lecz wzmianka o Mistrzu natychmiast zamknęła mi usta. Skinąłem głową i wsiałem.

3.

- Gdzie Beaton? - zapytał burmistrz. - Chciałem go wysłać do miasta po trochę lodu.

Żałośnie wystrojeni goście poczęli chichotać. Gdybym tylko miał przy sobie swój skalpel, zrobiłbym z nich makaron, ale skoro nie miałem, pozostało mi uśmiechnąć się i skłonić lekko. W lustrze po drugiej stronie sali obserwowałem, jak burmistrz otacza mnie ramieniem.

- Proszę pozwolić, ekscelencjo, że oprowadzę pana po moich włościach - rzekł. Wionęło od niego alkoholem. Wyśliznąłem mu się zręcznie.

- Jak pan sobie życzy - odparłem i ruszyłem za nim przez ciżbę pijących, palących i trajkoczących niczym małpy gości. Kątem oka dostrzegłem panią Mantakis. Zachodziłem w głowę, jakim sposobem znalazła się tu przede mną. Jakiś pijany dureń zastąpił mi drogę.

- Widzę, że rozmawiał pan z burmistrzem - powiedział, wskazując ptasie ekskrementy na moim ramieniu.

Burmistrz zaniósł się śmiechem i poklepał tamtego po plecach. W morze pustej gadaniny wpleciona była dysharmonijna muzyka grana przez starych ludzi na dziwnych, zrobionych z kawałków drzew instrumentach. Trunkiem wieczoru był absens - przezroczysty płyn o niebieskawym zabarwieniu, produkowany przez górników. Jako przystawkę podano kremat ze szczypiorkiem - coś, co wyglądało jak posypane trawką psie odchody ułożone na ciastku twardym jak talerz.

Zatrzymaliśmy się, by pozdrowić żonę burmistrza, która zaczęła mnie zaklinać, bym załatwił jej mężowi stanowisko w Mieście.

- Jest uczciwy - mówiła. - To prawy człowiek.

- Nie wątpię w to, droga pani - odparłem. - Ale Dobrze Skonstruowane Miasto nie poszukuje burmistrza.

- On może robić wszystko - powiedziała i próbowała go pocałować.

- Wracaj do kuchni - ofuknął ją. - Kremat się kończy. Nim się oddaliła, ucałowała mój pierścień, wkładając w ten gest całą namiętność przeznaczoną dla męża. Wytarłem go o nogawkę spodni i szedłem dalej za burmistrzem, krzyczącym coś do mnie poprzez gwar. Nie rozumiałem ani słowa.

W końcu wyszliśmy z głównej sali i znaleźliśmy się w długim holu. Bataldo machnął na mnie przez ramię. Poprowadził mnie schodami na piętro i pchnął drzwi prowadzące do biblioteki. Trzy spośród jej ścian przysłonięte były regałami; w czwartej znajdowało się przesuwane szklane przepierzenie, wiodące na balkon. Wszedłszy do środka, burmistrz skierował się ku stolikowi, na którym stała butelka absensu i dwa kieliszki. Przyglądając się tytułom na półkach, szybko odkryłem tam cztery z dwudziestu lub więcej opublikowanych przeze mnie traktatów. Byłem pewien, że nie przeczytał dzieła *Odstępcy i kretyni - rozwiązanie filozoficzne*, bo w przeciwnym razie już dawno popełniłby samobójstwo.

- Zna pan moją twórczość? - zapytałem, gdy wręczał mi kieliszek.

- Jest niezmiernie ciekawa - odparł.

- I czegoś się pan z niej dowiedział?

- Cóż... - zaczął, po czym umilkł.

- Czy wyczytał pan tam, na przykład, że nie lubię, gdy takie małpy jak pan zabawiają się moim kosztem?

- Jak mam to rozumieć, ekscelencjo?

Wylałem mu zawartość swego kieliszka na twarz, a gdy krzyknął i zaczął przecierać oczy, uderzyłem go pięścią w gardło. Zatoczył się do tyłu z charkotem, po czym padł na podłogę i usiłował złapać oddech. Podeszedłem doń pospiesznie.

- Pomocy! - wyszeptał, a wtedy ja kopnąłem go w bok głowy, aż zaczął krwawić. Nim zdążył znów zaskomleć, wcisnąłem mu w otwarte usta czubek buta.

- Powinienem cię zabić za przysłanie Beatona - powiedziałem.

Próbował skinąć głową.

- Jeszcze jeden taki dowcip, a zasugeruję Mistrzowi, że całe to miasteczko powinno zostać zrównane z ziemią.

Znów próbował przytaknąć.

Pozostawiłem go leżącego na podłodze, otworzyłem drzwi na balkon i wyszedłem, mając nadzieję, że wiatr osuszy mój pot. Brzydziłem się przemocą, lecz od czasu do czasu okoliczności wymagały ode mnie jej zastosowania. Tym razem był to symboliczny gest, mający wstrząsnąć miasteczkiem i wyrwać je z długotrwałej ignorancji.

Minęło kilka minut, nim burmistrz pozbierał się i przykuśtykał do mnie. Miał zakrwawioną głowę i wymiociny na koszuli. W rękę trzymał kieliszek absensu, z którego pociągał między stęknięciami.

Gdy na niego spojrzałem, oparł się o barierę i uniósł kieliszek.

- Pierwszorządne lanie - rzekł z uśmiechem.

- Niestety, sytuacja tego wymagała - odparłem.

- Proszę jednak spojrzeć tutaj, ekscelencjo - powiedział, wskazując coś w ciemnościach. - Chcę panu coś pokazać.

- Nic nie widzę - odrzekłem.

- Znajdujemy się teraz przy północnej granicy miasta - wyjaśnił. - Kilka jardów dalej zaczyna się rozległy, niezbadany las, który może się ciągnąć w nieskończoność. Ludzie wierzą, że Ziemski Raj znajduje się gdzieś w jego sercu. - Burmistrz wyjął z butonierki chusteczkę i przyłożył do rozcięcia na głowie.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytałem.

- Pewnego roku posłaliśmy ekspedycję doświadczonych górników, by spróbowali odnaleźć niebiański ogród. Przepadli wszyscy prócz jednego, który ledwie uszedł z życiem, a gdy dwa lata później dotarł do miasta, oszołomiony i zniszczony, opowiadał historię o demonach z Zarubieży. „Mają rogi, skrzydła i wypukłe grzbiety, jak w dziecięcym katechizmie”, mówił. Spotkali także zionącego ogniem kota, czarnego, gadziego psa gończego z kłami i stada reniferów, których rogi zrastają się, tworząc gniazda dla jasnoczerwonych ptaków.

- Jeśli wolałby pan uniknąć kolejnego bolesnego spotkania, proszę przejść do rzeczy - rzekłem.

- Chodzi o to, ekscelencjo, że musi pan zrozumieć ludność Anamasobii. Panuje tu specyficzne poczucie humoru, zrodzone z życia w cieniu grozy. Przez ostatnie kilka lat widywano na północnych krańcach miasta demony. Pewnej nocy jeden wyfrunął z mgły i porwał

ojcu Garlandowi psa. Musimy sobie jakoś radzić z niebezpieczeństwem, więc śmiejemy się tak często, jak tylko się da. - Skończył i pokiwał głową, jakby to miało mi pomóc w zrozumieniu.

- Proszę się doprowadzić do porządku - poleciłem mu. - Spotkamy się na dole. Przemówię do ludzi.

- Zgoda, ekscelencjo - odparł, po czym obrócił się gwałtownie. - Słyszał pan?

- Co? - zapytałem.

- Tam, w krzakach - rzekł.

- Demony? - zapytałem. Wycelował we mnie palec i roześmiał się.

- Nabrałem pana - rzekł. - Musi pan to przyznać.

Z całej siły uderzyłem go pięścią w lewe oko, obcierając sobie kłykcie. Gdy walczył z bólem, zgięty wpół, poinformowałem go, że zostawię w jego bibliotece swój płaszcz, by mi go wyczyszczono przed końcem przyjęcia. Następnie wyszedłem i wróciłem do czyścica na dole.

Żona burmistrza podała mi kremat ze szczypiorkiem, ja zaś nakazałem jej przynieść składane krzesła dla gości.

- Już się robi - powiedziała i ledwie zdążyłem mrugnąć, kierowała już całą operacją. Aromat przystawek był tak drażniący, że instynktownie odrzuciłem trzymany przez siebie talerz, który potoczył się na dywan. Przez chwilę z ciekawością przyglądałem się, jak kolejni goście przechodzą o włos od niego, nie nadeptując: doskonała metafora ich poszukiwania sensu. W końcu jakaś kobieta stanęła na nim szpilką i rozniosła kremat w tłum.

- Jesteśmy gotowi - odezwała się żona burmistrza, wrywając mnie z zamyślenia.

Gdy przychodziło mi przemawiać do sporych rzesz półgłówków, zwykle stosowałem pewną metodę, mającą im pomóc skupić się na moim przesłaniu. Zaczynałem od szybkiego odczytywania twarzy z tłumu i przepowiadania przyszłości. Nikt nie potrafił się temu oprzeć. „Ty - powiedziałem tym razem, spacerując w tę i z powrotem wśród zebranych - przez całe życie będziesz żyć w nędzy. A ty, kobieto z kwiatami we włosach, czy naprawdę powinnaś zdradzać swego męża? Ty umrzesz w ciągu najbliższego roku. Dziecko w drodze. Kompletnie bezużyteczne. Wybryk natury. Widzę małżeństwo z człowiekiem, który będzie cię bił”. Skłoniłem się w odpowiedzi na grzmiące oklaski.

- Panie i panowie z Anamasobii - rozpocząłem, gdy widownia ucichła - tak, jak pan Beaton został dziś po południu przemieniony z postaci cielesnej w spirę, przemieniliście się i wy. Nie jesteście już obywatelami, matkami i ojcami, siostrami, braćmi i tak dalej. Jesteście podejrzanymi

w mojej sprawie. Dopóki nie wyjadę, nie będziecie niczym więcej. Będę kalkulował wszystkie wasze wzorce fizjonomiczne, by wyłowić przestępcę. Sądzę, że większość z was doskonale zna moje referencje i otworzy się przede mną. Jestem człowiekiem nauki. Sonduję łagodnie i fachowo. Jeśli będę zmuszony zgłębiać topografię waszych terenów prywatnych, zawsze będę wkładał skórzaną rękawicę. Moje przyrządy są tak ostre, że nawet jeśli przypadkiem was skaleczą, odkryjecie to dopiero po wielu godzinach. Pamiętajcie: poruszajcie się szybko. Stójcie przede mną w całkowitym milczeniu. Nie proście, bym wam wyjawiał wynik swoich oględzin. Gwarantuję, że nie będziecie chcieli go znać.

Moją przemowa była gładka i elegancka. Zauważyłem, że kobiety, choć nic nie zrozumiały, były pod wrażeniem przyrodzonej wyższości ludzkiej mowy. Mężczyźni kiwali głowami i drapali się po nich. Wiedzieli dość, by rozumieć, że jestem kimś wyższym. Osiągnąłem zatem zamierzony cel. Przemieszczałem się wśród tłumu, by wszyscy mogli mi się przyjrzeć. Lanie, jakie sprawiłem burmistrzowi, przepełniło mnie nową energią. Rozmawiałem ze wszystkimi dookoła. Wypytywali mnie, jakie książki powinni czytać, jak wychowywać dzieci, jak najłatwiej zrobić pieniądze, ile razy dziennie biorę kąpiel. Odpowiadałem na wszystkie pytania.

Ktoś zmniejszył oświetlenie do słabego poblasku, a ja zdążyłem wypić kieliszeczek lub dwa absensu, gdy nagle z tłumu wyłoniła się fizjonomia, przez którą moje oczy prześliznęły się bez zatrzymywania. Dziewczyna podeszła do mnie.

- Czy mogę zapytać o Gretę Sykes?

Olśniony jej urodą, skinąłem głową, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Jak mógł pan wyrokować, że jest wilkołakiem, tylko na podstawie pomiarów obszaru od nozdrzy do czoła, skoro elegancja jej szczęk niwelowała wszystkie anomalie w górnej części twarzy?

Przez minutę wpatrywałem się w jej rysy, a przez kolejną po prostu gapiłem się na nią.

- Moja droga - rzekłem w końcu - zapomniałaś o czynniku Reilinga, nazwanym tak na cześć wielkiego Muldabara Reilinga. Mówi on, że nerwowy chód, a taki miała Greta Sykes, podkreśla wagę górnych rysów twarzy, nawet jeśli te są równoważone przez elegancję.

Przez minutę stała, spoglądając w bok, a ja w tym czasie studiowałem jej włosy, oczy, figurę, długie palce.

- Widział ją pan w wilczej postaci? - zapytała, gdy prześlizgiwałem się po czerwono-żółtym wzorze na jej sukni.

- Czyją widziałem? Uderzyłem ją raz w głowę swoim parasolem, gdy chciała mnie ugryźć w kostkę. W wilczej postaci była włochata i, zaklinam się, stanowiła istną fabrykę śliny. Zęby miała jak sztylety, a pazury długie jak szydełka. Oto, w co przemieniało się to pozornie niewinne dzieciątko.

- Bał się pan? - zapytała dziewczyna.

- Proszę - napomniałem ją, a wtedy ktoś całkiem zgasił światła i w sali zapadła kompletna ciemność. Zatoczyłem się, zaskoczony nagłym atakiem mego starego wroga - nocy - i przez chwilę zdawało mi się, że upadnę, lecz zaraz usłyszałem głos burmistrza.

- Ekscelencjo, z przyjemnością prezentujemy okaz unikalnego nietoperza ognistego, żyjącego jedynie w tunelach Gronusa.

Usłyszałem szczęknięcie otwieranego pudła.

- Cholera! - zawołał burmistrz. - Dziabnął mnie! Zaraz potem w górze rozległ się odgłos trzepoczących skórzanych skrzydeł. Fosforyzujący skrzydlaty szczur okrążył mnie i zaatakował z mroku. Odpędziłem go kieliszkiem, a wtedy on wzbił się w górę i zaczął krążyć wokół zebranych. Ilekroć zatoczył pełne koło, tłum wybuchł aplauzem.

- Tu fizjonomista Cley - rzekłem do stojącej obok osoby.

- Proszę przekazać burmistrzowi, że moja cierpliwość względem nietoperza się wyczerpała.

Po kilku minutach usłyszałem wrzask Bataldo:

- Włączyć światła!

Ledwie zapłonęły lampy, nietoperz oszalał. Uderzał o przedmioty i nurkował, by łąpać kobiety za biżuterię. Obok burmistrza stał jakiś łysy typ z roztargnionym uśmiechem, wyglądający na wyjątkowo ograniczonego.

- Przywołaj go z powrotem.

Typ wetknął do ust swoje różowe paluchy i dmuchnął bezgłośnie. Nietoperz nie przestawał się rozbijać. Mężczyzna znów dmuchnął. Burmistrz zawołał, by mu podać wiatrówkę. Zwaliwszy kolejny żyrandol, zraniwszy lokaja i rozbiwszy dwie szyby, ognisty nietoperz z Gronusa w końcu legł martwy na półmisku z krematem i pozostał tam przez resztę wieczoru, nie przeszkadzając gościom w tańczeniu kadryla.

- Niech pan znajdzie tę dziewczynę - powiedziałem do burmistrza przed wyjściem - i przyśle mi ją. Potrzebuję asystentki.

- Chodzi panu o Arłę Beaton?

- Beaton...

- To jego wnuczka. Beaton był jedynym, który powrócił z wyprawy do Ziemskiego Raju - rzekł, pomagając mi włożyć płaszcz.

- I co znalazł, gdy w końcu tam dotarł? - zapytałem, gdy w nozdrza uderzył mnie ananasowy odór.

- Nigdy tego nie powiedział.

4.

Wanna była zrobiona z żeliwa i przykucnięta na lwich łapach. Stała na werandzie Hotelu de Skree, gdzie dzielnie rozebrałem się o bladym świetle. Teren hotelu okalał gruby żywopłot; wiatr rozsiewał po trawniku żółte liście. Gdy tylko wszedłem do wiekowej balii, niemal natychmiast zdrętwiały mi stopy i łydki. Gdy zanurzałem pośladki, lodowa pięść schwyciła mnie za pień mózgu i pociągnęła. Zachowałem spokój i poddałem się. To była naturalna, nieoczyszczona woda, i piękno nie mogło się z nią równać.

Leżąc w niej i szczękając zębami, kontemplowałem ekspedycję do Ziemi Raju. Myślałem o górnikach z kilofami i czołówkami, którzy w poszukiwaniu zbawienia zapuścili się w nieoznaczoną na mapach dzicz. I dziś po tym szaleństwie nie pozostało nic z wyjątkiem błękitnego posągu stojącego w hotelowym westybulu. Potem moje myśli pobiegły ku burmistrzowi i temu piekielnemu nietoperzowi ognistemu, lecz niespodziewanie znów powróciły do Beatona. Uświadomiłem sobie, że koniecznie muszę go odczytać. Oczami duszy widziałem go, trzymającego wiadomość dla mnie, dla dostarczenia której musiał powrócić z rajów.

Głośno wezwałem Mantakisa, który w końcu pojawił się na werandzie, ubrany w fartuch, trzymając w rękach szczoteczkę do kurzu zrobioną z pierza. Miał nieszczęśliwą minę, wzdychał i szedł jak na ścięcie.

- Przestań pan już - poleciłem mu.
- Ekscelencjo...
- O co chodzi?
- Nie dotarłem na wczorajsze przyjęcie - wystękał.

- Nic pan nie stracił - odparłem. - Burmistrz wypuścił na swoich ludzi niebezpieczne zwierzę, a do jedzenia nie było nic oprócz bobków.

- Małżonka twierdzi, że wygłosił pan niezmiernie elokwentne przemówienie - rzekł Mantakis.

- A skąd ona może to wiedzieć? - zapytałem, mydląc się pod lewą pachą.

- Ona... - zaczął, ale czy mogłem pozwolić mu skończyć?

- Mantakis - powiedziałem - chcę, żebyś przysłał Beatona do mojego gabinetu.

- Bardzo przepraszam - odrzekł - ale zdaje się, że rodzina chce go zabrać.

- Będzie mogła sobie zabrać to, co z niego zostanie, gdy skończę.

- Tak jest, ekscelencjo - powiedział, machając szczoteczką w powietrzu, jakby je odkurzał.

- Mantakis - odezwałem się, gdy już miał opuścić werandę.

- Tak, ekscelencjo?

- Pan przegapił to przyjęcie już dawno temu.

Skinął głową bez zdziwienia, jak gdybym mu powiedział, że niebo jest niebieskie.

Wycierając się w pokoju i przygotowując zastrzyk, słyszałem, jak wloką Beatona po schodach. Głosy dwóch zmagających się z posągami robotników odbijały się echem na korytarzu i docierały do moich drzwi. Gdy piękno otoczyło mnie ramionami, ich przekleństwa zmieniły się w śpiew chłopięcego chóru. Oddychałem powoli. Ubierałem się pośród fal suchego morza, a moje oczy stały się dwiema latarniami rzucającymi wizje na rzeczywistość. Pojawił się profesor Flock, który pomógł mi zawiązać krawat, a następnie nietoperz ognisty krążył i pikował przez pięć minut, podczas gdy ja ukrywałem się pod łóżkiem. Leżąc w ciemnościach na podłodze i wdychając kurz, usłyszałem w uchu szept Mistrza:

- A teraz otwórz drzwi. Nie ma żadnego nietoperza. Wyśliznąłem się spod łóżka i usłyszałem pukanie. Szybko wstałem i otrzepałem się.

- Kto tam? - zawołałem.

- Przyszła panna Beaton - dobiegł mnie głos pani Mantakis.

- Proszę ją zaprowadzić do gabinetu - odparłem. - Zaraz tam przyjdę.

Podszedłem do lustra i próbowałem doprowadzić się do ładu. Przystudiowałem swoje rysy w próbnym badaniu fizjonomicznym, starając się w ten sposób odzyskać pełnię władz umysłowych. Szło mi całkiem nieźle, gdy nagle dostrzegłem kątem oka, że usta Ardena zaczynają się poruszać.

Nadal były zrobione z kamienia, lecz zachowywały się jak ciało. Wyteżony głos walczył jak kret przedzierający się przez zwały osuniętej ziemi, by cichutko zawołać o pomoc.

Zamknąłem za sobą drzwi i przeszedłem przez korytarz do gabinetu. Dziewczyna już tam była. Siedziała przy moim biurku. Gdy wszedłem, podniosła się i lekko skłoniła.

- Ekscelencjo - rzekła.

- Proszę usiąść - odparłem.

Gdy to czyniła, patrzyłem, jak gnie się jej ciało.

- Gdzie się pani uczyła fizjonomiki? - zapytałem.

- Z książek - odparła.

- Moich?

- Również.

- W jakim wieku rozpoczęła pani naukę?

- Na poważnie, trzy lata temu, gdy miałam lat piętnaście - rzekła.

- Dlaczego?

Po długiej przerwie wyjaśniła:

- Między dwoma górnikiem z Anamasobii narósł silny konflikt. Nikt nie wiedział, co jest jego przyczyną. Sytuacja stała się tak nieznośna, że postanowili odbyć pojedynek na kilofy w wierzbowym zagajniku po zachodniej stronie miasta. Wierzby były w szczytowym punkcie rozwoju i ich witki zwisały niemal do ziemi. Obaj mężczyźni weszli z różnych stron, wymachując kilofami, a po dwóch dniach ktoś poszedł sprawdzić pole walki i odkrył, że pozabijali się nawzajem, jednocześnie zadając sobie rany w głowę. Ta bezsensowna, przerażająca historia wstrząsnęła miastem. W odpowiedzi ojciec Garland opowiedział nam jedną ze swoich przypowieści, traktującą o człowieku, który urodził się z dwiema głowami, ale tylko jednymi ustami i wspólnym okiem, lecz dla mnie nie rzuciło to wiele światła na tragedię. Fizjonomika natomiast ma sposób na wyjaśnienie tej potwornej zagadki ludzkości.

Przyglądałem się jej piersiom, analizując swoje odkrycia.

- A co pani widzi, spoglądając w lustro? - zapytałem.

- Gatunek dążący do perfekcji - odparła.

- Uwielbiam optymistów - rzekłem do niej. Uśmiechnęła się, a ja byłem zmuszony odwrócić wzrok. Wtedy ku memu zdumieniu ujrzałem przed sobą jej dziadka, ustawionego niedawno w

kącie gabinetu. Niemal podskoczyłem na jego widok, lecz opanowałem się. - Co pani sądzi o tym zdeformowanym glazie, który był pani dziadkiem?

- Nic - odrzekła.

Znów skierowałem wzrok na nią. Spokojnie przyglądała się błękitnemu staruszkowi.

- Być może będę zmuszony nieco w nim podłubać podczas badań - oznajmiłem.

- Będę zaszczycona, mogąc panu pomóc przy kopaniu w tej głowie - powiedziała.

- Co możemy znaleźć?

- Wyprawę do raju - odparła. - Ona tam jest. Opowiedział mi ją, gdy byłem małą dziewczynką. Czasem jakiś szczegół tej historii powraca do mnie w przebłysku, ale po chwili już nic nie pamiętam. A tu, zamknięta w bryle spiry, tkwi cała.

- Przypuszczam więc, że wewnątrz jego mózgu znajdziemy biały owoc - rzekłem.

- Albo pustą komorę - dodała.

Uśmiechnąłem się potakująco, po czym szybko zapytałem:

- Kto jest złodziejem?

Wyprostowała skrzyżowane dotąd nogi, a ja przysunąłem sobie krzesło.

- Wszyscy sądzą, że wziął go Morgan i nakarmił nim swoją córkę, Alice.

- Dlaczego? - zapytałem, pochylając się ku niej tak mocno, że czułem woń jej perfum.

- Dziecko się zmieniło - odparła, wydymając wargi i spuszcżając powieki.

- Lata? - zapytałem.

- Ludzie mówią, że zna prawidłowe odpowiedzi na wszystkie pytania.

Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem, wykorzystując to jako pretekst do zmiany tematu.

- Czy miała pani ostatnio kontakt z przedstawicielami płci przeciwnej? - zapytałem, spoglądając jej prosto w oczy.

- Nigdy, ekscelencjo - odparła.

- Czy żywi pani jakikolwiek rodzaj wstrętu dla nagiego ludzkiego ciała?

- Bynajmniej - powiedziała i przez chwilę zdawało mi się, że się uśmiecha.

- Czy niepokoi panią widok krwi lub cierpienia? Pokręciła głową.

- Czy któreś z pani rodziców jest niedorozwinięte?

- W pewnym stopniu, ale to prości, życzliwi ludzie.

- Musi pani wypełniać wszystkie moje polecenia - oznajmiłem.

- Doskonale to rozumiem - odparła, potrząsając głową tak niespodziewanie, że zarzuciła włosy na plecy.

Nie mogąc się powstrzymać, pochyliłem się i zmierzyłem między kciukiem a palcem wskazującym odległość od jej górnej wargi po środek czoła. Nawet bez pomocy swoich precyzyjnych przyrządów wiedziałem, że jest pięciogwiazdkowcem - osobą, której rysy znajdują się na szczycie hierarchii fizjonomicznej. Byłem przerażony i podekscytowany na myśl, że gdyby nie jej płęć, byłibyśmy sobie równi.

- Pięciogwiazdkowiec - rzekła, gdy cofnąłem rękę.

- Proszę to udowodnić - powiedziałem.

- Udowodnię.

Wyszliśmy z hotelu. Idąc ulicą w stronę kościoła, poprosiłem dziewczynę o przypomnienie mi kwintesencji słynnej sprawy Barlowa. Szła szybko obok mnie z rozwianym na wietrze włosiem i recytowała z pamięci dokładne pomiary twarzy, które wykonałem własnoręcznie dziesięć lat wcześniej na nikomu nieznanym lekarzu, który zarzekał się, że nigdy w życiu nie pisał wywrotowych wierszy.

Prawdę rzekłszy, Arla Beaton przypomniała mi moją pierwszą miłość i wiedziałem, że mogą z tego wyniknąć tylko kłopoty. Wciągnięcie kobiety w oficjalne sprawy krainy było ściśle wzbronione, jak jednak mógłbym ją ignorować? W dziedzinie, którą zajmowałem się przez całe swoje życie, precyzyjna elegancja jej rysów była dla mnie... moim ziemskim rajem. Gdy dziewczyna paplała o Barlowie, cytując mnie i jego obmierzłą poezję, ja na moment straciłem głowę i pozwoliłem sobie na wspomnienia.

Gdy byłem młodzieńcem i studiowałem w akademii, odbywaliśmy cykl zajęć na temat ludzkich kształtów. Były to pierwsze zajęcia z „Procesu” (taką nazwę nosi ośmioletni kurs fizjonomiki) i postarano się, by były wyjątkowo trudne i pozwoliły na eliminację wszystkich, którzy nie mieli wystarczających predyspozycji.

Miałem przewagę nad wieloma innymi studentami, gdyż nie wikłałem się w przyjaźnie i unikałem życia towarzyskiego. Wieczorami, gdy oni odwiedzali kawiarnie Miasta, ja brałem zeszyty i wracałem do akademii. Każdej nocy zagłębiałem się w trzewia ogromnego starego gmachu pełnego laboratoriów fizjonomicznych. Laboratorium ludzkich kształtów było niewielkim pomieszczeniem, w którym mieścił się jedynie stół i krzesło. Siadając na nim, miało się przed sobą okno zasłonięte kotarą. Wystarczyło przemówić, a kotara rozsuwała się, ukazując

całkowicie biały, dobrze oświetlony pokój. Akademia dbała o to, by przedmiot badań znajdował się w laboratorium przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Były to nagie kształty, którymi sterowało się za pomocą mowy, nakazując im wyginać się i pozować. Często zastanawiałem się, ile płacono tym ludzkim marionetkom i czy w ogóle to czyniono. Wszystkie one miały niższy wzorzec fizjonomiczny - któż inny chciałby wykonywać taką pracę? - ale to tylko czyniło z nich ciekawsze przedmioty badań.

Tam ujrzałem swoje pierwsze Zero - osobę pozbawioną jakichkolwiek przymiotów kraniometrycznych, twarzowych czy cielesnych. Osobnik ów był ulubieńcem studentów i często umieszczano go w laboratorium późnym wieczorem, może dlatego, że był zbyt niedorozwinięty, by robić cokolwiek innego. Czytanie go przypominało jednak wpatrywanie się w nieskończoność, oglądanie natury ze spuszczoneymi spodniami, by tak rzec - było niepokojące i wzniosłe zarazem. Pewnego wieczoru poszedłem tam, spodziewając się widoku starego Dicksona, pozbawionego rysów i zdeformowanego jak na wpół stopiony bałwan, lecz gdy kotara się rozsunęła, ujrzałem coś zupełnie innego.

Miałem przed sobą najdoskonalsze kobiece ciało, jakie w życiu widziałem. Wprost perfekcyjne, z sutkami sterzącymi niczym czubki szpilek. Kazałem jej się wyginać, obracać i skakać, stawać na czworakach i leżeć na plecach, lecz mimo to nie udało mi się znaleźć najmniejszej skazy. Twarz miała gładką i promienną, oczy o barwie głębokiej zieleni, usta pełne, a włosy gęste i kasztanowe, poruszające się jak niebiański stwór morski, wijący się w wodzie uwężonej wśród skał.

Pierwszej nocy pozostałem z nią do świtu, a moje polecenia od prostych, mechanicznych ruchów stopniowo ewoluowały w szeptane prośby o mrugnięcie czy poruszenie paluszkami.

Następnego dnia powinienem być śmiertelnie wyczerpany, lecz zamiast tego czułem dziwne podniecenie i ogień w splocie słonecznym. Nie mogłem się skoncentrować na studiach, bo moje myśli wciąż krążyły wokół pytania, jak mógłbym się z nią spotkać i zwyczajnie porozmawiać zamiast jedynie rozkazywać. Powracałem przez kolejne dwa wieczory, ku swej niewypowiedzianej rozkoszy odnajdując ją tam ponownie. Trzeciego wieczoru, gdy kazałem kotarze się rozsunąć, jęknąłem głośno na widok starego, oślinionego Dicksona, który w odpowiedzi na mój jęk zasymulował cichy śmiech. Siedząc tam, wysnułem plan dowiedzenia się, kim jest dziewczyna.

Następnego ranka przekupiłem starszaka, który nadzorował pracę laboratoriów.

- Wystarczy mi imię - powiedziałem, wsuwając mu do kieszeni marynarki pięćdziesiąt nadoli.

Nie odpowiedział, ale zatrzymał pieniądze i oddalił się. Moja prośba była ewidentnym naruszeniem prawa, więc przez kolejne dwa dni oczekiwałem w niepewności, zastanawiając się, czy nie zostanie na mnie złożone doniesienie. Wieczorem drugiego dnia do mojego mieszkania zapukali przedstawiciele władz - czterej mężczyźni w długich, czarnych płaszczach. Jeden z nich trzymał wielkiego mastifa na łańcuchu tak grubym, że zdołałby uciągnąć kotwicę.

- Proszę z nami - zażądał ich przywódca, po czym zostałem pospiesznie sprowadzony do powozu i przewieziony przez Miasto do akademii. Podczas jazdy przyzwyczajałem się do myśli o zesłaniu do kopalni siarki lub, w najlepszym razie, natychmiastowej egzekucji.

Roztrzęsiony, z wyschniętymi na wiór ustami, zostałem wepchnięty przez wysłanników do piwnicy, w której mieściły się laboratoria. Weszliśmy do korytarza, którego nigdy wcześniej nie widziałem, a stamtąd do obszernej kamiennej komory z metalowymi drzwiczkami wciśniętymi w ściany.

Wysłannik, który wydał mi polecenie w mieszkaniu, odezwał się ponownie.

- Nasz Mistrz, Drachton Nadolny, bardzo się zainteresował pańskimi postępaniami i postanowił spełnić pańską prośbę. - Po tych słowach mężczyzna podszedł do jednej z par drzwiczek, pociągnął za metalową zasuwę i wysunął stolik, na którym spoczywało ciało mojej ukochanej. - Chciał pan znać jej imię? - zapytał. - Nazywa się dwieście czterdzieści trzy.

- Ale ona nie żyje! - odparłem z oczyma pełnymi łez.

- Oczywiście - rzekł wysłannik. - Oni wszyscy są martwi. Ta popełniła samobójstwo z rozpaczy, gdy jej rodzice stanęli przed sądem, oskarżeni przez fizjonomistę Reilinga. Jej ciało zostało wydrążone i zakonserwowane, a następnie wyposażono je w specjalny mechanizm i wszczepiono psie neurony według projektu samego Mistrza.

Pochylił się i dotknął tyłu jej głowy, włączając. Otworzyła oczy i usiadła.

- Śpiewaj! - rozkazał, a wtedy ona poczęła żałośnie chrząkać. Pozostali wysłannicy zanieśli się śmiechem. - A teraz proszę iść do domu i nikomu ani słowa - zwrócił się do mnie przywódca.

Spiesząc ku drzwiom, odwróciłem się i zobaczyłem, że mężczyźni zgromadzili się wokół niej, zdejmując czarne płaszcze. Spuszczony ze smyczy pies biegał wkoło jak oszalały.

5.

Architektura kościoła w Anamasobii spowodowała, że miałem ochotę zrobić jedną z dwóch rzeczy: albo roześmiać się gromko w obliczu absurdalnego projektu gmachu, albo rzucić zapalką i spalić go do cna. Powstrzymałem się jednak od obu tych reakcji. Budowlę wzniesiono z odrażającego szarego drewna w kształcie mającym odzwierciedlać kontury góry Gronus. Gdyby nie towarzystwo Arli, która wszystko mi tłumaczyła, pomyślałbym, że to po prostu wielka sterta porąbanego drewna, które jakimś cudem znalazło się w jednym miejscu. Podobnie jak na szczycie prawdziwej góry, były tam odpowiednie szczeliny, urwiska i przepaście. Żaden ze stopni wiodących do krzywych drzwi świątyni nie równał się z innym szerokością czy wysokością, okna - będące cieniutkimi jak papier płytkami spiry z wyżłobionymi scenami religijnymi - rozmieszczono asymetrycznie. Na szczycie gmachu umieszczono coś, co wyglądało na kilof górniczy wykuty ze złota.

- Kto jest odpowiedzialny za to szkaradzieństwo? - zapytałem.

- Świątynię zaprojektował samodzielnie ojciec Garland w pierwszym roku po swoim przybyciu do Anamasobii. Zarzekał się, że Bóg kierował jego ręką podczas kreślenia planów - odrzekła Arla.

Ująłem szczupłą dłoń dziewczyny, udając, że chcę jej pomóc wspiąć się po schodach, lecz nim dotarliśmy do drzwi, sam się potknąłem i musiałem się o nią wesprzeć. Zdumiała mnie swoją siłą, a uśmiech, który mi posłała, całkiem mnie obezwładnił.

- Musi pani bardziej uważać - powiedziałem do niej, po czym otworzyłem wyższe z dwojga drzwi.

- Dziękuję - odparła, po czym wstąpiliśmy w ciemność. Kiepski żart polegał na tym, że wewnątrz budynku było obrzydliwie nieproporcjonalne do jego zewnętrznej postaci i stylizowane na podziemną jaskinię. Do sufitu i podłogi umocowano stalaktyty i stalagmity z łupanego drewna. Zwężające się ścieżynki wiodły od wejścia w prawo i lewo w absolutną ciemność, bezpośrednio przed nami zaś znajdował się most linowy nad miniaturowym jarem. Po drugiej stronie, za ostro zarysowanymi skałkami, majaczyła spora jama, oświetlona jedynie świecami i przypominająca otwarte usta olbrzyma.

- Prawda, że niewiarygodny? - zapytała Arla, idąc przodem przez most.

- Niewiarygodnie kiczowaty - odparłem, przytłoczony ciemnością niczym ciężarem złożonym na moich powiekach. - Kościół jako ryzykowna eskapada.

- Robotnicy i ich rodziny czują się tu jak w domu - powiedziała.

- Niewątpliwie - przyznałem nerwowo, małymi kroczkami przemieszczając się nad przepaścią.

W komorze, w której mieścił się ołtarz, ławki były wyciosane ze spiry, a pod ścianami stały gdzieniegdzie posągi, w których rozpoznałem błękitnych hartowanych bohaterów. Tu i ówdzie migotały duże białe świece, kapiące woskiem i świecące przyćmionym, zmiennym światłem, przypominającym to, które można obserwować krótko przed zmrokiem. Sam ołtarz także zrobiono z dużego, płaskiego głazu, za nim zaś wisiał olbrzymi portret Boga jako górnika.

- Czy kazania ojca Garlanda przypominają ulatnianie się metanu? - zapytałem.

Chyba nie zrozumiała żartu, bo odpowiedziała poważnie:

- Cóż, nazywa on grzech zawałem duszy.

Gdy oddaliła się ciemnym korytarzem w poszukiwaniu Garlanda, pozostałem sam, wpatrzony w Boga. Fizjonomia Wszechmogącego na portrecie sugerowała, że nadaje się on co najwyżej do kopania dołów. Twarz znaczyły różnego rodzaju mięsiste kaszaki, z uszu wystawały włosy, oczy zaś spoglądały w dwóch różnych kierunkach. Nie mogłem wprawdzie powiedzieć, by jego ogólny wygląd był wzorowany na królestwie zwierząt, ale pewne rasy psów i cały rząd małp wydawały się z kolei wzorowane na nim. Trzymał kilof w jednej ręce, a łopatę w drugiej, i z rozwianym błękitnym włosiem pędził wyprostowany przez wąski podziemny tunel, po czym wypadał na patrzącego z ciemności z miną sugerującą, że przed chwilą nastąpił zawał w jego spodniach. Niewątpliwie była to scena z opowieści o stworzeniu świata.

Nie pierwszy raz spotykałem się z dziwnymi praktykami religijnymi terytoriów zależnych. Czytałem o istniejącym na zachodnich rubieżach kościele wybudowanym z łusek kukurydzy. Tamtejsze bóstwo, Belius, przybiera kształt człowieka o głowie byka. Ci osobliwi bogowie skrupulatnie przyglądają się nędznym żywotom wieśniaków i sądzą ich, by po śmierci zaprowadzić rzekomo do nieba, w którym ich ubrania są odpowiednio skrojone, a współmałżonkowie nie ślinią się. W Mieście natomiast panował człowiek, Drachton Nadolny, i Fizjonomika - nauka ścisła, kombinacja rzeczywistości i obiektywizmu zdolnego do wydania idealnie sprawiedliwego wyroku.

Usłyszałem kroki Arli i Garlanda w korytarzu poniżej ołtarza i już miałem odwrócić wzrok od portretu, gdy nagle uświadomiłem sobie, że gdzieś wcześniej widziałem tę twarz. Wytężyłem umysł, lecz nim zdążyłem sobie przypomnieć, Arla już przedstawiała mnie księdzu. Szybko zdeponowałem tę myśl w pamięci, by wrócić do niej później, po czym odwróciłem się i zobaczyłem niziutkiego, białowłosego człowieczka. Wyciągnął rączynę z małąkami, ostro zakończonymi paznokciami.

Wprowadził nas do swego gabinetu, niewielkiej groty na tyłach świątyni, i zaproponował napój z krematu. Uprzejmie zgodziliśmy się na szklaneczkę czegoś, co rzekomo sam wyprodukował: napoju w kolorze bursztynu, który pachniał jak bez, a smakował jak ziemia. Nie mogłem się od niego oderwać.

Głos Garlanda charakteryzował się jakimś poświstem, który potwornie działał mi na nerwy. Dokładając do tego jego małą, karykaturalną twarzyczkę i aforyzmy - „Kiedy dwa staje się jednym, trójka zmienia się w nicość, a zero jest początkiem” - trzeba szczerze powiedzieć, że był, eufemistycznie rzecz biorąc, nieadekwatny do zajmowanego stanowiska. Z niezrozumiałych przyczyn Arla wpatrywała się jednak w niego z obrzydliwym niemal uwielbieniem. Nie miałem wątpliwości, że będę zmuszony zetrzeć w pył jej wyobrażenie o tym pretensjonalnym karzełku.

- Proszę mi powiedzieć, ojcze - rzekłem, gdy już się rozsiedliśmy i wysłuchaliśmy krótkiej modlitwy - dlaczego nie miałby ojciec być moim głównym podejrzanym.

Pokiwał głową, jakby uważał, że to dobre pytanie.

- Ja już znam drogę do rajy - odparł.

- A owoc?

- Okrągłutki i bez przerwy ociekający cukrem. Czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, by go ugryźć? A czy wasza ekscelencja, zaledwie o nim usłyszawszy, nie pomyślał o tym? Każdy z

tutejszych ludzi go pożądał. Dopóki jednak pozostawialiśmy go w spokoju, siła naszego wspólnego pożądania utrzymywała nas na ścieżce cnoty. Teraz zaś zmierzamy ku zamieci grzechu.

- Czy ktokolwiek wykazywał szczególne zainteresowanie owocem?

- Jedna czy dwie osoby - odparł Garland.

- Kto go skradł? - zapytałem. Powoli pokręcił głową.

- O ile mi wiadomo, pewnej nocy demony nadciągnęły z dziczy i wśliznęły się na ołtarz, gdy spałem.

- Ostatnio dużo słyszałem o Ziemi Raju. Czy może mi ojciec powiedzieć, co to właściwie jest?

Garland uszczypnął się w nos palcami lewej ręki, po czym zamyślił się głęboko. Arla pochyliła się do przodu na swoim krześle, czekając, aż ksiądz przemówi.

- Ziemi Raj, ekscelencjo, to jeden mały punkcik w ogromnym świecie, w którym natura nie popełnia błędów. To ostatnie, najlepsze dzieło, jakie stworzył Bóg, nim pogrzebano go żywcem. W tym miejscu zbiera się wszelki grzech i wszelka chwała, które następnie, kropla za kroplą, przekształcają się w wieczność.

- Boga pogrzebano żywcem? - zapytałem.

- Każdego dnia przekopujemy się bliżej niego - odparł.

- Co się stanie, gdy tam dotrzemy?

- Osiągniemy początek.

- Czego? - zapytałem.

- Początek końca. - Westchnął, po czym spojrzał na Arłę i uśmiechnął się, a ona odpowiedziała uśmiechem. - Podziękuj matce za ciasto z musem filiborówkowym.

- Dobrze, ojciec - odparła.

- Burmistrz wspominał mi, że niedawno demon porwał ojcu psa - zagadnąłem.

Garland ze smutkiem skinął głową.

- Biedny Gustavus, prawdopodobnie został rozszarpany na strzępy przez stado tych wstrętnych kreatur.

- Może ojciec opisać to stworzenie? - zapytałem.

- Wyglądał jak w opowieściach dziadka Arli. Tak, jak zwykle sobie wyobrażamy demony. Gdy odleciał, pozostawił po sobie dziwny zapach.

- Miał ostre pazury? - zapytałem.

- O co panu chodzi?

- A jak ojciec myśli?

- Myślę, że w jakimś sensie utożsamia mnie pan z demonem z powodu moich paznokci - rzekł, ani na moment nie tracąc spokoju. - Ostrzę je, by móc wyciągać takie drzazgi jak ta, która teraz wbiła mi się w serce.

- W takim razie mogę ojcu pożyczyć pincetę - zaproponowałem. Potem odwróciłem się do Arli i poprosiłem ją, by wyszła. - Muszę z ojcem zamienić kilka słów na osobności.

Gdy się oddaliła, powiedziałem Garlandowi, że jego kościół będzie mi potrzebny do przeprowadzania dochodzenia na mieszkańcach miasteczka.

- Chce pan powiedzieć, że będą się obnażać w mojej świątyni? - zapytał, wstając.

- Takie są procedury - odparłem. - Ojciec będzie przy tym obecny, by utrzymywać porządek i posłuszeństwo w tłumie.

- To niemożliwe - rzekł i zrobił krok w moją stronę, wyrzucając do przodu swoje drobne rączyny, jakby zamierzał ich użyć.

- Spokojnie, ojcie - powiedziałem. - Nie chciałbym być zmuszony ojca oświecać.

Garland wykrzywił usta, a ja zauważyłem, że jego przednie zęby także są zaostrzone. Drżał lekko, a jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona. Włożyłem rękę do kieszeni i zacisnąłem palce na skalpeli.

- Łaska jest latarnią bożą - wystękał ksiądz i natychmiast zaczął się rozluźniać. Przez dłuższą chwilę stał bardzo spokojnie.

Skinąłem głową.

- Sam ksiądz widzi, że tak jest lepiej - powiedziałem.

- Proszę ze mną, ekscelencjo. Mam tu coś, co pana zaciekawia. - Podeszedł do ściany za biurkiem i pchnął ją lekko. Otworzyły się drzwiczki, za którymi dostrzegłem prowadzące w dół schody. Kapłan przeszedł na drugą stronę i począł schodzić. -Tutaj, ekscelencjo - dobiegł mnie z oddali jego głos.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chce mnie dopaść w jakimś ciemnym tunelu, ale ruszyłem za nim, z jedną ręką na barierce, a drugą na skalpeli w kieszeni. Postanowiłem, że pierwszym ruchem wykluję mu oko, a następnie wykończę go butem. Gdy tak schodziłem ciągnącymi się w nieskończoność schodami, perspektywa tego wyzwania zaczęła mnie cieszyć.

Znalazłem ojca klęczącego w marmurowej salce, dobrze oświetlonej pozawieszanymi na ścianach pochodniami. Przed nim stało ogromne drewniane krzesło, a na nim siedziało coś, co wyglądało jak gigantyczne i potwornie sfatygowane cygaro. Gdy jednak się zbliżyłem, kształt okazał się długim, cienkim człowieczkiem z długą, cienką głową. Jego skóra, choć zmumifikowana przez czas, pozostała nienaruszona. Wydawało się wręcz, że za zamkniętymi powiekami wciąż istnieją gałki oczne. Między palcami miał pajęczyny, a jeden z nich był przekłuty wąskim srebrnym krążkiem.

- Cóż my tu mamy? - zapytałem. - Boga krematu? Garland wstał i stanął obok mnie.

- To człowiek, którego znaleźli w kopalni wraz z owocem - rzekł. - Czasem myślę, że wcale nie umarł, tylko po prostu czeka na powrót do raju.

- Ile ma lat? - zapytałem. Pokręcił głową.

- Nie wiem, ale nawet pan musi mi przyznać, że dzieje się tu coś niezwykłego.

- W niezwykłość nie wątpię - odrzekłem.

- W co zatem? - zapytał Garland. - Owoc, Podróżnik: wszystko to są cuda, jak zapewne pan widzi.

- Widzę jedynie wysuszonego trupa o kranimetrii wazonu i słyszę zabobonne farmazony, dochodzące z ust ojca. I na cóż mi się to zda? - zapytałem.

- Jutro przekażę panu swój kościół, dziś jednak chciałbym, aby pan zrobił coś dla mnie.

- Cóż takiego? - zapytałem.

- Chciałbym, by pan odczytał twarz Podróżnika.

Uniosłem wzrok, by sprawdzić, czy warto się trudzić, i dostrzegłem kilka kuszących rysów. Długie czoło było zdeformowane, lecz w sposób, który nazwałbym wdzięcznym.

- To może być ciekawe - odrzekłem.

Garland podał mi swoją łapkę, a ja uściśnąłem ją.

Po wyjściu zastałem Arłę siedzącą na najniższym stopniu kościoła. Wpatrywała się w ogromne pole, dzielące kraniec miasta od skraju dziczy. Wiatr kołysał długimi trawami, a nad odległymi drzewami zbierały się czarne chmury.

- Nadciąga śnieg - powiedziała, nie odwracając się.

Tego popołudnia kazałem Mantakisowi zanieść do Bataldo wiadomość, w której prosiłem, by ludność zebrała się przed kościołem następnego ranka o dziesiątej. Następnie Arla udała się

do mojego gabinetu, by dokonać wstępnych odczytów twarzy swego dziadka, podczas gdy ja położyłem się do łóżka z czystym pięknem. Gdy tak leżałem, czekając, aż ogarnie mnie jego ciepło, pomyślałem o dwóch rzeczach. Pierwszą było to, że być może ktoś porwał Garlandowi psa po to, by nikt nie strzegł kościoła w nocy, gdy ksiądz spał. Drugą - że fizjonomia dziecka, które podsunęła mi do odczytania kobieta na ulicy, wydała mi się bardzo znajoma. Następnie pojawił się profesor Flock z lakoniczną relacją z kopalni siarki. „Goręcej już być nie może” - prychnął, sapiąc i stękając. Pot kapał z jego poczerwieniałej twarzy, a zza pleców dobiegały krzyki i trzask batów. „A ten smród, na Boga, to jakby się wdychało czyste ekskrementy!” Stęknął raz jeszcze, po czym zniknął. Wkrótce potem zanurzyłem się w halucynacjach o Arli i demonach, które szybko wypaliły knot piękna. Gdy się zbudziłem po dwóch godzinach, na głównej ulicy Anamasobii leżały trzy cale śniegu, a szalejące wiatry przynosiły od strony Gronusa kolejne fale.

6.

Śnieg, niemal nieistniejący w Dobrze Skonstruowanym Mieście, był niewygodnym psikusiem natury, bez którego doskonale bym się obywał, lecz mimo to, przebierając się i odświeżając, czułem radosną energię na myśl o tym, że wkrótce będę mógł zrobić coś konkretnego. Gdy już byłem gotów, chwyciłem torbę z przyrządami i płaszcz, po czym poszedłem do gabinetu, by powiedzieć Arli, że musimy wrócić do kościoła. Z korytarza zawołałem do pani Mantakis, by nam przyniosła herbaty. zaproponowała także obiad, ale odmówiłem, bo pełen brzuch mógłby mnie wprowadzić w zbyt wielkoduszny nastrój.

Arla siedziała przy biurku, pisząc coś w swoim notesie. Choć była sztywno wyprostowana, jej ręka szaleńczo pędziła po papierze. W ciągu minuty, gdy tak stałem w milczeniu i patrzyłem, dziewczyna zdążyła zapisać całą stronicę i zacząć kolejną.

- Zaraz przyniosą herbatę - powiedziałem w końcu, by jej uświadomić swoją obecność.

- Chwileczkę - odparła i pisała dalej.

Byłem nieco rozdrażniony faktem, że tak mnie zlekceważyła, ale w jej pisaniu była jakaś powściągnięta rozpacz, która sprawiła, że powstrzymałem się od działania. Dziewczyna wciąż pisała, gdy pani Mantakis przyniosła herbatę.

Weszła do środka z miną sugerującą, że nie pochwała podejmowania przeze mnie gości płci żeńskiej.

- Dobrze się pan bawił na przyjęciu? - zapytała, stawiając na stole przede mną srebrną tackę. Miała na sobie idiotyczny czepek i biały plisowany fartuch z naszywkami w postaci aniołków.

- Niezła gala - odparłem.

- Wkrótce po pańskim wyjściu upieczono nietoperza ognistego. Starczyło po kawałku dla każdego. Ludzie mówią, że dzięki temu lepiej się widzi w nocy.

- Przed zwymiotowaniem czy po? - zapytałem.

- Och, ekscelencjo, on ma bardzo interesujący smak, przypomina królika z przyprawami albo... próbował pan kiedyś curry z gołębia?

- Wystarczy - odrzekłem, wskazując drzwi. Oddaliła się pospiesznie, z założonymi rękami i spuszczoną głową.

- Żalosa kobiecina - powiedziałem do Arli, podnosząc filiżankę.

- Już idę - rzuciła.

W końcu podniosła się i przysiadła do mnie. Górny guzik bluzki miała rozpięty, a oczy zmęczone i piękne. Gdy nalewała sobie herbaty, zapytałem, czy nie zechciałaby mi towarzyszyć w pracy, którą miałem wykonać tej nocy.

Wydała mi się niezwykle obiecująca, gdy zamiast pytać, czym będziemy się zajmować, odpowiedziała po prostu:

- Tak, ekscelencjo.

Nie okazała podniecenia ani lęku. Tylko troszeczkę się zarumieniła. Popijając herbatę, kiwała w zamyśleniu głową ze wzrokiem utkwionym o cal od moich oczu. Opanowanie tej techniki zajęło mi całe lata.

- No i jakie tajemnice zdradził twój dziadek? - zapytałem, uwalniając się spod jej czaru.

- Jest klasyczną podczwórką z pewnymi ptasimi cechami - odparła.

- A nie zauważyłaś nic nietypowego w pomiarach od zmarszczek ocznych do szczęki?

- Ta część była najciekawsza - przyznała dziewczyna. - Jest zaledwie o włos od Ilorazu Świetności.

- Właśnie. Tak blisko, a zarazem tak daleko.

- Holistycznie jest trójką - dodała.

- Daj spokój, w fizjonomice nie ma miejsca na nepotyzm. Zawieszę swoje macki na haku, jeśli jest coś więcej niż dwa przecinek siedem. Coś jeszcze? - zapytałem.

- Nie - odparła - ale kiedy przesuwałam rękoma po jego twarzy, przypomniałam sobie, jak mi opowiadał fragment swojej historii, którą nazywał „Niemożliwą Podróżą do Ziemskiego Raju”. Był to tylko skrawek, ale zobaczyłam go bardzo wyraźnie i zapisałam w zeszycie.

- Podaj jakieś szczegóły - rzekłem. Postawiła filiżankę i usiadła wygodnie.

- Górnicy przybyli do opuszczonego miasta na pustkowiu i mieszkali tam przez trzy noce, zmęczeni bitwą ze stadem demonów. Dziadek sam zabił dwa z nich, jednego swoim długim nożem, a drugiego pistoletem. Wyrwał im rogi za pomocą szczypiec, by je zachować na pamiątkę.

- Miasto przypominało otoczone lądem morze i składało się z wielkich kopców ziemi podziurawionych tunelami. Pierwszej nocy górnicy widzieli na niebie dziwne czerwone światła. Drugiej jeden widział podobno ducha kobiety w woalce, idącego zrujnowanymi ulicami. Trzeciej nocy wujek burmistrza Bataldo, Joseph, został zabity we śnie przez coś, co pozostawiło sto par małych ran, jak po ugryzieniach. Cokolwiek to było, śledziło ich na pustkowiu przez wiele dni, póki nie przekroczyli rzeki.

Noc była zimna, a wiatr nieubłaganie wiał nam w twarz, gdy zdążaliśmy do kościoła w Anamasobii. Banda urwisów lepiła bałwana przed domem burmistrza. Gdyby nie było to całkiem niedorzeczne, pomyślałbym, że to moja podobizna. Obecność Arli i fakt, że miałem do wypełnienia obowiązki, powstrzymały mnie przed potraktowaniem go swoim butem. „Nieważne”, pomyślałem wielkodusznie. „Ich wrodzona głupota jest wystarczającą karą”.

Chwilę później Arla zawołała do mnie poprzez wiatr:

- Zauważył pan, że te dzieciaki rzeźbią Podróżnika? Od czasu jego znalezienia stało się to dziecięcą tradycją.

- Dzieciaki - powiedziałem. - Rasa dziwacznych dewiantów.

Wtedy ona coś powiedziała i nawet się roześmiała, ale wiatr zagłuszył jej słowa.

Nigdy bym nie pomyślał, że z przyjemnością przekroczę próg tej Świątyni Nonsensu, ale fakt, że śnieg przestał zacinać w twarz, sprawił, iż kościół wydał mi się niemal znośny. Gdy Arla zamknęła za nami niewydarzone drzwiczki, przez chwilę stałem wsłuchany w nagłą ciszę i dobiegające jakby z bardzo daleka wycie wiatru. Włosy dziewczyny były mokre, a ich zapach wydawał się wypełniać cały ciemny przedsionek. Mimowolnie uniosłem dłoń, by dotknąć jej twarzy, ale na szczęście Arla ruszyła już w stronę mostu. Przeszliśmy na drugą stronę - ja nieco chwiejnie, oszołomiony rozsiewanym przez nią zapachem wilgotnego lasu. Dałbym tysiąc nadoli, by móc tej nocy czytać ją zamiast tego długiego na sześć i pół stopy manekina z zaszuszonego łąjna, którego podsunął mi Garland.

Ojciec czekał już na nas. Jakimś sposobem udało mu się przenieść Podróżnika na spłaszczony głaz służący za ołtarz.

- Ekscelencjo - rzekł i skłonił się. Najwyraźniej był w znacznie lepszym nastroju niż po południu.

Skinąłem mu ręką od niechcenia.

- Arlo, moja droga - powitał dziewczynę, a ona podeszła i ucałowała go w czoło. Gdy to czyniła, zauważyłem, że ksiądz opiera swoją drobną rączkę z ostrymi pazurami na jej biodrze.

- Jak ojciec go tu dotaszczył? - zapytałem, by skrócić to sielankowe przywitanie.

- Podróżnik jest lekki - rzekł ksiądz. - Niemal jakby był zrobiony z papieru albo suszonych łodyg kukurydzy. Oczywiście musiałem ciągnąć jego stopy po schodach, ale ledwie się zadyszałem, wciągając go na górę.

Wizja Garlanda, który się zadyszał, była niemal niewyobrażalna.

Wszedłem na ołtarz i położyłem torbę z przyrządami obok głowy preparatu. Arla podążyła za mną i pomogła mi zdjąć płaszcz. Gdy zdejmowała swój, ja zacząłem układać narzędzia w kolejności, w jakiej miały zostać użyte.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał z entuzjazmem Garland.

- Tak - odparłem, nie podnosząc głowy. - Może ojciec zniknąć.

- Myślałem, że pozwoli mi pan popatrzeć. Jestem ogromnie zainteresowany.

- Niech ojciec już idzie - pogoniłem go, nie podnosząc głowy.

Nadąsany, podreptał w stronę korytarza wiodącego do jego biura. Nim jednak zniknął, rzucił aforystyczne błogosławieństwo:

- Niech Bóg będzie wszędzie, gdzie zamierzacie zajrzeć, i nigdzie, gdzie już zagląдалиście.

- Dziękujemy, ojczy - rzekła Arla.

Obróciłem się ku niemu i cicho zaśmiałem mu się w twarz, która po chwili zniknęła w korytarzu.

- Podaj mi ten promieniomierz czaszkowy - powiedziałem do dziewczyny, wskazując pierwszy przyrząd, chromową obręcz z odpowiednimi śrubami reprezentującymi cztery kierunki kompasu. Zaczęliśmy.

By przeprowadzić odczyt, musiałem pokonać odrazę, jaką w pierwszej chwili budził we mnie dotyk lśniącej, brązowej, przypominającej pancerzyk żuka skóry Podróżnika. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczyliśmy się w akademii, było to, że ciemna pigmentacja ciała jest

ewidentną oznaką obniżonej inteligencji i wątego kręgosłupa moralnego. Ponadto konsystencja skóry, przypominającej cienką, lecz nieco plastyczną skorupkę jajka, wzbudziła we mnie obawy, że moje ostre przyrządy mogą pozostawić rysę w głowie preparatu. Włożyłem skórzane rękawice i przystąpiłem do pracy z promieniomierzem.

Przy wąskiej czaszce Podróżnika głowa Mantakisa, też przecież wąska, zdawała się niemal ogromna, a mimo to spoczywające przede mną dzieło natury miało w sobie taką zwięzłość i elegancję, że obliczenia, których dokonałem w swoim kajecie - maleńkim, oprawionym w skórę tomiku, gdzie zapisywałem tajnym kodem wszystkie swoje wnioski za pomocą igły umoczonej w atramencie - wskazały jednocześnie na ogromny niedobór racjonalnej myśli i jakąś nieuchwytną boskość. Liczby zdawały się kpić ze mnie, ale nie próbowałem ich korygować, bo nigdy w życiu nie czytałem niczego podobnego. „Czy on jest człowiekiem?” - napisałem u dołu strony.

- Podaj mi miarę nosową - rzekłem do Arli, która stała obok i przyglądała się wszystkiemu z zachwytem. Teraz rozumiałem, że poproszenie ją o udział w tym przedsięwzięciu mogło być błędem. Nie chciałem, by wyczuła moje wahanie dotyczące twarzy Podróżnika. Cóż może być gorsze niż uczeń odkrywający w swoim mentorze brak pewności?

- Z bliska wygląda niesamowicie - powiedziała. - Fizyczne cechy wskazują jedynie na słabiutki związek z rasą ludzką, a jednak on ma w sobie coś więcej.

- Proszę - napomniałem ją - musimy pozwolić, by liczby same wyciągnęły wnioski.

Obawiam się, że potraktowała to jako reprimendę, bo od tej chwili nie odezwała się ani słowem.

Nos wyrastał niemal z granicy włosów i zamiast wywijać się na zewnątrz przy nozdrzach, zwężał się do ostrego czubka z dwiema maleńkimi dziurkami, przypominającymi zrobione scyzorykiem ranki, po obu stronach. „Szaleństwo” - wymamrotałem, lecz i tym razem precyzyjnie zanotowałem wszystkie swoje wnioski. Matematyka, zamiast niewzruszenie potwierdzić moje podejrzenia, że preparat jest przedstawicielem prehistorycznego protoczłowieka, wskazywała na idealne proporcje pięciogwiazdkowca - najwyższej klasy fizjonomicznej, do której należeliśmy ja i Arla.

Włosy Podróżnika były długie, czarne i zaplecione w warkocze. Wyglądały na równie zdrowe jak piękne pukle Arli. W pewnym punkcie warkocze się kończyły, ale włosy urosły jeszcze o całe sześć cali. Patrząc na nie, byłem zmuszony zadać sobie pytanie, czy nie rosły także po śmierci, powoli przedzierając się poprzez wieki. Zdjąłem rękawicę i ostrożnie przebiegłem po

nich palcami. Były miękkie jak jedwab i niemal czułem, jak pulsuje w nich życie. Wytarłem dłoń o spodnie i szybko wsunąłem ją z powrotem w rękawicę.

Kontynuowałem pracę, co jakiś czas prosząc Arłę, by mi podała kolejny przyrząd - imadło wargowe Hadrisa, wzorzec oczny, miernik chrząstki płatków usznych i tak dalej. Pracowałem powoli i starannie, jak zawsze precyzyjnie rejestrując swoje spostrzeżenia; przez cały czas jednak w moich trzewiach narastało poczucie frustracji. Matematyka statystyczna tej dziwnej głowy działała bardziej jak magia, wyczarowując coś znacznie przewyższającego nawet moje własne rysy. Kiedy pozostały mi jedynie pomiary za pomocą macek, będące moją specjalnością, odstąpiłem od ołtarza i dałem Arli znak, byśmy zrobili sobie przerwę.

Odwrociłem się od Podróżnika i zapaliłem papierosa, by uspokoić nerwy. Pot ściekał mi po brwi, a koszula cała była mokra. Arla siedziała w milczeniu, lecz spoglądała na mnie pytająco, jakby chciała, żebym jej zrelacjonował dotychczasowe wyniki.

- Za wcześniej na definitywne wnioski - powiedziałem.

Skinęła głową, po czym odwróciła wzrok ode mnie i zerknęła na pociągłą twarz Podróżnika. Od razu wiedziałem, czego szuka: tych samych proporcji od zmarszczek ocznych do szczęki, o których wcześniej rozmawialiśmy w kontekście jej dziadka. Nie potrzebowałem macek, by wiedzieć, że pomiary tej twarzy dadzą mi wynik bez trudu mieszczący się w obszarze Ilorazu Świetności.

- Ekscelencjo - odezwała się dziewczyna - mam wrażenie, że on się porusza.

Obróciłem się gwałtownie, a ona pognęła do ołtarza. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na piersi Podróżnika.

- Czuję to - powiedziała. - Ledwo dostrzegalny ruch. Sięgnąłem po jej dłoń i oderwałem ją od preparatu.

- Daj spokój - powiedziałem. - Czasem możemy wątpić w to, co widzimy, ale obawiam się, że nie można wątpić w śmierć, zwłaszcza kiedy ta ulokowała się w kimś już dobrych tysiąc lat temu.

- Ale ja czułam, jak się porusza! - rzekła dziewczyna. W jej oczach malował się strach. Nie mogłem jej puścić.

- Garland prawdopodobnie naruszył wewnętrzną strukturę preparatu, gdy go przenosił. Zapewne poczułaś, jak łamią się kruche kostki obrócone w sól albo przemieszczają się spetryfikowane narządy. Nic ponad to.

- Tak jest, ekscelencjo - odpowiedziała, lecz mimo to cofnęła się z przerażoną miną.

Jak mógłbym jej powiedzieć, że wszystkie moje obliczenia do tej pory wskazują na jednostkę o ogromnej świadomości i subtelnych niuansach? Jak mógłbym się przyznać, że ten wybryk natury o skórze robaka i pokrytych pajęczyną palcach znajduje się, o ile jestem w stanie ocenić, na samym wierzchołku ludzkiej ewolucji? „Gdzie to stawia mnie?” - zastanawiałem się. Rozpaczliwie pragnąłem zmienić uzyskane wyniki. Byłoby to łatwe, a biorąc pod uwagę wszystko, co się z tym wiązało, wiedziałem, że tak byłoby lepiej, ale magia, która zainfekowała moje obliczenia, zaczarowała także mnie, przywiązując do gorzkiej prawdy.

Rozpostarłem szeroko macki i ponownie podszedłem do preparatu. Po raz pierwszy, odkąd rozpocząłem pracę, ujrzałem twarz pozbawioną znaczenia geometrycznego czy numerologicznego. Zamiast kątów i promieni zauważyłem przebiegły uśmiezek zaciśniętych warg, a z kształtu i pozycji zamkniętych oczu odczytałem, że Podróżnik był człowiekiem o wielkiej mądrości i poczuciu humoru. Potem podniosłem wzrok i zobaczyłem, że płomienie wszystkich świec w ciemnej jaskini, jaką był kościół, zadrżały. W mojej głowie odezwał się głos

Mistrza. „Cley - mówił - jesteś pogrzebany żywcem”. Poczułem się uwięziony i dostałem ataku klaustrofobii. Zmusiłem się do ukrycia mego lęku i umieściłem jeden kraniec przyrządu w samym środku czoła preparatu, drugi zaś na czubku jego długiej brody, z której sterczał mały, szpiczasty zarost. Usiłowałem przeprowadzić odczyt, lecz nagle pojąłem, że nie mam najmniejszego pojęcia, co właściwie robię. Fizjonomika, ze swoim granitowym fundamentem w historii kultury, niespodziewanie rozpuściła się jak kostka cukru w wodzie. Stałem pomiędzy moją ukochaną a tą bryłą żywej śmierci i czułem, jak uderza we mnie grzmiące kazanie Garlanda.

- Aha - odezwałem się nieco zbyt teatralnie. - Mam to, czego szukałem.

- To znaczy? - zapytała Arla.

- Jeśli weźmie się pod uwagę skąpe otwory nosowe i podzieli przez pomiar od środka czoła do środka brody, co właśnie uczyniłem, uzyska się wektor Flocka, który z kolei zdecydowanie dowodzi, że nasz obiekt jest niewiele wyższy w hierarchii od dwunożnego zwierzęcia.

- Wektor Flocka? - zapytała. - Nie słyszałam o nim.

Ja też nie, ale naprędce wymyśliłem całą historię i rozwodziłem się szeroko nad wybitnym talentem mego profesora.

Na twarz Arli wypełzło rozczarowanie. Nie miałem pewności, czy odnosi się ono do mnie, czy też do nadziei uczestnictwa w wielkim odkryciu. W tamtej chwili nie pragnąłem jednak niczego z wyjątkiem piękna i wielogodzinnego snu.

Gdy chowałem przyrządy, Arla zapytała, czy ma zawołać Garlanda. Przyłożyłem palec do ust i skinąłem na nią, by szła za mną. Wyglądała na zdziwioną, ale pomogła mi włożyć płaszcz, po czym sama się ubrała. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na Podróżnika i ulotniliśmy się. Arla wyglądała teraz nieco inaczej. Usta miała lekko otwarte, jakby wysysała ze mnie całą fizjonomikę i nasyciła się nią.

Ja zaś za skarby świata nie mogłem sobie przypomnieć najbardziej podstawowych teorii, a cała geometria przeobraziła się w moich oczach w kręgi. Nagłe uczucie straty oszołomiło mnie i wywołało mdłości. Nie miałem już punktu widzenia na świat, nie byłem dla siebie ostoją. Arla pomogła mi pokonać rozkołysany most, przejść przez drzwi i zejść po schodach. Gdy szliśmy wśród szalejącej zamieci, a ona nadal mnie nie puszczała, zrozumiałem, że wie, iż coś jest nie tak.

Po kilku głębokich wdechach zażądałem, by puściła moją rękę, i potężnym wysiłkiem woli ruszyłem naprzód swoim zwykłym, pewnym siebie krokiem. Moje oczy, pozbawione zdolności mierzenia, nie widziały wokół żadnego sensu. Wszystko, co mnie otaczało, było niewytłumaczalne i tchnęło niepewnością. „Struktura określa istnienie świata fizycznego” - powiedziałem do siebie. Przynajmniej tyle pamiętałem, ale sens tych słów stopił się i zastygł gdzieś u podstawy mojego kręgosłupa.

Pożegnałem się z Arłą na ulicy, przed Hotelem de Skree.

- Jutro punktualnie o dziesiątej - powiedziałem. - Nie spóźnij się.

7.

Gdy tylko znalazłem się w pokoju, wtłoczyłem półtorej fiołki piękna w swoją ulubioną żyłę. Niebezpiecznie zbliżyłem się do granicy przedawkowania, ale potrzebowałem silnego leku, by uśmierzył mój ból. Niemal natychmiast poczułem, jak fioletowy płyn zaczyna perkotać w mojej głowie i piersi, lecz nim oddałem się w pełni w jego władanie, podszedłem do swojej walizki i wyjąłem pistolet, który nosiłem dla ochrony przed wrogimi elementami. Przystawiłem krzesło oparciem do ściany i usiadłem, rozprostowując nogi i ze wszystkich sił nasłuchując, czy nie zbliża się nieokreślone niebezpieczeństwo.

Przekłeta Anamasobia stała się piekłem fizjonomisty. Modliłem się do wszystkiego - do Gronusa, Arli, Dobrze Skonstruowanego Miasta - żeby moja amnezja okazała się przejściowa. Gdyby było inaczej, moje życie utraciłoby wszelki sens i wiedziałem, że w końcu skierowałbym lufę pistoletu na siebie.

- Wektor Flocka, no, no - odezwał się ze śmiechem profesor, który objawił się przede mną, odziany od stóp do głów w biel i równie młody jak w pierwszym dniu moich zajęć z nim. - Podoba mi się.

- Ten przekłety Podróżnik wszystko wymazał - burknąłem, nie widząc w tym nic śmiesznego.

- Może wkrótce do mnie dołączysz - rzekł.

- Wynoś się! - wrzasnąłem. Zniknął natychmiast, ale jego śmiech wciąż unosił się w powietrzu jak dym zgaszonego papierosa.

Na wyjącm za oknem wietrze slyszalem ciche glosy, przekazujace z ust do ust plotki. Swiatla migotaly. Mantakisowie albo stekali, albo spiewali, a podloga poczela falowac niczym tafla wody. Miotany pradem, usilowalem myslec o liczbach i zasadach, ale przed oczami duszy widzialem jedynie parade pozbawionych znaczenia twarzy. Im bardziej intensywnie myslalem, tym szybciej pedzily, znikajac w scianie nad lozkiem. W trakcie swojej kariery odczytalem kazda z nich i kazda ujawnila moim przyrzadom i sprawnemu oku jakas wine, ale teraz rownie dobrze moglyby byc kawalkami krematu, bo wyrazaly dokladnie tyle samo. Nie znajdowalem sumy, a gdy probowalem dzielic, w mozgu robilo mi sie spiecie owocujace fontannami zielonych iskier. Gdybym sprbowa! myslec o wzorze na stosunek powierzchni do glębokości, natychmiast zobaczy!bym burmistrza Bataldo, opartego o barierę balkonu i mówiącego „Pierwszorzedne lanie” z usmiechem klasycznego debila na twarzy.

Potrabillem jednak odczytac zapowiedz klęski wypisaną na moim własnym obliczu, spoglądajacym na mnie z Ardenowego lustra poprzez pokój. Ręce mi drzaly od chłodu wywołanego przez piękno, od czasu do czasu porażające w ten sposób układ nerwowy wieloletnich użytkowników, i doznawalem intensywnego uczucia paranoi. Przez chwile zdawalo mi się, że widzę w oknie twarz demona, wpatrującą się we mnie poprzez padający śnieg. By się uspokoić, wstalem, podnioslem z toaletki torbę z przyrzadami i zaniostem ją na lozko. Nadal trzymajac pistolet w lewej ręce, prawą otworzyłem torbę i jeden po drugim wyjmowalem chromowe narzedzia. Uložylem je na lozku w rownym rzadku, po czym stanalem i wpatrywalem się, lecz widok kazdego z nich przywodzi! mi na myśl przeklęta twarz

Podróznika, Sięgallem własnie po macki, gdy uslyszalem czyjes ciężkie kroki, pñące się mozolnie po schodach.

Obróciłem się gwałtownie ku drzwiom, unosząc pistolet, i wtedy nagle uderzy!o mnie pytanie: dlaczego nazywają tę człekopodobną rzecz Podróznikiem? Nie wydawalo mi się, by przez ostatnie stulecia dokadkolwiek podróżowal. Mimo to zobaczyłem go teraz oczami duszy, jak zmierza ku mnie niczym ogromna, sucha łodyga kukurydzy, szeleszcząca na jesiennym wietrze, zmęczonym krokiem pokonująca schody; slyszalem pękanie skóry, wydechy, szelest pyłu. Zastanawialem się, czy dotyka barierki.

- Mantakis! - wrzasnałem z całych sił, lecz z moich ust wydoby!ł się jedynie cichy szept.

Odgłos kroków na schodach umilkł, a ja odbezpieczyłem pistolet. Nigdy przedtem nie strzelałem i zastanawiałem się, czy broń w ogóle jest naładowana. Rozległy się trzy metodyczne puknięcia do drzwi, a w ciszy, która nastąpiła po nich, dosłyszałem świszczący, zmęczony oddech.

- Wejść - powiedziałem.

Drzwi się otworzyły. Całe szczęście, że nie poddałem się chęci naciśnięcia spustu, bo w progu stanął wieprzowaty woźnica czterokonnego zaprzęgu. Nieszczęsny pokurcz spoglądał na mnie szklistymi oczyma, jakby lunatykował.

- Mistrz prosił, żebym pana przyprowadził - rzekł, wcale nie wyglądając na kogoś, kto żartuje.

- Drachton Nadolny tu jest? - zapytałem z nieskrywanym zdumieniem.

- Musi pan pójść ze mną, ekscelencjo - odparł jedynie woźnica.

- Dobrze więc - wymamrotałem. Włożyłem płaszcz i pozbierałem narzędzia, pospiesznie wrzucając je do torby i zatraskując. Gdy woźnica odwrócił się i począł schodzić, wsunąłem do kieszeni płaszcza pistolet. Trzęsąc się jak osika, z umysłem żeglującym przez wzburzone oceany piękna, ruszyłem chwiejnie ku drzwiom. Znalazszy się obok drzwi sypialni Mantakisów, usłyszałem zrzędlawy głos pani Mantakis i sam jego dźwięk wypłukał ze mnie resztki energii. Wycieńczony, oparłem się na moment o ścianę i zamknąłem oczy.

- Ekscelencjo - napomniął mnie woźnica. Natychmiast się ocknąłem i jakimś sposobem udało mi się wyjść z hotelu. Księżyc świecił jasno, było ciepło i wyglądało na to, że cały śnieg stopniał.

- Jak to możliwe? - zapytałem zdziwiony.

- Mistrz czeka - rzekł woźnica, przytrzymując mi drzwi powozu.

Skinąłem tylko głową i wsiałem.

Ruszyliśmy główną ulicą miasteczka, a ja zachodziłem w głowę, dokąd też on mnie wiezie. Miałem milion pytań, lecz szybko doszedłem do wniosku, że cały ten epizod musi być wywołany przez piękno, które oplotło mnie swoją magią. „To nie jest rzeczywiste” - powiedziałem do siebie. Gdy minęliśmy kościół i mknęliśmy przez pole ku granicy, za którą zaczynała się dzika kraina, odchyliłem się na siedzeniu i zamknąłem oczy w nadziei, że jeśli zdołam zasnąć, zbudzę się w swoim pokoju Hotelu de Skree, albo nawet - co ucieszyłoby mnie jeszcze bardziej - w Dobrze Skonstruowanym Mieście.

Musiałem rzeczywiście zasnąć, bo zbudziło mnie szarpnięcie wywołane nagłym zatrzymaniem się powozu. Nieustępliwa halucynacja, wyszeptałem. Wyrzałem przez okno, lecz z równie dobrym skutkiem mógłbym zaglądać do kałuży atramentu. Nie dostrzegłem najmniejszego promyka światła. Niespodziewanie drzwi się otworzyły i stanął w nich woźnica z latarnią w ręku. Płomień rozwiewał się i strzelał na ciepłym wietrze, oświetlając niewydarzoną twarz mężczyzny w taki sposób, że wydała mi się bardziej złowroga niż głupia.

- Gdzież my jesteśmy, na zadek Harrowa, mój dobry człowieku? - zapytałem, wychodząc w noc. Wsunąłem lewą dłoń do kieszeni płaszcza i zacisnąłem palce na pistolecie. Druga ręka poszła w ślady pierwszej i wymacała uchwyt skalpela.

- To wejście do kopalni w Gronusie - odrzekł. - Proszę za mną, ekscelencjo.

Przeszliśmy kilka kroków drogą gruntową i stanęliśmy przed obudowanym drewnem wylotem głównego szybu.

- Jesteś pewien, że Mistrz tu jest? - zapytałem. Zamiast odpowiedzieć, zanurzył się w jeszcze głębszym mroku i powoli podążał naprzód. Mimo to z trudem dotrzymywałem mu kroku, przez cały czas zastanawiając się gorączkowo, jakie pytania może mi zadać Mistrz. „Niezależnie od tego, jak będzie źle - powiedziałem sobie - jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, ani słowem nie wspomnisz o Arli”.

Długo szliśmy w absolutnej ciemności. Owszem, mieliśmy latarnię, cóż jednak mogła ona oświetlić? Na każdych kilka jardów rozjaśnionej nocy przypadały całe oceany niezgłębionego mroku. Osaczony nim, ledwie powstrzymywałem się od krzyku. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem udaje mi się zrobić kolejny krok, ale szedłem. Wydawało się, że wędrujemy przez samo jądro nicości, gdy wtem, skręciwszy w prawo, znaleźliśmy się w niewielkiej grocie, rozświetlonej przez jakieś niewidzialne źródło światła tak, że było tam jasno jak w dzień. Na wysokim krześle, ustawionym przed ogrodem sięgających do pasa stalagmitów, ze skromnie skrzyżowanymi nogami zasiadał Drachton Nadolny z długim, cienkim papierosem w ustach. U jego stóp zwinęło się w kulkę odwrócone do mnie tyłem wielkie, podobne do psa stworzenie o długiej, srebrzystej sierści.

- Miło cię widzieć, Cley - rzekł Mistrz, wydmuchując cieniutką jak słomka strużkę dymu. Miał na sobie jedwabne spodnie w kolorze burgunda i marynarkę barwy limony. Błada skóra bezwłosej piersi niemal odbijała wszechobecne jaskrawe światło.

- Mistrzu - powiedziałem, kłaniając się lekko.

- Jak twoje dochodzenie? - zapytał, przypatrując się wierzchowi swej prawej dłoni.

- Doskonale - odparłem.

- Ach, tak... - mruknął.

- Ale, Mistrzu, czy pan jest prawdziwy? - zapytałem. - Brałem ostatnio piękno i jestem nieco skonfundowany co do realności bieżących zdarzeń.

- Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwy”? - zapytał ze śmiechem.

- Czy pan tu jest?

- Nie tylko tu jestem, ale - spójrz - przyprowadziłem twoją starą znajomą.

Po tych słowach Mistrz trącił podeszwą sandała stworzenie leżące u jego stóp.

- Wstawaj - rozkazał.

Zwierzę warknęło cicho, spazmatycznie wierzgnęło tylnymi łapami i zaczęło się podnosić. Ze zdumieniem zobaczyłem, że nie staje na czterech łapach, lecz na dwóch, jak pies, któremu się zdaje, że jest człowiekiem.

- Zaraz, zaraz... - powiedziałem, bo coś w tym stworzeniu wydało mi się znajome. I rzeczywiście, gdy się odwróciło, ujrzałem wilczą twarz Grety Sykes, wilkołaka latrobiańskiego. - Tylko nie to - rzekłem, przyglądając się jej. Była wyższa niż wtedy, gdy ją wytropiłem, a czubek głowy i czoło przebijały dwa rzędy gwoździ. Siekacze i pazury wciąż miała ostre, ale teraz pod grubym futrem dostrzegałem ludzkie piersi młodej kobiety. W jej oczach malowało się wielkie cierpienie i smutek.

- Twoja mała wilczyca. Trochę nad nią popracowałem. Pogrzebałem w mózgu i dodałem nowe ośrodki bólu. Nie zmienia się już w dziewczynę; teraz jest skuteczną agentką.

- Pański geniusz mnie zdumiewa - wyjąkałem.

- Leżeć - rozkazał. Wilczyca posłusznie położyła się na podłodze u jego stóp. - Postaraj się raczej o to, Cley, aby to twój geniusz mnie zdumiał przy zwieńczeniu obecnej pracy. Chcę mieć biały owoc.

- Zamierzam zastosować dwunasty manewr - oznajmiłem.

Zaśmiał mi się w twarz.

- Rób, co chcesz - powiedział, machając ręką. - Jeśli ci się nie uda, każę pannie Sykes zastosować ostatni manewr na tobie i reszcie tej nędznej dziury.

- Jak pan sobie życzy, Mistrzu - rzekłem.

- A cóż to za pogłoski słyszę o pewnej młodej damie, która ci asystuje?

- To tylko sekretarka, Mistrzu. Muszę odczytać mnóstwo ciał. Potrzebny mi ktoś do pomocy, żebym się nie pogubił.

- Cwaniak z ciebie, Cley - odparł. - Nie obchodzi mnie, co z nią robisz. Chcę owocu. Dobrze Skonstruowane Miasto potrzebuje mojej nieśmiertelności.

- A teraz - dodał, odwracając się do mnie profilem i wkładając do ust znacznie już skróconego papierosa - wyjmij z kieszeni ten sztuczny członek i daj nam pokaz starej, dobrej naukowej precyzji.

- Mam strzelać? - zapytałem.

- Nie, masz tam stać do końca czasu. W tym tygodniu nie wręczam medali za głupie pytania. Więc lepiej się za to zabieraj - rzekł, uśmiechając się połową twarzy.

Wyjąłem pistolet i uniosłem rękę, by wycelować. Broń wykrzywiła mi się i opadała pod wpływem piękna, strachu i coraz bardziej duszącego odoru Greta Sykes. „Co będzie, jeśli chybię?” - pomyślałem, zamykając jedno oko, by lepiej widzieć. Ta myśl eksplodowała w moim umyśle jeszcze zanim wystrzelił pistolet. Huk odbił się echem od błękitnych ścian jaskini.

Zbudziłem się gwałtownie i usiadłem prosto. Po drugiej stronie pokoju widniała elegancka dziura w samym środku Ardenowego lustra, a na podłodze leżał deszcz odłamków. Potrząsnąłem głową, by rozjaśnić myśli. Za oknem świeciło słońce, zamieć najwyraźniej przeszła już do historii. Rzuciłem pistolet na podłogę i sięgnąłem po papierosa. Piętro niżej usłyszałem jakąś krzątanie, po której na schodach zabrzmiały pospieszne kroki Mantakisa. Walenie w drzwi jeszcze pogłębiło mój ból głowy i zakłuło w oczy.

- Ekscelencjo! - zawołał gospodarz. - Czy to był strzał?

- To tylko mały eksperyment, Mantakis - odparłem.

- Eksperyment? - zdziwił się.

- Chciałem sprawdzić, czy nie śpisz.

- Nie śpię, ekscelencjo - odparł.

- Która godzina?

- Dziewiąta pięćdziesiąt.

- Przygotuj mi kąpiel i przynieś gorącą miskę tego ekskrementu, który tu uchodzi za pożywienie - poleciłem.

- Małżonka zrobiła gulasz krematowy - rzekł. - To jej specjalność.

- Nie strasz mnie, Mantakis.

Omali nie straciłem przytomności, pływając się w lodowatej wodzie. Panował mróz, wiatr wzniecał tumany śniegu, a ja czułem się, jakbym naprawdę odbył nocną podróż do wnętrza Gronusa. W głowie miałem mętlik, a moja świadomość poczęła się kurczyć. Byłem bliski utonięcia, gdy zjawił się Mantakis i zamachał mi przed nosem miską cuchnącego gulaszu, która przywróciła mnie do pełnej przytomności niczym sole trzeźwiące. Podziękowałem z całego serca za tę wstrząsową terapię, po czym kazałem mu zabrać gulasz i siebie gdzie pieprz rośnie.

Siedziałem zmarznięty na kość i przeszukiwałem każdy cal swego umysłu w poszukiwaniu utraconej fizjonomiki. Nie potrafiłem przywołać ani jednej cyfry, odczytać nawet fragmentu podbródka. „Co robicie, kiedy powierzchnia się załamuje i spadacie w głąb?” - zapytałem zasy za firanką. Potem chłodny podmuch wiatru przywiał mi na myśl Mistrza i przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem Drachton Nadolny rzeczywiście się ze mną nie skontaktował, jakimś sposobem wpływając wraz z pięknem w halucynacje ostatniej nocy. Wspomnienie stojącej przede mną Greta Sykes wskazywało raczej na to, że cały incydent nie był niczym więcej niż koszmarem utkanym z moich największych lęków, ale Mistrz władał wielką, pierwotną magią, o której ja nie miałem najmniejszego pojęcia. Mimo swej groteskowej dziwaczności wszystkie te myśli nie niepokoiły mnie jednak tak bardzo jak perspektywa stanięcia przed twarzami mieszkańców Anamasobii z pustką w głowie.

8.

Burmistrz Bataldo oczekiwał mnie przed hotelem, stojąc w niewielkiej zaspie. Miał na sobie długi, czarny płaszcz, a na bulwiastej głowie żaloszny czarny kapelusz z szerokim rondem. Na mój widok uśmiechnął się tak komicznie, że - szczerze mówiąc - miałem ochotę znowu mu przyłożyć.

- Piękny dziś dzień, ekscelencjo - rzekł.

- Niech pan nie przeciąga struny - powiedziałem. - Moja cierpliwość jest dziś cokolwiek nadszarpnięta.

- Ludność Anamasobii oczekuje pana w kościele - kontynuował już nieco poważniej, wciąż jednak uśmiechając się lekko.

Ruszyliśmy wzdłuż ulicy. Śnieg skrzypiał pod butami, a wszędzie wokół panował bezruch i cisza, jakbyśmy znajdowali się na cmentarzu. Po drodze burmistrz zrelacjonował mi szczegółowo swoje przygotowania.

- Przydzieliłem panu do ochrony najbardziej brutalnego z górników, niejakiego Calloo. Będzie pana strzegł przed ewentualnymi protestami obywateli. Ojciec Garland ustawił wokół ołtarza parawan, by ci, którzy będą musieli się rozebrać, mieli trochę prywatności. Nawiasem mówiąc, ojciec wychodzi z siebie na myśl o tym, że nagość i nauka jednocześnie wkroczą w mury jego świątyni.

- Proszę go trzymać ode mnie z daleka - poleciłem. - Nie obchodzi mnie, jakim szacunkiem się tu cieszy z racji swojego stanowiska kościelnego. Każę go wychłostać jak psa, jeśli się wtrąci.

- Arla wspominała, że chciałby pan w pierwszej kolejności zobaczyć Morgana i jego córkę Alice, jako że wywołali oni w mieście pewne podejrzenia.

- Chętnie - odparłem.

- Proszę, oto pańskie okazy - rzekł Bataldo, wskazując przed siebie.

Znajdowaliśmy się dostatecznie blisko kościoła, bym mógł się przyjrzeć nieforemnemu szeregowi nieokrzesanych wykolejeńców. Gdy zauważyli, że się zbliżamy, umilkli, a ja z pewną przyjemnością dostrzegłem na niemal wszystkich twarzach odrobinę nerwowości, może nawet strachu. Niektórzy spośród największych, najbardziej brutalnie wyglądających górników nie okazywali jednak żadnych emocji. Czymże mógłbym ich wystraszyć, skoro spędzili taki kawał życia w ciemnościach, wiedząc, że w każdej chwili może nastąpić osunięcie ziemi lub wyciek gazu? Dobrze, że przynajmniej nie okazywali mi otwartej pogardy.

Już miałem się skierować ku drzwiom kościoła, gdy burmistrz schwycił mnie za ramię.

- Chwileczkę, ekscelencjo - rzekł, po czym obrócił się do tłumu i zawołał wzdłuż szeregu, wymachując rękoma: - Tak, jak ćwiczyliśmy: trzy - czte - ry!

- Dzień dobry, ekscelencjo! - zakrzyknęli nie całkiem zgodnym chórem mieszkańcy niczym banda uczniów witająca nauczyciela.

Zaskoczony, zdołałem jedynie skłonić się lekko w odpowiedzi, co wywołało w tłumie salwy śmiechu. Bataldo promieniał, zachwycony własną pomysłowością, we mnie zaś zabulgotał gniew, który na moment pozbawił mnie kontroli nad sytuacją. Gdybym wówczas wyciągnął naładowany pistolet i zastrzelił burmistrza, na co miałem wielką ochotę, mógłbym jednak zaszkodzić całej sprawie. Wziąłem więc głęboki oddech, odwróciłem się i ruszyłem ku drzwiom kościoła, potykając się na pierwszym z krzywych stopni, co wywołało kolejną falę wesołości za moimi plecami.

Idąc po chybottliwym mostku, który rozpoczynał się zaraz za wejściem, uświadomiłem sobie, że spociłem się jak mysz. Nie mogąc się oprzeć na fizjonomice, wiedziałem, że pozostało mi jedynie udawanie. Krótko mówiąc, musiałem przywdziać maskę kompetencji, pod którą zdołałem ukryć pustkę. Panujący w kościele półmrok był moim sprzymierzeńcem. Największy problem stanowiła Arla, która właśnie zmierzała ku mnie, promieniejąc urodą i niepojętą znajomością nauki, która niegdyś definiowała mój status.

- Gotowa, by trochę popracować? - zapytałem surowo, wręczając jej swoją torbę z przyrządami.

- Przez całą noc nie spałam, tylko przeglądałam swoje notatki - odparła. - Mam nadzieję, że się przydam.

Miała na sobie prostą szarą sukienkę, włosy zaś związała z tyłu, jakby chciała wyglądać bardziej profesjonalnie poprzez zmniejszenie akcentu na kobiecość. Mimo to jednak, i mimo wszystkich problemów, które krążyły nad moją głową jak stado wron, jej bliskość wywarła na mnie piorunujące wrażenie. Dotknąłem lekko jej ramienia i na moment przeniosłem się do Ziemskiego Raju. Potem zza drewnianego przepierzenia na ołtarzu wyłonił się ojciec Garland i niebo natychmiast stało się piekłem.

Podszedł do mnie jak jakiś hałaśliwy torbacznik, od którego niewiele się różnił. Ostre zębiska błysnęły w świetle latarki.

- Burmistrz mnie przestrzegł, żebym się nie wtrącał w pańskie działania - rzekł, wpychając się bezceremonialnie między Arłę i mnie - a ja zgodziłem się znieść to upokorzenie dla dobra naszego miasta, ale pan za to zapłaci w przyszłym życiu. W zaświatach znajduje się specjalna komora przeznaczona dla świętokradców, w której poddaje się ich męczarniom dalece przewyższającym przeżywanym na tym świecie ból samotności i utraconej miłości.

- Tak - odparłem - czy jednak przewyższają one ten jeden nieznośny moment, w którym jest się zmuszonym słuchać wywodów ojca?

- Nie umknęło mojej uwagi, że nie pozostał pan tu wczoraj, by ze mną przedyskutować swoje odkrycia na temat Podróżnika - rzekł z cierpkim uśmiechem. - Zdaje się, że nasza umowa przewidywała, iż poinformuje mnie pan o wynikach badań.

- To przedczłowiek - wtrąciła Arła, przychodząc mi z odsieczą.

- Istotnie - przytaknąłem - zachowany sprzed czasów dominacji naszej rasy. Interesująca nowinka, która mogłaby uświetnić kolekcję muzealną, ale pozbawiona większego znaczenia fizjonomicznego.

- Pomodłę się za pana - oznajmił Garland, po czym odwrócił się, podszedł do pierwszego rzędu kamiennych ław, przykląkł i złożył dłonie.

- Proszę mi tego oszczędzić - odparłem i ruszyłem za Arłę na ołtarz.

Tam czekał już na nas osobnik, którego burmistrz przydzielił nam do poskramiania niesubordynowanych pacjentów. Wyglądało na to, że Bataldo wyznaczył właściwą osobę: Calloo, bo tak go nazywano, miał figurę dorosłego niedźwiedzia, którego kiedyś widziałem w objazdowym cyrku na podgrodziu Dobrze Skonstruowanego Miasta. Miał gęstą czarną brodę i

włosy niemal tak długie jak Arla. Nie potrzebowałem fizjonomiki, by dostrzec, że jego dłonie, głowa, krótko mówiąc, każda część jego ciała stanowi afront dla zdroworozsądkowej natury. Nie tylko był wielki i potężny, ale nie dawał zbyt wielu oznak ludzkiej inteligencji. Gdy wydawałem mu rozkazy, odpowiadał chrząkaniem i kiwnięciami głowy. Posłałem go, by przyprowadził pierwszego z badanych, po czym rozłożyłem przyrządy na kamiennym ołtarzu, tak jak poprzedniego wieczoru.

Skoro ośmioletnia Alice, którą wszyscy podejrzewali o to, że ojciec nakarmił ją owocem, znała wszystkie odpowiedzi, chciałem się dowiedzieć, kto zadaje pytania. Usiadłem przed jej nagą figurą, udając, że coś zapisuję w swoim małym kajecie szpilką i atramentem. Wraz z utratą wiedzy zatraciłem system zapisu, obecnie zdający mi się jakąś ekstrawagancką, niezrozumiałą kursywą. Gdy przepytywałem dziewczynkę, Arla dokonywała pomiarów kraniometrycznych.

- Alice - zapytałem - czy jadłaś biały owoc?

- Jadłaś biały owoc - powiedziała, gapiąc się na mnie z wyrazem twarzy, przy którym Calloo wyglądał jak mędrzec.

- Alice - kontynuowałem - czy twoje myślenie ostatnio się zmieniło?

- Spieniło - powiedziała. Potrząsnąłem głową, zniecierpliwiony.

- Czy widziałaś owoc? - zapytałem. - Biały owoc. Widziałaś go?

- Wisiałaś dno - odpowiedziała.

- Czy ty coś z tego rozumiesz? - zwróciłem się do Arli.

Pokręciła głową, podeszła do mnie i szepnęła, że dziewczynka znajduje się na szczyblu minus drugim skali inteligencji, ale pomiary wskazują, że ma czyste serce.

- Następny! - wrzasnąłem.

Ojciec okazał się równie błyskotliwy jak córka. Wyróżniał go natomiast niespotykanych rozmiarów penis, stanowiący oczywiste anatomiczne świadectwo tępoty. Arla z wielkim zacięciem zabrała się do jego mierzenia, ale przerwałem jej w połowie, mówiąc szorstko:

- Nic tu nie znajdziesz. Następny!

Gdy obliczenia Arli i moje intuicyjne z konieczności oceny oczyściły z zarzutów głównych podejrzanych, zabraliśmy się za resztę miasteczka. Do tej pory mój plan, polegający na udawaniu, że wykorzystuję sposobność, do udzielania nauk swojej asystentce, całkiem się sprawdzał. „No i co znalazłaś?” - pytałem, ilekroć dokonała pomiarów jakimś przyrządem.

Posługiwała się chromowymi narzędziami z wielką wprawą, wykrzykując liczby, które miałem notować w swoim kajeciku. Oczywiście zamierzałem pozwolić jej przyłapać złodzieja w moim imieniu. Od czasu do czasu Arla miewała chwile wahania i spoglądała na mnie pytającym wzrokiem. „Kontynuuj - mówiłem wtedy. - Dam ci znać, jeśli popełnisz błąd”. Po takiej zachęcie dziewczyna uśmiechała się, jakby w podzięce za moją wielkoduszność, i wyglądało na to, że cała sprawa zakończy się bardziej pomyślnie, niż przypuszczałem.

Badani zaś przewijali się przez ołtarz jeden po drugim - niekończący się koszmar ohydy i paskudztwa. Przy ślepcie, która mnie ogarnęła, wyłuskanie z tego grona złodzieja było równie trudne jak znalezienie łajdaka w sali pełnej prawników. Ich nagość była strasznie denerwująca. Wszystkie te cielska i ich wywalone na wierzch seksualne atrybuty sprawiały, że żołądek podchodził mi do gardła. Kiedy Arla kazała żonie burmistrza się pochylić, zapaliłem papierosa w nadziei, że dym zasłoni przede mną jej żalosne tajemnice.

Potem, przy dwudziestym badanym - mężczyźnie nazwiskiem Frod Geeble, właścicielu tawerny - Arla przerwała kalibrowanie pępka i zwróciła się do mnie:

- Lepiej niech pan powtórzy pomiar.

Zerknąłem na nią nerwowo, a ona zmrużyła oczy, jakby przez moment mnie przejrzała. Szybko odłożyłem kajet i podszedłem do badanego. Arla podała mi przyrząd: pamiętałem jego nazwę, ale nie miałem pojęcia, jak się nim posługiwać. Zamiast więc wziąć kalibrownicę, pochyliłem się i przytknąłem lewe oko do pępka grubego mężczyzny, jakbym spoglądał w teleskop. Nie wiedząc, co robić dalej, wepchnąłem w otwór palec wskazujący. Frod Geeble beknął.

- Ciekawe - powiedziałem.

- Jaka liczba panu wychodzi? - zapytała Arla.

- Właśnie miałem zapytać o to ciebie - odparłem.

- Nie mam pewności. Odkryłam świadectwo demoralizacji w postaci obfitego owłosienia brwiowego - powiedziała.

- Nie przejmuj się niepewnością - zachęciłem ją.

- Ale... zeszłej nocy czytałam w pańskim dziele *Nieforemna otyłość i inne teorie fizjonomiczne*, że fizjonomista nigdy nie powinien wydawać sądów, gdy nie jest absolutnie pewien.

Nadal robiąc wszystko, by uniknąć zdemaskowania, wstałem, zjrzałem Frodowi Geeblebwi w oczy i zadałem sobie pytanie: „Czy ten człowiek mógł skraść święty owoc?”. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że tylko tak mogą oceniać drugą osobę ci, którym brak naukowej wiedzy. Niechlujność takiej metody wywołała we mnie dreszcz odrazy na myśl o nieprzeniknionych ciemnościach, w jakich wciąż żyją ci wszyscy ludzie. Mimo to jednak odniosłem wrażenie, że Geęble nie popełnił tej zbrodni.

- Ma orzechowe oczy - powiedziałem. - Niepotrzebnie się martwisz.

- Zatem jest niewinny - odrzekła.

- Darmowe drinki w tawernie dla waszej ekscelencji - rzekł Geeble, ubierając się.

Calloo już szedł po kolejnego delikwenta, gdy zawołałem za nim:

- Proszę tym razem przyprowadzić burmistrza! Zwalisty górnik wyszczerzył się od ucha do ucha i po raz pierwszy przemówił wyraźnie.

- Z przyjemnością, ekscelencjo. Sam musiałem się uśmiechnąć.

Burmistrz podszedł do nas z dłońmi splecionymi na częściach intymnych. Arla bez skrupułów przebadala go wszystkimi moimi przyrządami, tak jak pozostałych. Gdy skończyła dyktować mi pomiary, a ja udałem, że zapisuję je szpilką w kajecie, poprosiłem, by się odsunęła. Burmistrzowi, choć nie był fizjonomistą, wystarczyło jedno uważne spojrzenie, by odczytać moje złośliwe zamiary. Fałdy luźnej skóry na jego piersi i brzuchu oraz dolna warga poczęły drżeć.

- Wiem - powiedział i zaśmiał się nerwowo - nigdy dotąd nie widział pan takiego fascynującego okazu.

- Przeciwnie - odparłem - bardzo mi przypomina świnię.

- Nie jestem złodziejem - rzekł, odzyskując powagę.

- Bez wątpienia. Widzę jednak drobny defekt charakteru, który być może uda mi się naprawić - powiedziałem, po czym wstałem, podszedłem do miejsca, w którym wisiał mój płaszcz, i wyjąłem z kieszeni skalpel. Z przyrządem w dłoni stanąłem przed burmistrzem i zamachałem mu nim o cale od twarzy. - Zdiagnozowałem u pana idiotyczne poczucie humoru, które może przywieść pana .do zguby, jeśli nie skoryguje się go dość wcześnie.

- Może powinienem po prostu popracować nad większą powagą - wykrztusił.

- Spokojnie, burmistrzu, to nie będzie bolało. Próbuje jedynie dociec, gdzie trzeba zrobić odpowiednie nacięcie. Być może niżej, w pobliżu siedliska pańskiej inteligencji - oznajmiłem i zrobiłem krok do tyłu, by przejechać płazem wzdłuż jąder.

- Arlo, proszę - stęknął burmistrz ponad moim ramieniem.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie o jej obecności. Miałem wielką ochotę wyładować na Bataldo całą swą frustrację i pokroić go na kawałki jak ciasto, ale jeszcze silniejsza była chęć ukrycia przed Arlą gniewu.

Odesłałem go.

- Przejrzałam pana - rzekła dziewczyna, gdy burmistrz ubrał się i wyszedł.

- Co takiego? - zapytałem ostrożnie.

- Próbował go pan zmusić, by się przyznał - odparła.

- Czyżby?

- Zauważył pan oczywiście anomalie na jego siedzeniu, prawda? - zapytała.

- A konkretnie? - odpowiedziałem pytaniem, jakbym sprawdzał jej determinację.

- Kępkę włosów na lewym pośladku. Zdaje się, że nosi nazwę Atrybutu Centaura? To niezbity dowód na zdolność do kradzieży.

- Doskonale - pochwaliłem ją. - Już go umieściłem na liście podejrzanych.

Nim zapadł zmrok, zdążyliśmy przebadać połowę miasta, a ja byłem równie daleki od rozwiązania zagadki jak wtedy, gdy rozpoczynałem śledztwo. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to Podróżnik nagle ożył i skradł owoc. Arla przygotowała krótką listę podejrzanych, ale żaden z nich nie sprawiał wrażenia cudownie przemienionego. Może ktoś po prostu ukrył gdzieś owoc i czekał, aż sprawa ucichnie. Zapłaciłem Calloo kilka nadoli za jego pracę, w ostatniej chwili powstrzymując się od podziękowania mu. Prawdopodobnie moja wdzięczność wzięła się z faktu, że byłem niezmiernie uradowany z zakończenia tego długiego dnia. Spakowałem torbę, włożyłem płaszcz i spoglądałem tęsknie na rozpuszczającą włosy Arłę.

- Spotkajmy się za godzinę w hotelu - poleciłem jej.

Skinęła głową i wyszła z kościoła. Jej natychmiastowe odejście kazało mi się zastanowić, czy przejrzała moją grę. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy mogę jej ufać. Ale w tej chwili niczego nie pragnąłem bardziej niż piękna. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio wytrzymałem bez niego tak długo. Ręce drżały mi lekko i czułem nieznaczne łupanie w czaszce, ewidentny znak, że już dawno powinienem był sobie wstrzyknąć dawkę fioletowego płynu. Gdy wychodziłem, Garland wciąż klęczał i klepał swoje modły. Trzasnąłem drzwiami najgłośniej jak mogłem, mając nadzieję, że jego drewniany Gronus zwali mu się na głowę. Zamiast tego jednak znów się potknąłem na najniższym stopniu i poleciałem twarzą w śnieg.

9.

Gdy wszedłem do hotelu, pani Mantakis siedziała za biurkiem, licząc nadole i trajkocząc do siebie gorączkowo jak łasica schwytna we wnyki. Wytarłem ośnieżone buty o wycieraczkę i podszedłem do niej. Nawet gdy już nad nią stałem, nie zwróciła na mnie uwagi, tylko kontynuowała swój monolog:

- Jeżeli on myśli, że mam zamiar cały dzień stać na mrozie i czekać tylko po to żeby się dowiedzieć, że mam przyjść jutro, żeby mógł mnie pomacać swoimi głodnymi ślepiami to...

Odchrząknąłem, a ona nagle uniosła wzrok.

- Ekscelencjo - rzekła - jak miło pana widzieć. Musiał pan mieć długi, trudny dzień. Co mogę dla pana zrobić?

Zgarnęła pieniądze z kontuaru i uśmiechnęła się zdawkowo, by ukryć urazę.

- Dzień był męczący - przyznałem - ale jutrzejszy będzie dwa razy taki, biorąc pod uwagę fakt, że będę musiał spędzić jakiś czas na badaniu pani i małżonka.

- Dlaczego to ma być trudne? - zapytała. - Moja matka mawiała, że mam właściwe atrybuty.

- Zmarszczyła nos i rozszerzyła nozdrza, co sprawiło, że jej uśmiech stał się szyderczy.

- Nie wiedziałem, że pani matka była weterynarzem - zauważyłem.

Z trudem powstrzymała się od komentarza, wiedząc, że jestem zmęczony.

- Proszę przysłać do mego gabinetu dwie butelki, wina - zarządziłem. - A także kolację dla dwojga. Będę wdzięczny, jeśli otrzymam coś innego niż kremat. Nie obchodzi mnie, czy będzie pani musiała usmażyć swojego durnowatego małżonka. I proszę wcześniej iść spać, bo jutro czeka was długie oczekiwanie na śniegu.

- Jak pan sobie życzy - odrzekła, wpatrzona w moją żyłę szyjną.

- Miasto wojowniczych debili - mruknąłem do siebie, wspinając się po schodach do swego pokoju. Gdy już znalazłem się w środku, zdjąłem płaszcz, zzułem buty i ułożyłem się na łóżku. Chciałem choć przez chwilę odpocząć, ale mój umysł, rzecz jasna, wciąż krążył wokół śledztwa. Gdy usiłowałem sobie przypomnieć niektóre spośród badanych obiektów, widziałem jedynie bezkształtne kluchy. Potem przed oczyma duszy stanęła mi Arla, mimo mego osłabienia wzbudzając pożądanie. Nie miałem wątpliwości, że zaczynam się w niej zakochiwać. Nigdy by do tego nie doszło, gdybym nie zatracił znajomości fizjonomiki. Teraz rozumiałem, że utrata rozumu postępuje geometrycznie, dopóki wściekły chaos nie wypchnie z umysłu ostatniej metodycznej teorii. Co gorsza, wywoływane przezeń uczucie nie było mi jednoznacznie wstrętne.

Istniała tylko jedna rzecz, która mogła teraz oczyścić mój umysł. Wstałem i podszedłem do walizki, by wziąć czystą strzykawkę. Arla prawdopodobnie była już w drodze, więc odmierzyłem bardzo oszczędną dawkę, nie chcąc, by dziewczyna oglądała mnie w stanie głębokiego odurzenia. Zatraciwszy wiedzę, mogłem już polegać tylko na pięknie, które i tym razem mnie nie zawiodło, cudownie rozprzestrzeniając się od punktu wejścia, znajdującego się pomiędzy dwoma największymi palcami prawej stopy, i w falach rozkoszy ogarniając całe ciało.

Sądziłem, że dawka jest zbyt mała, by wywołać halucynacje - choć, o ile pamiętam, lampy w pokoju zaczęły jednak rozbrzmiewać cichą muzyką instrumentów smyczkowych i obojów. Było to spokojne, przyjemne uczucie, które podniosło mnie na duchu i dało mi energię, by się ubrać. Nieszczęsny Matakis pozbiierał przynajmniej odłamki z dywanu i dosztukował szkło w lustrze, które jego zahartowany brat miał trzymać po wiek wieków. Zanotowałem sobie w głowie, by go pochwalić następnego dnia podczas kąpieli.

Pojawił się w pokoju pół godziny później, by mi oznajmić, że w sąsiednim pomieszczeniu podano obiad i że panna Beaton już przybyła. Pospiesznie natarłem się za uszami odrobiną formaldehydu - umysł naukowca nie potrafi się oprzeć temu aromatowi - i ruszyłem do gabinetu, czując w trzewiach wątki żar podniecenia.

Gdy znalazłem się w środku, Arla stała przed posągami swego dziadka, łagodnie dotykając dłońmi jego twarzy po obu stronach.

- Rozmawiasz z drzewem genealogicznym? - zapytałem.

- To tylko skała - powiedziała, po czym odwróciła się do mnie z uśmiechem.

Z zadowoleniem odnotowałem, że pozwoliła sobie odłożyć nasze śledztwo na bok i że nie jest ubrana tak posępnie jak przedtem. Miała na sobie ciemnozieloną suknię z żółtymi kwiatkami, kończącą się znacznie powyżej kolan. Rozpuszczone włosy, być może pod wpływem zażytego piękna, dosłownie lśniły w moich oczach. Gdy napotkałem jej wzrok, nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

Na małym stoliku Mantakis położył dwa talerze. Nie wierzyłem własnym oczom, widząc autentyczne steki z karibu, znajome warzywa i ani śladu krematu. Obok talerzy stały dwie butelki wina, jedna z czerwoną, druga z błękitną zawartością, i dwa piękne kryształowe kieliszki. Usiadłem przed jednym z talerzy i gestem zaprosiłem dziewczynę do stołu.

Zajęła miejsce, po czym natychmiast zabrała się za pałaszowanie steku. Nalałem nam po kieliszku błękitnego wina, mając nadzieję, że Arla nie wie, iż jest ono mocniejsze od czerwonego. Potem odchyliłem się w krześle i powiedziałem:

- Świetnie sobie dzisiaj radziłaś.
- Mówiłam panu, że sobie poradzę - odparła.

Wolałbym, by zwracała się do mnie z nieco większym szacunkiem i może nie żuła tak głośno, ale były to tylko drobne niedogodności, zatracające się w powodzi jej wdzięku. Jedliśmy, wymienialiśmy uprzejmości i żartowaliśmy sobie z podejrzeń, jakoby Morgan i jego córka Alice mieli cokolwiek wspólnego ze zbrodnią. Wszystko szło gładko. Udało mi się nakłonić Arłę do przyjęcia kolejnego kieliszka, gdy nagle za jej plecami zmaterializował się profesor Flock. Zdążyłem już zapomnieć, że przynajmniej połowa mego zadowolenia jest dziełem piękna.

- Nie sądziłeś chyba, że przegapię waszą małą schadzkę, Cley? - zapytał.

Arla uniosła wzrok i rozejrzała się, jakby usłyszała bzyczenie komara, ale uświadomiłem sobie, że dziewczyna po prostu zareagowała na moje zachowanie. Nie mogłem niestety w jej obecności wrzasnąć na swego mentora, by się wynosił. Zamiast tego skoncentrowałem się na jej oczach i ze wszystkich sił starałem się go ignorować.

- Całkiem smakowity kąsek, staruszku - kontynuował. - I nie mam na myśli obiadu, choć być może skonsumujesz tę rzecz na deser, co? - Miał na sobie przepaskę biodrową, a w ręku trzymał łopatę. Twarz była wychudzona; z całego ciała kapał pot.

Arla chwyciła kieliszek i powiedziała:

- Miałam kolejne wizje, w których przypominały mi się fragmenty podróży mego dziadka.
- To ciekawe - odparłem.

Flock pochylił się nad nią i powiódł wzrokiem wzdłuż sukni.

- Sugeruję dwunasty manewr - rzekł z szyderczym chichotem.

- Tak - kontynuowała dziewczyna. - Pamiętam jego opowieść o spotkaniu istoty, która, co dość dziwne, dokładnie pasuje do opisu Podróżnika ojca Garlanda.

- Żartujesz? - odparłem, patrząc, jak profesor wykonuje za jej plecami lubieżne gesty.

- Nie. Mówił też, że ta istota zdradziła mu nazwę raję.

- Patrz, Cley - odezwał się Flock. - Tak umarłem.

Zobaczyłem unoszące się wokół niego opary, a cały pokój przesiąkł zapachem siarki. Flock upuścił łopatę i obiema dłońmi schwycił się za gardło. Jego twarz zrobiła się czerwona, a potem fioletowa, język wysunął się, a oczy wyszły z orbit.

- Wena - powiedziała Arla.

Profesor osunął się do przodu, przesywając niematerialną pierś głowę Arli, a ja skoczyłem na równe nogi, usiłując ją uratować przed zmiążdżeniem. Halucynacja natychmiast się rozwiązała, a ja stałem pochylony nad dziewczyną.

- Prawie tak samo zareagowałam - rzekła.

- Ciekawe - powiedziałem, siadając z wdziękiem i usiłując opanować podniecenie.

Dokończyliśmy kolację, nie niepokojeni już przez żadnych niechcianych gości. Arla wstała, ujęła swój kieliszek i podeszła do okna. Przez chwilę przyglądała się księżycowi w pełni, po czym zapytała:

- Myśli pan, że już widzieliśmy złodzieja, czy też znajdziemy go dopiero jutro?

- Z dotychczasowych informacji trudno mi to wywnioskować. Pamiętaj, że dwunasty manewr wymaga przebadania wszystkich mieszkańców.

- Proszę mi opowiedzieć o Dobrze Skonstruowanym Mieście - powiedziała.

- Jest zbudowane z kryształu i różowego koralu, pełne iglic i treliazy koloru kości słoniowej. Ma duży park i szerokie aleje. To dzieło umysłu naszego mistrza, Drachtona Nadolnego. Podobno był uczniem wielkiego geniusza Scarfinatego i od niego nauczył się systemu zapamiętywania, dzięki któremu można skonstruować w głowie pałac, a następnie udekorować go i wypełnić ideami przemienionymi w przedmioty dzięki symbolom tajemnym. Gdy chcemy coś sobie przypomnieć, po prostu przechadzamy się mentalnie po pałacu, znajdujemy przedmiot - wazon, obraz, witraż - i poszukiwane pojęcie natychmiast nam się objawia. Nadolny był tak żądny wiedzy, że zamiast pałacu potrzebował całego miasta, by ją w nim przechować. Gdy w

wieku dwudziestu lat pojawił się w Latrobii, miał już w umyśle gotową metropolię. Wiedział, gdzie umieścić każdą cegłę i jak ozdobić każdą fasadę, nim jeszcze rozpoczęto prace. Podobno szeptał coś do ucha ludziom, którzy pragnęli dla niego pracować, i od tego momentu wszyscy stawali się radosnymi maszynami, pracującymi bez śladu zmęczenia aż do śmierci, bez potrzeby pobierania instrukcji. Miasto powstało na długo przed moimi narodzinami, w tak krótkim czasie, że już sam ten fakt, obok sposobu, w jaki zostało skonstruowane, należy uznać za cud.

- To on nauczył was fizjonomiki? - zapytała Arla.

- Fizjonomika w takiej czy innej formie istniała od czasu, gdy pierwsi ludzie spojrzeli w oczy innej osoby. Ale Nadolny potrzebował prawa, które by rządziło jego dziełem, więc skodyfikował ją i uczynił z niej matematykę osądu ludzkości.

- Zawsze miałam nadzieję, że kiedyś tam pojadę, by studiować w wielkich bibliotekach, może nawet uczęszczać na uniwersytet.

- Żarty się ciebie trzymają, Arlo. Żadna kobieta w mieście nawet nie marzy o studiach uniwersyteckich. Nie mają też wstępu do bibliotek.

- A to dlaczego? - zapytała.

- Doskonale wiedzą, że stoją w hierarchii niżej od wszystkich mężczyzn, tak jak niektórzy mężczyźni stoją niżej od innych. Nie tylko one to wiedzą. Tak stanowi prawo - tłumaczyłem jej najłagodniej jak potrafiłem.

- Niemożliwe, żeby pan w to wierzył - powiedziała.

- Oczywiście, że wierzę - rzekłem. - Przecież znasz literaturę. Kobięce mózgi są mniejsze od męskich. To zostało stwierdzone naukowo.

Arla odwróciła się ode mnie z wyrazem odrazy na twarzy.

- Arlo - zaklinałem ją - nie mogę zmienić praw natury. - Czuję bijący od niej chłód. Odsunęła się ode mnie, a ja starałem się wymyślić coś, co ją uspokoi. - Kobiety mają pewne atrybuty, pewne, nazwijmy to, biologiczne możliwości. Jest dla nich miejsce w kulturze, ale...

Spojrzała na mnie i miałem wrażenie, że rozchmurzyła się nieco.

- Chyba wiem, co pan ma na myśli - rzekła z uśmiechem.

- Wiesz? - zapytałem. Kręciło mi się w głowie i czułem, że ogarnia mnie lekkość. Piękno i wino myślały teraz za mnie. Otoczyłem dziewczynę ramieniem, przygotowując się do pocałunku. Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie zostawiłem skórzaną rękawicę, której zawsze używałem w tych kluczowych momentach.

I wtedy to się stało - równie nieoczekiwane i druzgocące jak utrata fizjonomiki. Arla spoliczkowała mnie i wyrwała się z moich objęć.

- Jest dla nich miejsce w kulturze - powiedziała, przedrzeźniając mnie. - Pamiętaj tylko, że to ja przeprowadzam śledztwo. Może jestem kobietą, ale mam dość rozumu, by wiedzieć, że z jakiegoś powodu zatraciłeś swoje umiejętności.

- Arlo - odezwałem się. Zamierzałem ją skarcić, lecz zamiast tego mój głos zabrzmiał jak krzyk dziecka.

- Nie bój się - powiedziała. - Nikomu nie powiem. Dokończę za ciebie śledztwo, bo chcę, byś wiedział, że to ja rozwiązałam tę zagadkę, nawet jeśli nie dowie się o tym nikt inny.

Nie mogłem uwierzyć w to, co mi przyszło do głowy. Ni mniej, ni więcej, tylko postanowiłem ją przeprosić. Na zadek Harrowa, mój świat rozsypywał się w drzazgi na wszystkich frontach.

- Przepraszam - powiedziałem, a słowo to zaciążyło mi na języku niczym funt krematu.

- Przepraszasz - zaszydziła. - Widzimy się jutro o dziesiątej. I nie spóźnij się tym razem. Mam nadzieję, że rankiem będziesz się zachowywał bardziej profesjonalnie. - Po tych słowach chwyciła swój płaszcz, przemierzyła pokój i wyszła.

Byłem całkowicie przytłoczony zarówno odkryciem, że Arla jest w posiadaniu mego wstydliwego sekretu, jak i jej opinią o mnie. To było prawdziwe upokorzenie - i co gorsza, prawdziwa samotność. Czując przemożną potrzebę oddalenia się od siebie samego, udałem się do sypialni, włożyłem płaszcz i wyszedłem za nią.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, ciemność przeraziła mnie bardziej niż zwykle, a w twarz uderzył ostry wiatr. W oddali, na pustej ulicy, dostrzegłem sylwetkę dziewczyny. Mój plan - jeśli można to nazwać planem - nie zakładał zatrzymywania jej. Wiedziałem, że to byłby błąd. Postanowiłem jedynie ją śledzić, bo nie mogłem znieść myśli o tym, że mnie opuściła. Trzymając się w cieniu budynków, ruszyłem biegiem - jak w czasach dzieciństwa i nigdy potem.

W pewnej chwili Arla zatrzymała się i rozejrzała. Stałem bez ruchu, mając nadzieję, że mnie nie zauważy. Potem dziewczyna weszła w alejkę pomiędzy bankiem a teatrem. Dotarłem do wlotu alejki i odczekałem, aż Arla znajdzie się na jej końcu. Gdy znikła mi z oczu, ruszyłem. Przemieszczając się tym sposobem, przemierzyłem sosnowy zagajnik i niewielką łąkę, biegnąc na palcach, by zminimalizować skrzypienie ubitego śniegu pod stopami.

Po drugiej stronie łąki stała zrujnowana jednopiętrowa chatka, zbudowana z tego samego łupanego drewna, z którego budowano wszystko w Anamasobii. Z jednego z frontowych okien dobiegało ciepłe światło. Arla weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Podszedłem ostrożnie do chatki i choć trudno w to uwierzyć, opadłem na czworaki i podczołgałem się do okna.

Zajrzałem do salonu, w którym stały toporne krzesła wykonane z gałęzi, a na nich, zwrócona twarzami do siebie, siedziała para starszków, mężczyzna i kobieta. W świetle kominka dostrzegłem na skórze mężczyzny niebieski połysk, świadczący o tym, że wkrótce zasili on szeregi upiornej armii zahartowanych bohaterów. Poza tym ich twarze były tak nijakie, że nabrałem pewności, iż Arla nie kłamała na temat możliwości umysłowych swoich rodziców. Skrzywiłem się i przeczolgałem za róg.

Odetchnąłem z ulgą na widok drugiego okna. Podczołgawszy się do niego, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem pistolet. Postanowiłem się zastrzelić, jeśli dziewczyna odkryje moją obecność. Nie zniósłbym takiego upokorzenia. Słyszałem, jak ktoś kręci się w środku, a potem do moich uszu dotarł zupełnie niesamowity odgłos płaczu. „Być może jest jej przykro, że tak źle mnie potraktowała” - pomyślałem. To dodało mi odwagi, by zajrzeć.

Ku swemu niebotycznemu zdumieniu odkryłem, że to nie Arla płacze. Tym, co ujrzałem, było ni mniej, ni więcej, tylko niemowlę. W oszołomieniu patrzyłem, jak dziewczyna podnosi jedną ręką wrzeszczącego bachora, a drugą opuszcza suknię, odsłaniając piersi. Nie zdołałem powstrzymać głośnego westchnienia. Mimo swego niebezpiecznego położenia poczułem, jak moja męskość delikatnie napiera na spodnie.

W tym momencie usłyszałem za plecami jakiś syk i odwróciłem się gwałtownie. Adrenalina uderzyła mi do głowy. Początkowo nic nie widziałem, ale potem syk zabrzmiał znowu i zorientowałem się, że dobiega z góry. Wśród niższych gałęzi wielkiego drzewa, stojącego o jakieś dwadzieścia jardów ode mnie, dostrzegłem wpatrzone we mnie żółte ślepie. Nie miałem czasu się zastanowić, do kogo należą, bo ledwie je zauważyłem, a już zatrzepotały ogromne nietoperzowe skrzydła.

Nie troszcząc się o nic, wyprostowałem się i ruszyłem biegiem. Słyszałem, jak demon leci za mną, i czułem pęd powietrza wzburzonego przez jego skrzydła. Trawersowałem łąkę, biegnąc jak sprinter, lecz wciąż nie mogąc oddalić niebezpieczeństwa. Strach dodawał mi sił, lecz mimo to wkrótce byłem wykończony. Potknąłem się i runąłem twarzą w śnieg. Słyszając, jak bestia krąży nade mną, przewróciłem się na plecy, uniosłem trzymaną wciąż w ręku broń i wystrzeliłem.

Poprzez dym zobaczyłem, jak stwór szybko unosi się w górę. Wystarczyło to jedno spojrzenie, bym wiedział, że opis starego Beatona był nad wyraz trafny: włochaty, rogaty diabeł z kopytami i ostro zakończonym ogonem, dokładnie taki, jakiego zapamiętałem z religijnych ksiąg, które w studenckich latach dla zabawy zbierałem.

Gdy niemal zniknął, zauważyłem, że upuścił coś, co niósł pod lewą łapą. „Głaz” - pomyślałem i zacząłem się szybko kulać po śniegu, bo nie było czasu, by wstać i uciec. Pocisk uderzył o ziemię ze specyficznym plaśnięciem, jakie mógłby wydać wielki melon, zaledwie o stopę czy dwie w lewo ode mnie. Gdy już się upewniłem, że demon odleciał, podczołgałem się do znaleziska. Oględziny wykazały, że nie jest to bynajmniej melon, lecz głowa, prawdopodobnie należąca niegdyś do biednego Gustavusa, zaginionego psa ojca Garlanda.

Nie pamiętam, jak dotarłem z powrotem do hotelu. Byłem zdumiony, że nikt nie usłyszał strzału i nie przyszedł sprawdzić, co się stało. Pamiętam natomiast, że wziąłem solidną dawkę piękna i wpełzłem pod kołdrę. Rzecz jasna, zostawiłem zapalone światło, by któryś z nikczemnych sługusów nocy nie wypełził znów z ciemności. Na krótko przed świtem zbudziłem się zlany zimnym potem i wypełniony po brzegi mdlącym gniewem, zrodzonym z zazdrości. „A więc - rzekłem do swego odbicia w trzymanym przez Ardena lustrze - Arla nie tylko mnie okłamała, lecz już zdążyła mnie zdradzić”. Potem wyplułem jeszcze jedno słowo: „Nieczysta”. Nim nastał świt, żałowałem już tylko tego, że ją przeprosiłem.

10.

Moja nędzna kwatery w Hotelu de Skree była prawdziwym ziemskim rajem w porównaniu z perspektywą tego, co czekało mnie rankiem w kościele. Wolałbym zetrzeć się z demonem niż spotkać się z Arlą i prawić jej serdeczności, przez cały czas wiedząc, że ona wie, iż chora magia Anamasobii jakimś sposobem zdołała zmienić mnie w oszusta. „Ta dziwka bez trudu mogłaby mnie zdemaskować przed całą tą bandą rzezimieszków” - myślałem. Nawet jeśli uda mi się przebrnąć przez całodzienne śledztwo bez kłopotów, porzuciłem już nadzieję na rozwiązanie sprawy, co oznaczało, że wszelkie prześladowania i tortury, których uniknę tutaj, i tak zostaną mi zadane, stokroć bardziej boleśnie, z rozkazu Mistrza.

Mimo to wstałem, wykąpałem się, ubrałem równie starannie jak zawsze, ułożyłem przyrządy w odpowiednim porządku, przywdziałem płaszcz i wyruszyłem do pracy. Gdy wychodziłem z hotelu, przószył śnieg. Na zewnątrz, w swoim absurdalnym czarnym kapeluszu, stał powracający koszmar w postaci burmistrza Bataldo, jak zwykle wyszczerzonego w durnym uśmiechu. Biorąc pod uwagę fakt, że poprzedniego dnia przejechałem mu skalpelem po jądrach, zachodziłem w głowę, co musiałbym zrobić, by wytrzebić z niego tę głupotę. Przez chwilę wyobrażałem sobie, że wycinam ją z niego w postaci wielkiej, czarnej, śmiejącej się masy, przypominającej groteskowy guz mózgu.

- Ekscelencjo - powitał mnie, wymachując ręką, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy nie widzieli się od miesięcy.

Wyczerpałem już swój zapas inwektyw, więc mogłem jedynie zdawkowo skinąć głową.

- Kwiat populacji oczekuje na pański światły sąd - rzekł Bataldo i ruszyliśmy.

Nagle przyszło mi do głowy, że skoro nie mogę go zastrzelić, mogę przynajmniej go wykorzystać.

- Dlaczego nie poinformowano mnie, że dziewczyna Beatonów ma dziecko? - zapytałem.

- Wyśmienite pytanie - rzekł i popatrzył z konsternacją na padający śnieg. - Chyba po prostu nie pomyślałem, że to może być istotne.

- Jak to możliwe, by miała dziecko, a nie miała męża? - pytałem dalej.

- Proszę, ekscelencjo - odparł ze śmiechem. - Czy naprawdę muszę tłumaczyć panu, człowiekowi nauki, jak to się robi?

- Nie, tępaku. Chodzi mi o to, jak doszło do takiej sytuacji.

- Hm, zdaje się, że zakochała się w pewnym młodym górniku, imieniem Canan, który po doprowadzeniu do tej sytuacji padł ofiarą innej sytuacji, a mianowicie został zasypany w kopalni.

- Nie mieli ślubu? - zapytałem.

- Musi pan zrozumieć co nieco na temat Anamasobii - powiedział. - Zasady, jakimi rządzi się wyrafinowane społeczeństwo, są tu niekiedy naginane. Proszę pamiętać, jak panu wyjaśniałem kilka dni temu, że żyjemy w bezpośredniej bliskości zła. Z pewnością jednak w końcu wzięliby ślub.

- Rozumiem - odparłem. - To chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec - rzekł burmistrz. Szliśmy dalej w stronę kościoła.

- Cóż za rozpustna kobieta - powiedziałem.

- Rozpustna w swoim umyśle, flirtująca z wieloma ideami i, odkąd pamiętam, bardzo buntownicza.

- Jak pan może pozwalać, by pańscy ludzie robili takie rzeczy?

- Na rubieżach te cechy nie zawsze są szkodliwe - rzekł. - To dobra dziewczyna, choć jak na mój gust, chwilami nieco zbyt poważna.

- A czy istnieje ktoś, kto nie byłby dla pana zbyt poważny? - zapytałem, by zakończyć rozmowę.

Przez całą dalszą drogę śmiał się cicho.

Arla czekała na mnie przy ołtarzu. Powitałem ją oficjalnym „dzień dobry”, a ona odpowiedziała tym samym. Przygotowałem przyrządy i natychmiast zabraliśmy się do dzieła.

Zastanawiałem się właśnie, jakie jeszcze rozczarowania może mi przynieść los, gdy Calloo, posłany po pierwszego podejrzanego, powrócił z panią Mantakis. Nie miałem zdrowia, żeby oglądać ciało tej starej kłopy, więc kazałem jej pozostać w ubraniu.

- Ależ ekscelencjo - zaproponowała Arla - czy nie chce pan ocenić jej możliwości biologicznych?

Zapaliłem papierosa.

- Dobrze - powiedziałem tak beznamiętnie, jak tylko się dało. Gdy Arla prowadziła badanie, każąc babsztylowi przybierać najpotworniejsze pozycje, ja siedziałem z założonymi rękoma i gapiałem się, jakbym miał przed sobą ścianę. Używając macek i innych przyrządów, dziewczyna po każdym pomiarze wykrzykiwała liczby, ale nie zadawałem sobie trudu udawania, że zapisuję je w kajecie, tylko kiwałem głową, jakbym odnotowywał je w pamięci. Gdy Arla mierzyła płatki uszne, zdało mi się, że pani Mantakis warczy.

- Złodziejka, na sto procent - rzekła do mnie dziewczyna, gdy staruszka ubrała się i wyszła z kościoła.

Złodziejka, ale nie kłamczucha - pomyślałem.

Dzień trwał, a przed moimi oczami przepływał niekończący się strumień pokrak, wybryków natury i geniuszy głupoty, nie pozostawiając żadnego wrażenia z wyjątkiem nieokreślonego obrzydzenia. Arla, ze swej strony, choć niemal fizycznie biczowała mnie nienawiścią, pracowała metodycznie, ograniczając szydercze uwagi do minimum.

Wiedziałem, że jeśli chcę mieć szanse na uratowanie własnej skóry, w końcu będę musiał oskarżyć kogoś o zbrodnię. Wiedziałem też, że karą za tak poważne przestępstwo będzie egzekucja - wprowadzony przez Mistrza nowy i skuteczny system karania za każde przewinienie poważniejsze niż spluwanie na chodniki Dobrze Skonstruowanego Miasta. „Kto to będzie?” - pytałem siebie za każdym razem, gdy Calloo przyprowadzał nowego podejrzanego. W końcu stanął przede mną ojciec Garland.

Arla była wyraźnie zaniepokojona widokiem swego małego księżulka. Zaczerwieniła się jak burak, gdy zobaczyła go takim, jakiego Pan Bóg stworzył. Rzuciłem zdawkowe spojrzenie na jego skarlaty członek, sprawdzając, czy jest równie ostro zakończony jak zęby i paznokcie, i ze zdumieniem stwierdziłem, że tak. Garland w milczeniu uniósł rękę, błogosławiąc nas. Miałem wielką nadzieję, że będzie się zachowywał tak, bym mógł nakazać Calloo zrobić z niego marmoladę. Arla tymczasem drżącymi rękoma badała przyrządami jego twarz i ciało. Kiedy

zastosowała imadło wargowe Hadrisa, omal jej nie powiedziałem, żeby je tam zostawiła jako dobry uczynek dla całej ludzkości.

Gdy ksiądz się ubrał i już miał wychodzić, obrócił się w moją stronę i rzekł:

- Nie popełniłem żadnej zbrodni z wyjątkiem miłości.

- Karą za to jest nuda - skomentowałem, gdy wyszedł, i zacząłem kombinować, jak mam przekonać mieszkańców, że to on ukradł owoc. Wiedziałem, że spora część mego planu musi się oprzeć na górnolotnej retoryce. W tym miasteczku stanowiła ona towar wystarczająco egzotyczny, by kupić tutejszą ludność samą swoją nowością.

- Następnym! - wrzasnąłem i Calloo ruszył ku drzwiom. Pomyślałem, że mogę ułożyć swoje przemówienie, gdy będziemy oglądać kolejnych kilkudziesięciu biedaków.

Arla zawołała jednak za olbrzymem:

- Chwileczkę, Willin! Zaczekaj chwilę na zewnątrz. Damy ci znać, kiedy będziemy chcieli zobaczyć następną osobę.

- Potrzebujesz przerwy? - zapytałem beznamiętnie.

Usiadła i spojrzała na mnie, jakby za chwilę miała się popłakać. Na ten widok mój gniew nieco zelżał. „Zrozumiała swój błąd - pomyślałem - i szykuje się do przeprosin za wczorajszą wieczór”.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytałem, przemawiając jak dyrektor szkoły do swego ulubieńca, który popełnił jakiś drobny błąd.

- To on - oznajmiła.

- Co takiego? - zdziwiłem się.

- Ojciec Garland. On to zrobił. - Łzy zaczęły jej spływać po policzkach.

- Jesteś pewna? - zapytałem.

- Przecież ci mówię, To wszystko jest tam wypisane. Równie wyraźne jak twoja twarz w moim oknie wczorajszej nocy.

Milczałem. Poczucie winy wywołane zdemaskowaniem walczyło o lepsze z podekscytowaniem, które poczułem na myśl, że być może uda mi się wyjść cało z tej opresji. Dziewczyna tymczasem zabrała się do szczegółowych wyjaśnień, stosując logikę fizjonomiki, która dla mnie, rzecz jasna, była w tym momencie pustosłowiem, lecz brzmiała ze wszech miar przekonująco.

- Chciałabym, żeby tak nie było, ale nie mogę zanegować tego, co wyczytałam z jego twarzy. - Otarła łzy z oczu. - Nienawidzę ciebie i tego przeklętego systemu - wycedziła.

- Dobra robota - powiedziałem. Potem wrzasnąłem, żeby przywołać Calloo. Gdy się zjawił, kazałem mu iść do burmistrza i przekazać polecenie, by wszyscy obywatele zgromadzili się w świątyni.

Ludność Anamasobii zaczęła napływać do kościoła, siadając w ławach, a potem ustawiając się wzdłuż ścian pod pochodniami, obok galerii zahartowanych bohaterów. Wśród zgłębionych domysłów głosów od czasu do czasu dał się słyszeć jakiś śmiech albo deklaracje niewinności tych, którzy z natury biorą każdą winę na siebie.

Burmistrz wszedł na ołtarz i uściśnął mi dłoń. Sprawiał wrażenie, jakby wykrzywie złodzieja przyniosło mu szczerą ulgę.

- Gratuluję, ekscelencjo - rzekł. - Nie rozumiem pańskich metod, ale z całą pewnością dają zdumiewające rezultaty.

Z wdzięcznością przyjąłem jego pochlebstwa i poprosiłem, by ustawił kogoś przy drzwiach, na wypadek gdyby sprawca próbował uciec. Burmistrz skinął na Calloo, a kiedy olbrzym podszedł, szepnął mu coś do ucha. Calloo zaczął się przedzierać przez tłum, by zająć miejsce przy wejściu do komory z ołtarzem.

Gdy Arla zdjęła zasłonę i zaczęła starannie układać przyrządy w mojej torbie, rozejrzałem się po pomieszczeniu, szukając Garlanda. Wiedziałem, że musi coś podejrzewać, skoro zwołaliśmy zgromadzenie zaraz po jego oględzinach. Znalazłem go bez trudu: siedział w pierwszym rzędzie i patrzył na mnie spoode łba. Uśmiechnąłem się i długo spoglądałem mu w oczy. Nie odwrócił się jednak, więc w końcu ja to zrobiłem, by zlustrować wzrokiem tłum i poprosić o ciszę. Klasnąłem w dłonie, jakbym przywoływał do siebie psa. Rozmowy przeszły w szepty, po czym ucichły.

Nadszedł czas na moje przemówienie. Chodziłem w tę i w tę, zbierając myśli i wybierając z nich surowiec do swego przemówienia. Tłum obserwował każdy mój ruch i po raz pierwszy od kilku dni poczułem się potężny. Dramatycznym gestem, mającym wzmocnić napięcie, obróciłem się plecami do tłumu i wpatrzyłem w groteskowy portret górniczego boga, który przez ostatnie dwa dni wisiał nad ołtarzem i był świadkiem wszystkich naszych badań. Przyszło mi do głowy, by rozpocząć tyradę od opisanego mojego spotkania z demonem.

W ten sposób lud zobaczy we mnie człowieka czynu, a nie tylko wielkiego intelektualistę.

Przez cały ten czas, gdy ja przechadzałem się i przybierałem pozy, Arla metodycznie pakowała chromowe narzędzia. Chciałem zaczekać, aż skończy i opuści scenę, aby cała uwaga skupiła się na rewelacji, którą miałem ogłosić. Dziewczynie pozostały do schowania już tylko macki; gdy je podniosła, wysliznęły jej się i spadły z hukiem, który odbił się echem od ścian świątyni. Pochyliła się, by je podnieść, a wówczas jej szara spódnica uniosła się o cal czy dwa, a mój wzrok automatycznie zlustrował kształtne linie jej nóg od kostek aż po uda. Wtedy to zobaczyłem.

Po tylnej stronie lewego uda znajdował się wyrazisty pieprzyk, z którego wyrastało coś, co wyglądało na niezwykle długie czarne włosy. Mrugnąłem i zrobiłem krok w jej stronę, zapominając o tłumie czekających z niecierpliwością ludzi. Chyba usłyszała mój ruch, a może po prostu poczuła na sobie wzrok - wpatrywałem się w nią naprawdę intensywnie - bo odwróciła się, nim jeszcze zdążyła się wyprostować, i spojrzała na mnie. W tym momencie, wywołując w mojej głowie huk, jakby ktoś odkorkował butelkę szampana, wróciła cała znajomość fizjonomiki. Oczy natychmiast dogoniły dawną inteligencję i ujrzałem jasno, że Arla nie jest żadnym pięciogwiazdkowcem, jak kazała mi wierzyć jej młodzieńcza, kobieca uroda, lecz przedstawia typowy profil przestępcy opracowany przez profesora Flocka: tendencję do przywłaszczania cudzej własności i religijno-psychotyczną wiarę w cuda. Zrozumiałem, dlaczego dziecko, które na prośbę jego matki odczytałem pierwszego dnia, wydawało mi się znajome. Wiele jego rysów przypominało te, które teraz dostrzegałem w Arli. Uświadomiłem sobie, że kobietą, która wówczas do mnie podeszła, była właśnie ona.

Odwróciłem się do tłumu i obwieściłem:

- Panie i panowie z Anamasobii - rzekłem - wśród nas jest złodziej. - Cofnąłem się i wskazałem Arłę, która zamykała właśnie moją torbę. - To Arla Beaton ukradła cudowny rajski owoc.

Obróciła się i spoglądała na mnie w oszołomieniu. Garland zerwał się z ławki i rzucił ku ołtarzowi, wyciągając pazury. Uzbrojony w odzyskaną pewność siebie, z właściwym sobie wdziękiem postąpiłem naprzód i kopnąłem go w głowę, nim zdążył ku mnie skoczyć. Gdy wylądował na dolnym stopniu schodów wiodących na ołtarz, wyjąłem z kieszeni pistolet i strzeliłem ostrzegawczo w sufit. Drzazgi posypały się na głowy siedzących w pierwszych rzędach i bliski wywołania zamieszek tłum umilkł niemal całkowicie.

Arla powoli osunęła się na krzesło, które okupowałem przez ostatnie dwa dni, i w udawanym szoku gapiła się na falujące morze fizjonomii.

Burmistrz wystąpił naprzód i poprosił wszystkich o ciszę. Potem obrócił się ku mnie.

- To bardzo poważne oskarżenie, ekscelencjo - rzekł. - Czy mógłby pan wyjaśnić tym, którzy nie pojmują zawilości pańskiej nauki, jak pan do tego doszedł? Jest to, że tak powiem, ogromny wstrząs dla nas wszystkich. - Chyba po raz pierwszy się nie uśmiechał.

Niczego bardziej nie pragnąłem niż udzielić wyjaśnień.

- Dla ludzi światłych - rozpocząłem - jest równie oczywiste jak to, że słońce wschodzi każdego ranka, a Drachton Nadolny jest naszym wspianiałym władcą, iż widoczna struktura naszych cech fizycznych, analizowana wprawnym okiem, zdradza zarówno ogólny poziom moralny jednostki, jak i szczegółowo ujawnia osobiste słabości i cnoty. Wystarczy przyjrzeć się badanemu...

W tym momencie podszedłem do Arli, która wciąż wpatrywała się we mnie martwym wzrokiem, nie poruszając nawet mięśniami. Przesunąłem palcem wzdłuż jej nosa, a następnie pokazałem maleńkie zagłębienie tuż pod dolną wargą.

- W rysach, które właśnie wskazałem - rzekłem - odnajdujemy kombinację wrodzonych znaków wskazujących na osobowość zdolną do lekkomyślnych czynów.

Przeszedłem na jej drugą stronę i wskazałem łuk brwiowy.

- Tu zaś widzimy kształt znany mnie i moim kolegom po fachu jako efekt Schefflera, nazwany tak, rzecz jasna, na cześć jednego z ojców fizjonomiki, Kursta Schefflera. Co ciekawe, efekt ten znamionuje zarówno skłonność do kradzieży, jak i pragnienie uczestniczenia w zdarzeniach nadprzyrodzonych. Badana ma także pieprzyk na lewym udzie, z którego wyrastają długie włosy, co ostatecznie przesądza o jej winie. - Zrobiłem krok do tyłu i otrzepałem ręce, jakbym chciał strzepnąć z siebie dotyk zbrodni.

Sądząc po liczbie rozdziawionych ust na sali, przekonałem publiczność. Skłoniłem się, a wtedy sala wybuchła aplauzem. Dopiero wtedy ojciec Garland ocknął się i popelzł w stronę swojej ławki, z tłumu zaś zaczęły dobiegać pierwsze okrzyki: „Śmierć złodziejce”, odbijające się echem w wydrążonym sercu drewnianego Gronusa.

11.

- I co teraz? - zapytał burmistrz.

Staliśmy przed kościołem. Zapadał zmrok; na niebie zaczęły się pojawiać gwiazdy i księżyc. Śnieg przestał padać. Nim ludzie rozeszli się do domów, niektórzy osobiście podziękowali mi za schwytanie przestępczyni. Z ich słów uznania wywnioskowałem, że ten prosty lud z jakiegoś powodu zawsze odczuwał pewien strach przed Arlą. Ją tymczasem zamknięto w jedynej celi, jaka istniała w Anamasobii - małej, pozbawionej okien salce w ratuszu.

- Cóż - powiedziałem - sprawiedliwości musi stać się zadość.

- Proszę wybaczyć moją śmiałość, ekscelencjo: wykrył pan winowajczynię, ale nadal nie odzyskaliśmy białego owocu. Jak zdołamy go odnaleźć, jeśli stracimy złodziejkę?

- Proszę ją przesłuchać - odparłem. - Z pewnością znane są panu metody, które otwierają ludziom usta. Proszę też przeszukać tę norę, w której mieszka. Jestem niemal przekonany, że nakarmiła częścią owocu swojego bękarta, by zniwelować jego oczywiste niedostatki fizjonomiczne.

Pokiwał głową ze smutkiem, zaskakując mnie.

- Jak to, burmistrzu? - zapytałem. - Nie bawi to pana?

- Tortury nie są moją mocną stroną - przyznał. - Egzekucje zresztą też nie. Czy nie ma innego sposobu postępowania w tej sprawie? Może wystarczy, jeśli dziewczyna po prostu się ukorzy?

- No, no, panie Bataldo - skarciłem go - Mistrz nie patrzyłby na taką pobłażliwość przychylnym okiem. Przybierając tego rodzaju postawę, może pan zagrozić istnieniu całego miasteczka.

- Rozumiem - odparł. - Chodzi o to, że znam tę dziewczynę od maleńkości. Znałem jej dziadka i rodziców. Widziałem, jak dorasta. Była taką słodką, ciekawską istotką... - Spojrzał mi w oczy i zauważyłem, że jest bliski łez.

Choć odwzajemniłem jego spojrzenie bez komentarza, wypowiedziane przezeń słowa skierowały moje myśli ku tym cechom Arli, które sprawiały, że przez kilka ostatnich dni wciąż o niej myślałem. Byłem teraz pewien, że to jednak nie Podróżnik, lecz specyficzny urok i inteligencja dziewczyny pozbawiły mnie jasności widzenia.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, burmistrz odwrócił się i począł oddalać. Na ten widok doznałem jakiegoś niezgłębionego uczucia, przypominającego trochę smutek. Nie byłem pewien, czy wynika ono z faktu, że nie mogę znieść myśli o egzekucji Arli, czy też stąd, że choć zdemaskowałem złodziejkę, niewiele się dowiedziałem.

- Chwileczkę - rzuciłem za burmistrzem. Zatrzymał się, lecz stał odwrócony do mnie plecami.

- Jest jedna rzecz, której mógłbym spróbować. Odwrócił się i powolnym krokiem podszedł do mnie.

- To eksperymentalna procedura i nie jestem pewien, czy zadziała - kontynuowałem. - Kilka lat temu napisałem pracę na ten temat, lecz nie została dobrze przyjęta i po kilku tygodniach gorączkowej debaty projekt został zarzucony.

- Cóż to takiego? - zapytał, gdy przeszukiwałem umysł w poszukiwaniu szczegółów metody. Kiedy ją wymyśliłem, zdawała się śmiała, może nawet lekkomyślna, ale w świetle swoich świeżo odzyskanych umiejętności i wielkiej wewnętrznej siły, która z nimi przyszła, zacząłem myśleć, że bieżąca sprawa może być idealną okazją do jej wypróbowania.

- Proszę słuchać uważnie - rzekłem. - Jeśli rysy twarzy dziewczyny zdradzają najgłębsze cechy jej charakteru, czyż nie brzmi logicznie, że gdybym zmodyfikował te rysy swoim skalpelem, tworząc strukturę odpowiadającą wyższemu moralnie stanowi wewnętrznemu, dziewczyna zostałaby uwolniona od wrodzonej zbrodniczej kondycji i sama wykazała gotowość do zdradzenia, gdzie ukryła owoc? Wtedy egzekucja nie byłaby już konieczna.

Bataldo przewrócił oczami i cofnął się o krok.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział - twierdzi pan, że może poprawić jej charakter, poddając ją operacji chirurgicznej?

- W każdym razie jest taka szansa.

- Zatem proszę to zrobić - rzekł i obaj uśmiechnęliśmy się zgodnie, każdy z innego powodu.

Umówiliśmy się, że burmistrz każe ją przyprowadzić do mego gabinetu następnego ranka, punktualnie o dziewiątej. Następnie Bataldo zapytał mnie, czy zjem z nim kolację w tawernie, ja jednak odmówiłem, wiedząc, iż muszę poczynić wiele przygotowań, jeśli mam uratować Arłę przed nią samą.

Po raz pierwszy od swego przybycia do Anamasobii czułem się naprawdę swobodnie. Gdy wracałem do hotelu, niektórzy mieszkańcy pozdrawiali mnie z cziłą należną mojej pozycji. Nawet pani Mantakis, widząc, jak wkraczam do westybulu, zwróciła się do mnie z pewną służalczością, której do tej pory ewidentnie jej brakowało. Poleciałem jej oddalić wszystkich gości i przynieść mi trochę błękitnego wina oraz lekką kolację. Powiedziała mi, że przygotowała na ten wieczór coś specjalnego - coś bez krematu! - a ja, ku swemu zdumieniu, autentycznie jej podziękowałem. Zamruczała jak kotka w odpowiedzi na moją laskawość.

Gdyby nie fakt, że rozwikłałem już tajemnicę, ogarnąłby mnie niepokój w obliczu odkrycia, jak niewiele piękna pozostało w mojej walizce - zaledwie trzy lub cztery solidne dawki.

Mając jednak pewność, że do następnego wieczoru ostatecznie zamknę sprawę, bez zastanowienia zażyłem pełną fiolkę.

Potem rozebrałem się, włożyłem szlafrok i pantofle i zapaliłem papierosa. Odzyskawszy swoją dawną moc, z pomocą narkotyku zdołałem szczegółowo przywołać twarz Arli i prześledzić zmiany, jakich trzeba będzie dokonać, by uratować jej życie. Szybko sięgnąłem po pióro i papier i zacząłem kreślić swoją wizję nowej Arli.

Musiały minąć godziny, odkąd pani Mantakis przyniosła mi kolację i wino, nim moja praca wreszcie dobiegła kresu. Miasteczko spowijała kompletna cisza, wśród której ja, mieszkaniec wielkiego miasta, nigdy nie czułem się swobodnie. Czyste piękno pobudzało mnie, od czasu do czasu przynosząc olśniewające miraży. Gdy pracowałem, ani jedna paranoidalna wizja nie przedarła się do mego umysłu, ale nawiedzały mnie wyraziste wspomnienia idyllicznego dzieciństwa nad brzegami rzeki Chottle.

W końcu usiadłem na łóżku, rozmyślając o sławie, jaką przyniosą mi wydarzenia następnego dnia, jeśli operacja się powiedzie. Wtedy odwiedził mnie profesor Flock.

- To znowu pan - mruknąłem.

- A któżby inny? - zapytał. Miał na sobie mundur nauczycielski, a w rękę trzymał laskę z rączką z kości słoniowej przedstawiającą małpią głowę, którą zwykle nosił przy oficjalnych okazjach.

- Jest pan zdrajcą - wypomniałem mu.

- Czyż nie zasugerowałem skutecznej metody wykrycia przestępcy? - zapytał.

- Owszem, ale już z panem skończyłem. Zamierzam pana wymazać z pamięci - oświadczyłem.

- Z tym może być pewien kłopot, bo tak naprawdę jestem tobą. To ty mówisz sam do siebie w narkotykowym odurzeniu - odparł. - Mogę tylko mówić i robić to, czego ty pragniesz. Być tym, kogo chcesz zobaczyć.

- Cóż - powiedziałem - w takim razie co pan myśli o moich planach na jutro?

- Zadbaj o to, żeby wyciąć z tej małej trochę inteligencji. Jest zbyt cwana, by mogło jej to służyć. I koniecznie zrób nacięcie pośrodku brody, by oddalić złudzenie, że czeka ją coś więcej niż nędzna egzystencja w tej gównianej pipidówie na końcu świata. Reszta wygląda całkiem nieźle. Chyba sam nie zrobiłbym tego lepiej - rzekł, postukując laską w podłogę.

- Nie przeczę - przytaknąłem.

- Rzeczywistym celem mojej dzisiejszej wizyty jest jednak pożegnanie. Nie sądzę, byśmy mieli się jeszcze spotkać - oznajmił, po czym uniósł laskę, kierując ją rączką ku mnie, a wtedy małpia głowa jakimś cudem ożyła i poczęła krzyczeć słabym głosem: „Nie jestem małpą! Nie jestem małpą!”. Jak zawsze, Flock ulotnił się, pozostawiając po sobie śmiech. Krzyżyk na drogę, mruknąłem.

Tej nocy zapadłem w głęboki sen, z którego usiłowałem się wydostać. Znow śniłem o dzieciństwie, ale tym razem nawiedzały mnie jedynie sceny niepohamowanego gniewu mego ojca i będącej jego następstwem przedwczesnej śmierci matki. Zbudziłem się o wschodzie słońca, łkając w poduszkę, tak jak to czyniłem wielokrotnie w owych zamierzchłych czasach. Jakąż poczułem ulgę, gdy w końcu otworzyłem oczy i uświadomiłem sobie, że tamto życie już odeszło.

Zażyłem kąpieli, zjadłem lekki posiłek i ubrałem się, po czym burmistrz i dwójka jego zbirów przyprowadzili Arłę do mojej pracowni. Powitałem ją serdecznie, ona jednak milczała i

unikala kontaktu wzrokowego. Wcześniej wyposażyłem stół laboratoryjny w pasy, na wypadek gdyby pacjentka stawiała opór.

- Modlę się za powodzenie operacji, panie Cley - rzekł burmistrz z nutką sceptycyzmu w głosie.

Podszedłem do Arli i spojrzałem jej prosto w twarz.

- Zrobię dla ciebie, co tylko potrafię, moja droga - powiedziałem.

Tym razem popatrzyła prosto na mnie i splunęła mi między oczy. Cofnąłem się o krok, a wówczas Arla uderzyła kolanem w krocze jednego z trzymających ją górników. Było to tak zaskakujące, że zdołała się uwolnić. Wybiegła z pokoju i popędziła przez korytarz do mojej sypialni, ścigana przez drugiego górnika. Niemal udało jej się zamknąć drzwi, ale on, rzecz jasna, był silniejszy, więc nim zdążyła przekręcić klucz, otworzył je z powrotem. Cała nasza trójka pobiegła za nim. Gdy wpadłem do pokoju, dziewczyna trzymała w ręku nóż od śniadania i wymachiwała moją walizką w kierunku górnika, który zagonił ją do kąta.

- Mordercy! - wrzeszczała.

Burmistrz zrobił krok ku niej, a ona rzuciła w niego walizką, trafiając prosto w głowę. W końcu ten, którego przedtem kopnęła w pachwinę, po kolejnym z jej zamachów nożem rzucił się na nią i zdołał powalić. Zaciągnęli ją do gabinetu, kopiącą i wołającą o pomoc. Prędko przygotowałem szmatkę z silnym anestetykiem i przytknąłem do rozwrzeszczanej twarzy.

Górnicy pomagali mi właśnie przypiąć dziewczynę do stołu, gdy pojawił się burmistrz, pocierając głowę.

- Zuchwałę dziewczę - mruknął i zaśmiał się, ale widać było, że całe zdarzenie mocno nim wstrząsnęło.

- Proszę się nie obawiać - powiedziałem. - Wytnę to z niej. To i sporo innych rzeczy. Gdy się ocknie, będzie całkiem nową kobietą.

- Anamasobia jeszcze nigdy nie była tak dziwna - rzekł burmistrz, gapiąc się w podłogę.

Następnie kazałem całej trójce opuścić gabinet i wrócić następnego popołudnia.

Rozłożyłem pod głową dziewczyny ligninę, by pochłaniała krew płynącą z nacięć, po czym nałożyłem jej opaskę z przyczepionym długim kawałkiem bawełny, który miał wisieć luźno za głową, gdy będę pracował, a od czasu do czasu mógł być używany do otarcia posoki z twarzy, by nie zasłaniała miejsca, w którym zamierzałem zrobić nacięcie. Metodycznie rozłożyłem swoje skalpele, igły i zaciski, a potem wyciągnąłem rysunek nowej Arli. Przez całą noc, gdy

pracowałem nad nim pod okiem piękna, rysunek szeptał do mnie z miłością. Wiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy, by moja wizja się ziściła.

Skalpel gładko wszedł w skórę lewego policzka i już po pierwszym cięciu czułem, że eksperyment się powiedzie. Pogwizdując melodię, która cieszyła się popularnością w Dobrze Skonstruowanym Mieście bezpośrednio przed moim wyjazdem, słodką przyśpiwkę o nieograniczonym poświęceniu, uniosłem niesforną dolną wargę dziewczyny. „Żegnaj, prózna inteligencjo” - szepnąłem do bezwładnego ciała, robiąc nacięcia na powiekach. Uwolniłem nos od ciężaru chrząstki, o której wiedziałem, że jest źródłem kłopotliwej ciekawości Arli. W przypadku wydatnych kości policzkowych nie miałem innego wyjścia, jak tylko użyć chromowego młotka. Byłem tak skupiony, że nie widziałem nic z wyjątkiem twarzy pacjentki. Była niczym topografia niezdożytego kraju, którym manipulowałem z góry z artystyczną finezją i transcendentną wizją perfekcji. Chodziło wyłącznie o sztukę odejmowania i w tamtej chwili pragnąłem, by ta wysublimowana matematyka trwała w nieskończoność.

Pracowałem ciężko przez cały ranek i sporą część popołudnia, nie robiąc przerwy na obiad, ale w końcu zacząłem się gubić. Mapa, którą nosiłem w głowie, zaczęła się zacierać, a pewność siebie migotała jak płomień na wietrze. Poczulem też znajome mrowienie w głowie, mówiące mi, że potrzebuję dawki piękna. Pomyślałem, że wzmocniwszy narkotykiem siłę swego wrodzonego geniuszu, bez trudu ukończę pracę przed kolacją. Poza tym nie mogłem kontynuować bez piękna, bo zacząłem już odczuwać dreszcze, plamy latały mi przed oczyma, a ręce drżały. W końcu odłożyłem skalpel i poszedłem do sypialni, by zrobić sobie zastrzyk.

Znalazłem walizkę na podłodze, w miejscu, w którym wylądowała po kontakcie z głową burmistrza. Myśl o tym wywołała na mojej twarzy uśmiech. Wyjąłem jedną z fiolek i z przerażeniem odkryłem, że jest rozbita i pusta. Gorączkowo sięgnąłem po drugą i zastałem ją w tym samym stanie. Następnie zauważyłem na podłodze fioletową kałużę. Wszystkie fiołki zostały rozbite. Nie miałem ani odrobiny czystego piękna, a głód narkotyczny przetaczał się przez moje ciało niczym ciosy niewidzialnego wroga. Jęknąłem, lecz mój umysł krzyknął, po czym zanurzył się we wzburzonym oceanie konsternacji i trwogi. Jediną rzeczą, która pozwalała mi zachować przytomność, była myśl o tym, że nie mogę zostawić Arli w obecnym stanie. Gdyby nie udało mi się odzyskać owocu, bez wątplenia zapłaciłbym za to życiem.

Zataczając się, przeszedłem przez hol, gotów za wszelką cenę dokończyć dzieła, nim stracę świadomość. Zawroty głowy były tak silne, że ledwie trzymałem się na nogach. Jedną ręką

wsparłem się o stół laboratoryjny, drugą zaś podniosłem skalpel i próbowałem się skoncentrować, podczas gdy wszystko we mnie trzęsło się jak osika. Gdy tylko zrobiłem pierwsze nacięcie, wiedziałem, że popełniłem błąd, ale nie dało się już go naprawić. Skupiłem się, by naciąć ponownie i zrównoważyć skutki pomyłki, lecz znalazłem się w pułapce, widząc oczami duszy, jak pędzę bez tchu, zagłębiając się coraz dalej i dalej w labirynt bez wyjścia. Wcześniejsze precyzyjne cięcia zmieniły się w rozpaczliwe chlastanie, a krew płynęła nieprzerwanie, od czasu do czasu tryskając na moją koszulę. Kropelki trafiały nawet do oczu, oślepiając mnie. Gdy poczułem smak krwi na ustach, osunąłem się na kolana. Wstałem z wysiłkiem, usiłując odpędzić pustkę, która zmieniała mój umysł w czarną noc.

Kontynuowałem pracę w tym stanie, od czasu do czasu tracąc świadomość, aż usłyszałem własny udręczony krzyk, dobiegający jakby z bardzo daleka. Wtedy poprzez mdłości, lód i ogień dreszczy, rozdzieranie mózgu i milczenie serca spadłem w otchłań, którą wziąłem za śmierć, lecz niestety nią nie była.

12.

Otrzymałem pilną wiadomość od burmistrza, że zanim podejmę ostateczną decyzję, stanowczo powinienem odczytać jeszcze jedną osobę.

- W środku nocy? - zapytałem Mantakisa, trzymającego w ręku swoją szczoteczkę z pierza.

Włożyłem płaszcz i chwyciłem torbę z przyrządami. Na zewnątrz znów rozszalała się śnieżycą, brnąłem więc mozolnie pod wiatr, omal się nie poddając w obliczu gwałtownych podmuchów. Dzieciom widać zawieja nie przeszkadzała: po obu stronach ulicy zauważyłem wiele zamarzniętych posągów Podróżnika. Wylaniały się raz po raz zza szalejących płatków śniegu, gapiąc się na mnie z wyższością, zimnym wzrokiem, jak szpaler wyniosłych sędziów. Zdawało mi się, że minęły wieki, a ja wciąż brnąłem przez szemrzącą złowrogo, wirującą ciemność - aż w końcu, niespodziewanie, znalazłem się na miejscu.

Wiedziałem, że potknę się i upadnę na pierwszym stopniu schodków prowadzących do kościoła, i tak też się stało. Otworzyłem wielkie, krzywe drzwi, które zaskrzypiały prześmiewczo, i wszedłem. Powoli przemieściłem się przez most, który wydał mi się jeszcze bardziej chwiejny niż zwykle. W jaskini z ołtarzem paliły się tylko dwie pochodnie.

- Halo? - zawołałem, lecz odpowiedziała mi cisza. Ktoś znów postawił parawan, a krzesła, których używaliśmy przy badaniu, stały na swoich miejscach.

- Halo? - zawołałem ponownie. W mdłym świetle pochodni ramiona i twarze zahartowanych bohaterów wyglądały jak żywe. Albo wiatr wyjący na zewnątrz, albo echo mojego oddechu

wywoływały cichy poświst, jakby kościół sam w sobie był żywą istotą. Oczy wymalowanego Boga patrzyły na mnie z góry.

Zza parawanu dobiegł odgłos czyjegoś kaszlu.

- Halo! - zawołałem. - Dlaczego pan nie odpowiada? Postawiłem torbę, zdjąłem płaszcz i ruszyłem, by przyjrzeć się pacjentowi. Gdy znalazłem się za parawanem, pochodnie zgasły i zapadła całkowita ciemność. Ogarnięty paniką, zrobiłem krok do przodu i poczułem, jak dwie ręce chwytają mnie za nadgarstki i wciągają do środka, po czym unoszą moje dłonie ku mojej własnej twarzy i przesuwają wzdłuż niej. Początkowo czułem się dziwnie, ale wiedziałem, że ten, kto mi to robi, nie zamierza mnie skrzywdzić. Następnie władzę nade mną przejęła fizjonomika: matematyka zmieniała liczby w obrazy, rozkładając w moim umyśle olśniewającą paletę barw. Moje ciało zaczęło wibrować energią, jak gdybym stał się maszyną.

Nagle pochodnie zapłonęły znowu, rzucając swoje mdłe światło, a ja odkryłem, że stoję z rozwartymi ramionami, wymachując rękoma w powietrzu. Wściekły, natychmiast włożyłem płaszcz, schwyciłem torbę i wybiegłem z powrotem w śnieżycę, mruczając pod nosem inwektywy pod adresem całej Anamasobii. Znow brnąłem wśród zawiei, jakbym nigdy nie miał dojść do celu.

Zbudziłem się gwałtownie i zobaczyłem, że jest już ranek następnego dnia: przez okno wpadało jasne światło. Trząśłem się, miałem mdłości i odczuwałem niemal oślepiający ból głowy. Mimo to ze swego krzesła, ustawionego przy małym stoliku, przy którym kilka wieczorów wcześniej jadłem z Arlą kolację, widziałem jej kształt. Bawełniana szmatka przyczepiona do głowy przykrywała teraz twarz i była brunatna od zakrzepłej krwi. Pierś dziewczyny poruszała się nieznacznie, wskazując, że Arla nie wyzionęła jeszcze ducha. Chciałem wstać i zobaczyć, co jej zrobiłem, lecz byłem zbyt słaby.

Początkowo zdawało mi się, że to wszystko dzieje się w mojej głowie. Potem jednak uświadomiłem sobie, że krzyki, które słyszę, nie są krzykami Mantakisów, lecz dobiegają z ulicy. Zapanowało tam jakieś wielkie poruszenie i wydawało mi się, że słyszę albo strzały, albo trzaski fajerwerków. Pierwszą moją myślą była ta, że być może miasto świętuje, wierząc w rychły powrót białego owocu na ołtarz. Przez mgielkę swojej niemocy zastanawiałem się, czy przypadkiem mi się nie udało i czy wszystko nie może się jeszcze dobrze skończyć, gdy usłyszałem odgłos kroków na schodach wiodących do mojej kwatery.

Nim zdążyłem podjąć próbę wstania, drzwi gabinetu otwarły się gwałtownie i stanął w nich Garland.

- Na Boga, co pan zrobił? - wykrzyknął na widok Arli, leżącej na stole z głową owiniętą pokrwawioną ligniną.

Sięgnąłem do kieszeni spodni, by wyjąć pistolet, lecz przypomniałem sobie, że poprzedniego dnia zostawiłem go w kieszeni płaszcza. Już miałem wrzasnąć na klechę, by się wynosił, gdy w drzwiach pojawiła się kolejna osoba. W pierwszej chwili sądziłem, że to Calloo, bo osobnik był słusznych rozmiarów, ale gdy się przyjrzałem, zobaczyłem Podróżnika, pochylającego głowę, by nie uderzyć o framugę. Fantastycznego charakteru tej sceny dopełnił fakt, że chudy, brązowy wielkolud trzymał jedną ręką niemowlę zawinięte w koce.

- Co to za cyrk? - zapytałem, usiłując zakamufłować efekt odstawienia i wzbudzić respekt.

Garland podszedł i stanął przede mną, lecz nie zwracałem na niego uwagi. Patrzyłem na Podróżnika, na jego ruchy, na długie warkocze i nieziemski spokój na obliczu.

- Pański Mistrz, Drachton Nadolny, przybył do Anamasobii - rzekł ksiądz.

- Co takiego? - zapytałem, przenosząc całą uwagę na niego.

- To, co pan słyszy - odparł. - Jego żołnierze mordują wszystkich po kolei. Przywiózł ze sobą jakieś wilczyisko, które przegryza gardła kobietom i dzieciom. Piekło zawitało na rubieże.

- Ale jak to możliwe, żeby ta istota żyła? - zapytałem, wskazując Podróżnika, który uśmiechnął się do mnie łagodnie.

- Owoc. Kilka tygodni temu, gdy tylko zabrałem go z ołtarza, nakarmiłem Podróżnika odrobiną. Od tamtej pory z wolna powraca do życia. Gdy przykładał pan do niego te swoje idiotyczne przyrządy, był już bardzo bliski świata żywych.

- Więc Arla miała rację - powiedziałem. - Fizjonomika się nie pomyliła.

- Kiedy podbiegłem do ołtarza, a pan mnie kopnął, zamierzałem wszystko wyznaczyć, by oszczędzić jej konsekwencji głupstwa, jakie zrobiła, zadając się z panem. Ale szkoda czasu - przerwał - zabieramy dziewczynę i ruszamy do Wenau. Pan zaś musi zejść na dół i przyjąć swoją kulkę. Jest pan próżnym durniem, Cley. Zabiłbym pana własnoręcznie, ale wolę, żeby pański Mistrz zrobił to za mnie.

Wszystko działo się zbyt szybko, bym zdążył zaprotestować czy nawet wstać z krzesła, a widok Podróżnika napawał mnie panicznym lękiem. Nie bałem się o swoje bezpieczeństwo, lecz

przerzął mnie fakt, że świat może być aż tak niepojęty. Podeszli do stołu, każdy od innej strony. Dziecko zaczęło płakać. Podróżnik uspokajająco dotknął jego czoła.

- Sprawdźmy, do jakich potworności doprowadziły te pańskie bzdury - rzekł ksiądz.

Wyciągnął rękę i odchylił bawełnianą woalkę ukrywającą twarz Arli. Podróżnik machinalnie uniósł dłoń do oczu, jakby widok dziewczyny raził niczym oślepiająca latarnia. Garland nie był tak szybki. Niewidzialny cios, przyjęty bez osłony, odrzucił jego głowę w tył. Ksiądz upadł na podłogę z jękiem i znieruchomiał. Z nosa i kącika rozwartych ust ciekła mu krew, a na twarzy malowała się taka groza, że musiałem odwrócić wzrok.

Wolną ręką Podróżnik sięgnął do mieszka, który miał przywieszony przy pasie, i wyjął biały owoc. Z wdziękiem uniósł go do ust i ugryzł. Następnie schował owoc, wyjął kawałek z ust i wepchnął go między wargi Arli, nadal na nią nie patrząc. Zamiast tego spojrzął w moje oczy i powiedział mi - bez słów, lecz z absolutną wyrazistością - że dzieło moich rąk przedstawia samą Śmierć.

Skuliłem się na krześle niczym dziecko, niezdolny odwrócić od niego wzroku. Potem - nie wiem, skąd znalazł w swoim wiotkim ciele tyle siły - po ponownym zakryciu twarzy Arli bawełnianą woalką Podróżnik uniósł dziewczynę jedną ręką i przerzucił sobie przez ramię. Wciąż trzymając w drugim ręku dziecko, lekkim krokiem podszedł do okna, po czym uniósł jedną ze swych ogromnych stóp i dwoma dobrze wymierzonymi kopniakami strzaskał szybę. Usłyszałem, jak odłamki uderzają o drewniany chodnik cztery piętra niżej. Nadal trzymając mocno dwa ciała, Podróżnik wszedł na parapet i przykucnął, by zmieścić się w otworze.

- Nie! - powiedziałem, wiedząc już, co chce zrobić.

Odwrócił twarz w moją stronę i uśmiechnął się.

Zerwałem się z krzesła i skoczyłem ku niemu, chcąc go powstrzymać. W głowie mi łomotało, a wnętrzości sprawiały wrażenie, jakby ktoś ścisnął je pięścią. Zrobiłem trzy kroki i przewróciłem się o ciało Garlanda. Gdy padałem, zobaczyłem, że Podróżnik skoczył, lecz nie usłyszałem łomotu ciał uderzających o chodnik. Wyężając wszystkie siły, podniosłem się i dotarłem do okna. Myślałem, że zobaczę trzy ciała rozpląszczone w dole niczym strzaskane lalki, ale nie zobaczyłem nic. Cała trójka jakby wyparowała.

Świadomość, że groza mego czynu zabiła Garlanda, była dla mnie nie do zniesienia. Zataczając się, podszedłem do stołu laboratoryjnego i zwymiotowałem. Mimo oszołomienia wiedziałem, że ksiądz miał rację i że Mistrz z pewnością zabije mnie bez wahania, jakbym był

jednym z tych ludzkich śmieci żyjących na rubieżach. Moją jedyną szansą było wydostać się z miasta i skryć w otaczającej je puszczy. Zdawało się to dość nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowałem. Miałem wrażenie, że to już koniec wszystkiego. Chciało mi się płakać na myśl, jak nisko upadłem w ciągu zaledwie jednego tygodnia. Ksiądz miał rację: byłem próżnym głupcem. Jeśli się służy potworowi, nie można liczyć na to, że któregoś dnia samemu nie zostanie się pożartym. Gdy już się wyprostowałem i doprowadziłem do porządku, pomyślałem, że jeszcze gorsza od śmierci byłaby zsyłka do kopalni siarki. Jeśli zabiorą mnie z powrotem do Dobrze Skonstruowanego Miasta na proces, będę musiał znaleźć sposób na popełnienie samobójstwa.

Wyszedłem z pokoju i pokuśtykałem po schodach do westybulu. Pośrodku podłogi, pod roztrzaskanym żyrandolem, leżeli w wielkiej kałuży krwi spleceni ramionami państwo Mantakisowie. Wyglądali, jakby każde dostało co najmniej dwadzieścia kul. Przeszedłem obok nich, nie mogąc uwierzyć, że czuję coś na kształt wyrzutu sumienia. Co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, do oczu napłynęły mi łzy. Pobiegłem i pchnąłem frontowe drzwi, wiedząc, że okropny widok, przed którym uciekam, jest zaledwie ułamkiem tego, co Garland ujrzał w twarzy Arli.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, na moment oślepiło mnie poranne słońce. Zataczałem się wzdłuż ulicy, otępiały od bólu głowy i stawów. Męki wywołane głodem były tak potworne, że pragnąłem, by dosięgła mnie kula. Gdy mój wzrok na chwilę odzyskiwał ostrość, widziałem ciała rozsiane po ulicy i świeżą krew, barwiącą śnieg na głęboką czerwień. W okolicy kościoła zobaczyłem umundurowanych żołnierzy z Dobrze Skonstruowanego Miasta. Rozlegały się strzały i ludzie bez mundurów padali gęsto twarzą w śnieg. Z dachów budynków strzelały płomienie, pożerając szare drewno, a z roztrzaskanych okien banku wydobywał się gęsty dym.

- Cley! - wykrzyknął znajomy głos. Obróciłem się i ujrzałem Mistrza, stojącego o jakieś sto jardów ode mnie. Był ubrany w futra, a na twarzy miał szeroki uśmiech. Na złotej smyczy mocno trzymał wrywającą się Gretę Sykes. Pomachał do mnie. - Miło się z tobą pracowało! - zawołał poprzez zgiełk. Potem przykucnął i zdawało mi się, że szepcze coś wilkołakowi do ucha. Mimo dzielącej nas znacznej odległości zauważyłem, że Greta wygląda dokładnie tak jak w moim śnie, w którym spotkałem ich oboje w kopalni Gronusa.

Wtedy Mistrz odczepił obrozę i wilk skoczył ku mnie.

Obróciłem się i próbowałem biec, ale w tym samym momencie z alejki pomiędzy bankiem a teatrem wypadł z impetem czterokonny powóz. Wiedziałem już, że jestem w pułapce, i straciłem wszelką ochotę do walki. Wypuściłem powietrze z płuc i przygotowałem się na spotkanie z ostrymi kłami od dawna oczekującej na zemstę Grety Sykes.

- Cley! - zawołał nagle inny znajomy głos. Obróciłem się i zobaczyłem, że na koźle siedzi nie wieprzowaty sługus Mistrza, lecz burmistrz Bataldo. Byłem pewien, że zostanę zmiądzony przez kopyta i koła, lecz on w ostatniej chwili odbił w lewo i zatrzymał się gwałtownie. - Proszę wsiadać - rzekł.

Przez jakąś sekundę nie byłem w stanie się poruszyć. Gdy wreszcie to zrobiłem, odwróciłem głowę i ujrzałem o jakieś piętnaście jardów od siebie wilkołaka, który właśnie oderwał się od ziemi i skoczył naprzód, mierząc kłami prosto w moje gardło. Drzwiczki powozu otworzyły się i wychynął z nich Calloo, który złapał mnie jedną ręką i pociągnął, po czym z gracją i precyzją, których nigdy bym się po nim nie spodziewał, odwrócił się, zacisnął pięść i uderzył Gretę Sykes w bok głowy, wciskając głęboko pod czaszkę jeden z jej metalowych ćwieków. Porażona wilczyca padła na ziemię, wijąc się w drgawkach, strzelając iskrami i strzykając żółtym płynem, mnie zaś Calloo pociągnął w stronę powozu i wrzucił do środka. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i konie ruszyły. Pędziliśmy wśród świstu kul, krzyków dzieci i nieprzerwanie rozbrzmiewającego mi pod czaszką śmiechu Mistrza.

13.

Zatrzymaliśmy się na moment przed domem burmistrza, by zabrać broń, amunicję oraz ciepłą odzież i koce. Calloo przebił drewniane koła powozu i oswobodził konie. Powiedział mi, że demony pustkowia podobno uwielbiają mięso udomowionych zwierząt, więc zapach koni przyciągnąłby je niczym magnes. Bataldo z płaczem biegał od pokoju do pokoju, podpalając zasłony, regały i pościel.

Gdy już ruszyliśmy w dalszą drogę, zatrzymaliśmy się na moment na granicy lasu i patrzeliśmy, jak z otwartych okien dobywa się dym. Burmistrz powiedział nam, że widział, jak wilkołak Drachtona Nadolnego wyszarpnął i zjadł wnętrzności jego żony na głównej ulicy Anamasobii.

- Dlaczego mnie pan ratował? - zapytałem, gdy burmistrz ocierał oczy.

- Nie ma znaczenia, kim byliśmy, Cley. Ja sam nie byłem niewiniątkiem; ani nikt z nas. Ale teraz udamy się do raj. Tam nie ma miejsca na nienawiść.

Calloo po prostu skinął głową, po czym położył jedną ze swych wielkich dłoni na plecach Bataldo - może po to, by go pogonić, a może pocieszyć.

Przekroczyliśmy granicę rozległej puszczy, którą ludzie z ekspedycji Beatona nazywali Zarubieżami. Nadal targały mną mdłości i ból, ale biegłem wytrwale, starając się nie spowalniać pozostałych. Trzymałem się o kilka kroków za Calloo, który wydawał się niezmordowany. Jakże przyjemnie było biec po ubitym śniegu, pośród wysokich, nagich drzew. Czułem się jak dziecko uciekające przed karą. Nie obchodziło mnie, czy zamarznię na śmierć, czy rozszarpią mnie

demony, czy też zostaną schwytany i zabity przez żołnierzy Mistrza. Gdyby nie ulotna obietnica znalezienia się w Wenau, pewnie usiadłbym i czekał spokojnie na przybycie Greta Sykes.

Po godzinnym biegu burmistrz osunął się na śnieg, spazmatycznie łapiąc oddech. Postanowiliśmy przystanąć i dać mu odpocząć przez kilka minut. Ja sam też nie wytrzymałbym już długo. Znajdowaliśmy się w pobliżu szczytu zalesionego wzgórza, skąd widać było unoszący się w niebo dym nad Anamasobią. Choć byliśmy dość daleko, wokół nas opadał drobniutki deszcz czarnych popiołów.

W dolinie, przez którą niedawno przebiegliśmy, widać było grupę pościgową. Niektórzy żołnierze mieli ze sobą karabiny, inni - specjalne miotacze płomieni, wynalezione przez Drachtona Nadolnego. On sam jechał na innym swoim wynalazku, powozie z przekładniami zębatymi, posiadającym niewielką kabinę dla dwóch pasażerów i osiem przegubowych nóg, przypominających pajęczę, dzięki którym pojazd mógł obchodzić głazy i powalone drzewa. Wskazałem Calloo żołnierza trzymającego smycz przyczepioną do wyciągniętej szyi Greta Sykes. Byłem zdumiony, że tak szybko doszła do siebie, ale olbrzym tylko wzruszył ramionami i splunął. Potem obaj podeszliśmy do Bataldo i pomogliśmy mu wstać, mamrocząc słowa otuchy.

- Zostawcie mnie tu - wystękał burmistrz. - Tylko bym was spowalniał.

Miał czerwoną twarz, a jego elegancki kozuch z futra szopa tu i ówdzie był porozdzierany i przyozdobiony gałązkami i rzepami.

Słyszając to, Calloo zaszedł burmistrza od tyłu i mocno kopnął go w zadek. Bataldo podskoczył, po czym obaj zanieśli się śmiechem. Nie miałem pojęcia, co w tym takiego śmiesznego, ale zawtórowałem im.

- Dobrze - rzekł burmistrz, po czym wspięliśmy się na sam szczyt wzgórza i zaczęliśmy schodzić drugą stroną. Nie biegliśmy już, bojąc się, że Bataldo zrezygnuje, lecz szliśmy szybko, kierując się wprost na północ i coraz bardziej zagłębiając w Zarubieże. Każda mila lasu, którą przemierzaliśmy, pełna była cudów nigdy dotąd niewidzianych przez cywilizowanego człowieka, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na przystąpienie i przyjrzenie się im.

Były tam drzewa, których nagie gałęzie poruszały się jak ramiona, oganiając się od ptaków, uciekających wówczas poza ich zasięg. W oddali przemieszczały się w niewielkich stadach maleńkie jelonki koloru trawy. Patrzeliśmy na nie poprzez drzewa, a gdy i one nas zobaczyły, uciekały, wydając z siebie krzyki, jakie mogłaby wydawać kobieta, której włosy zajęły się ogniem. Małe, czerwone, skrzydlate jaszczurki przefruwały z drzewa na drzewo niczym ważki, a

pieśni ptaków, których nie widzieliśmy, gdyż latały zbyt wysoko, brzmiały niesamowicie ludzko. Chłonęliśmy to wszystko w całkowitym milczeniu, aż dotarliśmy do strumyka i Calloo ogłosił minutowy postój. Burmistrz zapytał wtedy, czy przypadkiem nie umarliśmy w Anamasobii i nie znaleźliśmy się w zaświatach. Pochylałem się właśnie nad wodą, by ukoić palący ból w gardle, gdy z drzew i zasp poczęły wyskakiwać demony. Burmistrz pierwszy zdołał wyciągnąć broń i strzelić. Nie trafił, ale wystrzał przestraszył atakujące nas stwory i zarówno te na ziemi, jak i te, które krążyły w górze, uciekły w schronienie najwyższych gałęzi i stamtąd zerkały na nas, sycząc i upuszczając gałązki, które wyrwały z drzew.

Calloo uniósł swoją strzelbę, wycelował i ustrzelił jednego. Zwierzę wydało krzyk, jakiego nie słyszałem jeszcze nigdy w życiu. Był tak przeszywający, że wprost rozdarł otaczającą nas rzeczywistość. Demon spadł na ziemię i wił się w drgawkach, bijąc o śnieg kolczastym ogonem. Nie czekając, co będzie dalej, poderwaliśmy się i pobiegliśmy najszybciej jak się dało. Gnałem przez strumyk tak chyżo, że sam bym siebie o to nie podejrzewał. Calloo pokonał go bez trudu, ale burmistrz skręcił kostkę, gdy wskakiwał do wody, więc prędko zabrakło mu sił i osunął się do strumienia. Nim zdążyliśmy po niego wrócić, dwa demony schwytyły go za ramiona i uniosły wysoko w górę. Jeden z nich już w locie zatopił kły w policzku Bataldo.

Calloo w ciągu kilku sekund przeładował strzelbę, przyłożył do ramienia i wypalił, trafiając w plecy demona. Strzał nie był dość celny, by zabić, lecz zwierzę wygięło się i wrzasnęło, uwalniając twarz Bataldo od swych zębów i puszczając jego ramię. Drugi stwór nie miał dość siły, by utrzymać cały ciężar, i burmistrz spadł na ziemię z wysokości dwudziestu jardów, kopiąc i wrzeszcząc w powietrzu, a następnie lądując na brzuchu. Westchnąłem z ulgą, gdy się podniósł i zaczął kuśtykać w naszą stronę. Na jego twarzy malował się wyraz bezgranicznego przerażenia, a prawą rękę trzymał wyciągniętą naprzód, jakby badał przestrzeń przed sobą. Co najmniej tuzin demonów znów podniósł się z gałęzi.

- Biegnij! - polecił mi Calloo, ale nie posłuchałem. Patrzyłem, jak gorączkowo przeładowuje broń i starannie celuje. Nie mierzył jednak w żadnego z demonów, lecz w czoło burmistrza. Krew trysnęła z ciemnej dziury dokładnie w momencie, w którym pierwsze szpony chwyciły tamtego za kołnierz.

Potem gnaliśmy przez knieje, jakbyśmy sami byli demonami. Mogę przysiąc, że bardzo, bardzo długo słyszałem nad sobą bijące skrzydła i tylko czekałem, aż w którymś momencie szpony twarde jak kamień rozłupią mi czaszkę niczym skorupkę jajka. W końcu Calloo zawołał,

że zgubiliśmy prześladowców. Zatrzymałem się i zobaczyłem, że istotnie nikogo za mną nie ma. Zwolniliśmy i szliśmy w absolutnym milczeniu aż do zmroku.

Choć Calloo potrafiłby to zrobić, nie ośmieliliśmy się zapalić ogniska, by się rozgrzać. Znaleźliśmy w gęstwinie miejsce, w którym splątane gałęzie stworzyły pewną ochronę przed atakami z powietrza. Calloo polecił mi się przespać, podczas gdy sam miał stać na warcie. Gdy kładłem się na zimnym śniegu, owijając się jednym z przywleczonych koców, on zaczął czyścić strzelbę, która uratowała nam życie. Odgłosy puszczy, dziwaczne okrzyki godowe i śmiertelne wrzaski przerażały mnie; senność okazała się jednak silniejsza i w mgnieniu oka zapadłem w kamienny sen.

Śniłem, rzecz jasna, o Arli. Jej twarz nie nosiła śladu zniszczeń wywołanych moją fizjonomiczną szarlatanerią. Byliśmy na pustkowiu i staliśmy na zboczu góry, spoglądając przez wąwóz na wysoki, skalisty szczyt, na szczycie którego znajdował się płaskowyż porośnięty cudownym ogrodem skąpanym w złotym świetle.

- Patrz - rzekła Arla, wskazując go. - Jesteśmy prawie na miejscu.

- Pośpieszmy się - odparłem.

- Gdy już tam dotrzemy, będę mogła ci przebaczyć - powiedziała.

Ręka w rękę pobiegliśmy w dół, kierując się ku długiemu na milę linowemu mostowi wiodącemu do raję.

Zbudziłem się nagle. W pierwszej chwili zdawało mi się, że jest już ranek, lecz po chwili zorientowałem się, że to, co brałem za blask słońca, było światłem latarki padającym na nasz zagajnik. Usłyszałem szepty i usiadłem, by sprawdzić, skąd dochodzą. Gdy się poruszyłem, poczułem na karku lufę karabinu. Po drugiej stronie polany znajdującej się pośrodku zagajnika ujrzałem zakneblowanego Calloo z liną owiniętą wokół szyi. Dwaj umundurowani żołnierze prowadzili go dokądś.

- Wstawaj! - rzucił jakiś głos.

Gdy to zrobiłem, kazano mi skrzyżować ręce za głowę. Potem ruszyliśmy za światłem latarki niesionej przez tych, którzy prowadzili Calloo. Żołnierz wciąż trzymał lufę przy moim karku.

Przez jakieś pół godziny brnęliśmy przez las, nim wreszcie dotarliśmy do ich obozowiska. Było jasno: przy licznych drzewach zamocowano płonące pochodnie. Mistrz stał przy dużym ognisku i grzał ręce przy unoszących się wysoko płomieniach. Po jego lewej stronie znajdowała się metalowa klatka z żywym demonem, który syczał, szczekał i walił rogami w pręty. Na prawo

od obszernego namiotu stał powóz z przekładniami zębatymi. Wokół kręciło się chyba ze stu żołnierzy, a kolejnych pięćdziesięciu stało na straży wokół, trzymając miotacze.

Poprowadzono mnie do Mistrza.

- Cley - rzekł z westchnieniem - jesteś ucieleśnieniem mego rozczarowania. Myśl o tym niemal łamie mi serce. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- Niech mnie pan zabije - powiedziałem.

- Przykro mi - odparł, owijając się szczelnie płaszczem i drżąc mimo to. - To terytorium jest równie posępne jak twoja przyszłość, Fizjonomista Klasy Pierwszej. Zabieramy cię do Miasta na proces. Postaraj się zapamiętać tutejsze mroźne powietrze: będzie przyjemną ucieczką od żaru kopalni siarki.

Następnie zmuszono mnie do patrzenia, jak Mistrz szczuje Gretę Sykes na związanego i zakneblowanego Calloo. Żołnierze stali w kręgu dookoła, wiwatując i śmiejąc się na widok olbrzyma kopiącego zwinną wilczycę. Odgryzała mu kawałki nóg, a gdy osunął się na ziemię, skoczyła na pierś. Metalowe ćwieki zaiskrzyły, gdy zanurzyła pysk w ciele, rozdzierając skórę i miażdżąc kości, by dostać się do serca. Ilekroć przymykałem oczy, Mistrz uderzał mnie w twarz, bym dalej patrzył. Knebel uniemożliwiał Calloo krzyk, więc krzyczałem za niego, a Mistrz mi wtórował.

Potem kazał mnie wsadzić do swego powozu z przekładniami zębatymi. Ruszyliśmy przez las, by o wschodzie słońca dotrzeć do zwęglonych ruin Anamasobii. Po obu stronach pojazdu szli dziarskim krokiem umundurowani żołnierze, próbując nadążyć za wehikułem. Za nami jechał wóz wiozący co najmniej trzy klatki.

- To fatalnie, że tak mnie zawiodłeś, Cley. Przez ciebie musieliśmy zniszczyć to miasteczko. Teraz będę musiał znaleźć nowych górników do pracy w kopalniach Gronusa. Wspomnę na twoim procesie, że za wzrost kosztów ogrzewania tej zimy odpowiadasz osobiście ty. Milczałem.

- Patrz - rzekł, jedną ręką kierując powozem, a drugą sięgając pod płaszcz i wydobywając biały owoc. Widniały na nim dwa ślady zębów, ale poza tym był zupełnie cały. Gdy tylko Mistrz go wyjął, poczułem charakterystyczny słodki aromat.

- Skąd pan to ma? - zapytałem, obawiając się tego, co mogłem usłyszeć w odpowiedzi.

- Złapaliśmy ich, nim zdążyli opuścić miasteczko - odparł.

- Dziewczynę, jej dziecko i tego dużego, brązowego gościa.

- Żyją? - zapytałem.

- Och, zatrzymałem sobie całą trójkę - rzekł. - Z tą twarzą, którą jej zrobiłeś, dziewczyna jest nieoceniona. Samym wzrokiem zabiła dziesięciu moich najlepszych ludzi, nim przyszły posiłki i narzuciły jej worek na głowę. Podróżnik - zdaje się, że tak go nazywają - poddał się bez walki, gdy zobaczył, że mamy dziewczynę. Myślę, że wystawię go w którymś z centrów handlowych i będę kasował po dwa nadole za każde spojrzenie.

- A co pan zrobi z owocem? - zapytałem.

- Najpierw dam go do zbadania, a jeśli okaże się pozbawiony trucizny i znajdą się jakieś dowody na to, że istotnie pochodzi z Zarubieży, zjem go do ogryzka i zasadzę pestki.

- Włożył owoc z powrotem za pazuchę, po czym wyjął papierośnicę. - Poczęstuj się - rzekł. Wziąłem papierosa.

Nacisnął przycisk na konsoli, a wtedy szklany dach otworzył się i jechaliśmy w świeżym powietrzu prowincji. Przez chwilę milczeliśmy, pałac. Mistrz pogwizdywał, a ja rozmyślałem o swoim losie w kopalni siarki. Potem on nagle sięgnął z powrotem za pazuchę i wyjął teczkę wypchaną papierami.

- Mały drobiazg dla ciebie, Cley - rzekł. - Powiedzmy, prezent na do widzenia. - Po tych słowach wręczył mi ją.

- Co to? - zapytałem.

- Było przeznaczone dla ciebie, ale mam nadzieję, że się nie pogniewasz o to, iż pozwoliłem sobie to przejrzeć. Omal boków nie pozrywałem - zaśmiał się.

Wyjąłem pierwszą stronę i zobaczyłem, że jest napisana pięknym, pospiesznym pismem Arli. „Drogi Fizjonomisto Cley”, głosił nagłówek. Szybko zrozumiałem, żeteczka zawiera pieczołowicie sporządzone notatki z przeblysków tego, co Arla pamiętała z opowieści dziadka o wyprawie. Całość nosiła tytuł: *Fragmenty niemożliwej podróży do Ziemskiego Raju*.

Mój proces trwał tydzień i wzięło w nim udział czternastu fizjonomistów. Niektórzy byli moimi studentami, inni - dawnymi współpracownikami; wszyscy jednak przekonywali publiczność, że przeżycia, które stały się moim udziałem na rubieżach, w jakiś sposób mnie oszpeciły. Wszyscy poświadczali, że moja fizjonomia zmutowała w symboliczny obraz zła, co, rzecz jasna, oznaczało nieodwracalne zniszczenie osobowości. Tłumy mieszkańców Dobrze Skonstruowanego Miasta domagały się mojej krwi. Miałem zostać stracony przez napompowanie

głowy odkrytym przez Mistrza gazem obojętnym, wskutek czego miała ona eksplodować niczym ściśnięte winogrono.

Na miejscu egzekucji głos jednak zabrał Drachton Nadolny, obwieszczając zmianę wyroku. Zamiast zostać stracony, miałem być wysłany do kopalni siarki na wyspie Doralicji, w południowej części kraju.

14.

Przybyłem na Doralicję w środku nocy, z pustką w sercu i głowie. Dla imperium oficjalnie byłem już martwy. Moje męki w kopalni siarki stanowiły jedynie formalność, która musiała się dopełnić, wymęczona przez letargiczną biurokrację tortury. Noc była bezgwiezdna i bezksiężycowa, więc kiedy się zbliżaliśmy, nie dostrzegałem konturów wyspy. Z kołysania małego promu, który przewoził mnie i czwórkę strażników, wnosilem, że otaczające wyspę wody są wzburzone. Moi stróże żartowali na temat tego, jak na przestrzeni miesięcy stopniowo usmażę się na chrupiącą frytkę, po czym nagle zaczną się tlić, a moje członki zmienią się w sól i odlecą z wiatrem.

Wpłynęliśmy do małej kamiennej przystani, skąpo oświetlonej pochodniami. Nie czekał na nas żaden komitet powitalny. Strażnicy pomogli mi wyjść na nabrzeże i rzucili w ślad za mną moją skromną torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Zostawili mnie zakutego w kajdany.

- Niedługo ktoś po pana przyjdzie - rzekł jeden, gdy łódź wpływała do kanału. - Mam nadzieję, że lubi pan smród fekaliów.

- Wygląda na takiego - dodał drugi i odpłynęli powoli, machając i śmiejąc się.

Stałem na nabrzeżu wykutym z wapienia. Wiał wiatr od oceanu, a ja głęboko wciągałem powietrze, sprawdzając, czy zdołam wychwycić choć najdrobniejszą cząsteczkę rajskiego owocu. Nic z tego. Tak jak podejrzewałem, wyspa okazała się pozbawiona wszelkiej nadziei.

Wcześniej, w Dobrze Skonstruowanym Mieście, gdy czekałem w celi na proces, zużyłem wszystkie swoje cudowne rezerwy samoubolewania, płacząc i rozprawiając głośno o tym, jak strasznie się myliłem i jak przez swoją ignorancję krzywdziłem innych. Teraz wyłudowałem na

skraju piekła, pozbawiony wszelkiej woli - sprowadzony do roli czegoś, co w poprzednim życiu nazwałbym lapidarnie „kawałem mięsa”.

Odczekałem dziesięć minut, lecz nikt nie przychodził, by mnie zabrać do celi. Przez chwilę bawiłem się myślą, że mógłbym spróbować ucieczki, lecz potem uświadomiłem sobie, że nie ma dokąd uciekać. Jeden ze strażników, którzy mnie tu przywieźli, mówił, że otaczające wyspę wody są pełne rekinów i krakenów, a w niezamieszkałych częściach Doralicji panoszą się krwiożercze psy. Obie możliwości wydawały mi się wprawdzie bardziej kuszące niż kopalnia, ale wraz z utratą tożsamości ogarnęło mnie poczucie fatalizmu i niechęć do wszelkich działań.

Gdy tak rozmyślał, usłyszałem kroki. Ktoś szedł wzdłuż doku. Podniosłem wzrok i ujrzałem mężczyznę z siwymi, sięgającymi ramion włosami, w starym wojskowym płaszczu, z lewą pierśią pokrytą orderami i odznakami. Gdy się przybliżył, moim pierwszym odruchem było poddanie go ocenie fizjonomicznej. Zwalczyłem ten instykt i ujrzałem po prostu twarz pełną zmarszczek i kaszaków, z zapadniętymi oczami i nosem wskazującym na fakt, iż jego właściciel nie stroni od kieliszka. Choć niósł w lewej ręce obnażoną szablę, bynajmniej nie wydawał się groźny. Przeciwnie - sprawiał wrażenie znużonego.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jestem skuty.

- Przezorny krok - powiedział, po czym schował broń do pochwy i kazał mi się odwrócić. Gdy to zrobiłem, podszedł od tyłu i poczułem, że uwalnia mi ręce.

- W porządku - rzekł, chowając do kieszeni kluczyk i kajdanki.

Ze sposobu, w jaki mówił, wniosłem, że nie będzie miał nic przeciwko temu, iż się obrócę. Gdy tak stałem i patrzyłem na niego, znów wyciągnął rękę i tym razem mogłem podać mu swoją.

- Matters - rzekł. - Kapral nocnej straży.

Skinąłem głową.

- A ty jesteś Cley - zauważył. - Mam nadzieję, że już rozumiesz, jakim stekiem bredni jest ta cała fizjonomika? - Czekał na odpowiedź, ja jednak milczałem. - Witamy na Doralicji - kontynuował ze zmęczonym śmiechem. - Proszę za mną.

Machnął szablą i ruszył, opuszczając dok i idąc piaszczystą ścieżką prowadzącą przez gąszcz karłowatych sosen. Szedłem za nim, myśląc, że ten widok przypomina mi Zarubieże.

- Przepraszam za szablę - zawołał do mnie przez ramię Matters - ale od czasu do czasu któryś z tych przeklętych dzikich psów przyczała się tu na mnie w ciemnościach. Bez obaw, niejednego już rozplatałem. Poza tym o tej porze roku kręcą się zwykle na drugim końcu wyspy.

Minęliśmy sosny, przeszliśmy przez labirynt ogromnych wydm i dotarliśmy do białej plaży, wychodzącej na otwarty ocean. Przez jakąś milę trzymaliśmy się wzdłuż brzegu, a potem weszliśmy w kolejny wydmowy labirynt, pośrodku którego stała duża, zrujnowana gospoda.

- Dom Harrowa - wskazał Matters.

Stanąłem obok niego i popatrzyłem na ozdobną architekturę, znajdującą się w różnych stadiach rozkładu.

- Znasz powiedzenie: „Na zadek Harrowa”? - zapytał z uśmiechem.

Skinąłem głową.

- To właśnie ten Harrow - rzekł. - Nigdy nie doszedłem do tego, co oznacza owo powiedzonko. Tak czy inaczej, zbudował tę gospodę wiele lat temu w nadziei, że wyspa przyciągnie gości z Miasta. Nikt nigdy nie przyjechał, a Harrow pewnego dnia wypłynął w morze i albo utonął, albo został pożarty, albo...

- I tu jest więzienie? - zapytałem. Wówczas kaprał wskazał swoją głowę i rzekł:

- Węzienie jest tu.

- Tutaj mam mieszkać? - zapytałem więc.

- Tak. Założę się, że oczekiwałaś czegoś znacznie gorszego - odparł. - Z żalem muszę poinformować, że w tej chwili nie mamy żadnych innych więźniów. No, ale dzięki temu możesz sobie wybrać dowolny pokój. Przed świtem - jako że jednym z elementów twojej kary jest to, byś nigdy więcej nie ujrzał światła słonecznego - przyjdzie tu mój brat, kaprał dziennej straży, by cię zbudzić i zaciągnąć do kopalni, gdzie będziesz pracował do zmierzchu. Czy to jasne?

Skinąłem głową.

- Poznasz Silencio. To zarządca gospody. Na tylnym ganku znajduje się dobrze wyposażony bar, a Silencio lubi się bawić w barmana - kontynuował kaprał.

- Dziękuję - powiedziałem.

- I pamiętaj o jednym, Cley. Mój brat nie jest taki przychylny jak ja. Straż nocna to sen, straż dzienna to śmierć. - Potem uśmiechnął się, pomachał mi i zagłębił się w labiryncie wydm.

Po omacku przebrnąłem przez salę barową, a następnie wspiąłem się po schodach na piętro, sądząc, że tam właśnie znajdę pokoje. Na drugim piętrze zobaczyłem długi korytarz z szeregiem drzwi. Jedne z nich, znajdujące się mniej więcej w połowie korytarza, były otwarte i dochodziło z nich łagodne światelko.

Na drzwiach widniał numer 7. Wszedłem do pokoju i zauważyłem, że wygląda na świeżo posprzątany. Pościel na łóżku była gładka, firanki czystutkie. Na wyświeconej drewnianej podłodze nie znalazłem ani jednego ziarenka piasku. Światło pochodziło z lampy gazowej, a jego intensywność można było regulować, kręcąc podobnym do klucza przełącznikiem.

Było tam łóżko, stolik nocny, toaletka i umiarkowanych rozmiarów szafa, obok której znajdowała się niewielka łazienka z zasuwaną zasłonką zamiast drzwi. Wewnątrz wisiało lustro, pod nim zaś stanowczo zbyt duża jak na mój gust umywalka; ściany pomalowano jednak na kojącą zieleni morską.

Położyłem się na łóżku i zdjąłem buty. Oba okna były otwarte; białe koronkowe firanki wydymały się na wietrze, a ponad wszystkim unosił się szum i zapach oceanu. Słone powietrze przeniknęło mnie do kości i zmieniło w ołów. Zamknąłem oczy i leżałem tak przez moment, zmagając się z przyszłością.

Zdawało mi się, że upłynęła zaledwie minuta, gdy nagle poczułem na plecach uderzenie kija. Ktoś kopnął mnie w zadek, czyjeś ręce zrzuciły na podłogę. Było całkiem ciemno, a z dworu dobiegało skrzeczenie ptaków.

- Za dwie minuty masz być na dole! - wrzasnął jakiś wściekły głos. - W samej bieliźnie!

Zaspany i obolały od bicia, zdołałem jakoś wstać, zdjąć ubranie i ruszyć po schodach za swoim prześladowcą. Na ostatnim stopniu potknąłem się i uderzyłem go w plecy. Odwrócił się, odepchnął mnie i smagnął kijem.

- Zejdź ze mnie, ty śmierdzielu! - wrzasnął.

Gdy wychodził, zamachnął się drzwiami tak, że te zdzieliły mnie w twarz. Wszedłem i stanąłem przed nim na ścieżce prowadzącej przez wydmy. Otoczyłem się ramionami, szukając ochrony przed porannym chłodem. Poprzez ciemność próbowałem dojrzeć twarz kaprała dziennej straży. Gdyby nie to, że miał długie, ciemne włosy, byłby idealną kopią tego z nocnej. Miał taki sam płaszcz, takie same odznaczenia i order, ale jego twarz była czerwona, wykrzywiona gniewem i strachem.

- Padnij na ziemię! - zawołał. Uczyniłem to.

- Narysuj krąg na piasku! - zażądał. Uczyniłem i to.

Uderzył mnie kijem.

- Większy! - krzyknął.

Narysowałem większy.

Wtedy on przykucnął przede mną i pokazał mi dwie kości do gry, które trzymał w prawej ręce. Zdaje się, że były czerwone z białymi kropkami. Zaciśnął je w pięści i uniósł do ust, by chuchnąć. Potem wstrząsnął i rzucił kośćmi wewnątrz narysowanego przeze mnie kręgu. W ciemnościach zaświeciły białe plamki, wskazując trójkę i czwórkę.

- Siedem funtów - powiedział, zagarniając kości ręką i wstając.

Ja także wstałem.

- Musisz dziś wykopać siedem funtów - dodał. Skinąłem głową.

- W porządku, idź naprzód z rękoma na głowie! - zawołał zza moich pleców. Zrobiłem, co kazał, i nim zdążyłem ruszyć, poczułem na plecach czubek jego szabli.

Szliśmy przez wydmy inną drogą i po przejściu mniej więcej pół mili po sypkim piasku stanęliśmy u wejścia do kopalni.

Z zarośniętego szybu dobiegało niezdrowe żółte światło, w którym widziałem wydobywające się z dołu opary. Kaszlnąłem kilka razy, nie mogąc znieść obrzydliwego smrodu.

- Oddychaj głęboko! - wrzasnął kapral Matters z dziennej straży. - Za kilka tygodni sam będziesz tak cuchnął. - Zamilkł na chwilę. - Wydam ci kilof i łopatę. Dostaniesz też torbę, w której będziesz wynosił siarkę na zewnątrz, tykwę zgniłej wody i trzy wilgotne krążki krematu. - Odszedł w cień, by po chwili pojawić się z wymienionymi rzeczami.

Przerzuciłem łopatę i kilof przez ramię, a w drugą rękę wziąłem sznur od tykwy i brązowy pakunek, by pokazać kapralowi, że go zrozumiałem.

- Jest parę rzeczy, które moi więźniowie muszą wiedzieć - rzekł, chodząc w tę i we w tę przed moim nosem.

Zastanawiałem się, czy Mattersowie naprawdę są bliźniakami, czy to ten sam stuknięty facet zmienia peruki. Podobieństwo wyprowadzało mnie z równowagi.

- Moja pierwsza zasada - zawołał - każdy górnik musi wykopać własną dziurę. To znaczy, że musisz znaleźć kawał nagiej skały i wydrążyć tunel. Po sześciomiesięcznym pobycie zostaniesz poproszony o wyrycie nad tunelem swego nazwiska. Gdy zejdziesz z tego świata, twoje szczątki, jakkolwiek by wyglądały, zostaną tam pogrzebane. Ty i twój tunel to jedno. Zrozumiano?

Skinąłem głową.

- Moja druga zasada: kopalnia to umysł - oznajmił, po czym nagle wyciągnął kij i trzasnął mnie w ramię. - Powtórz! - ryknął. - Powtórz!

- Kopalnia to umysł - powtórzyłem niemal szeptem.

- Jeszcze raz! - wrzasnął, a ja posłuchałem.

Wtedy on podszedł do mnie tak blisko, że jego chuchająca alkoholem twarz znajdowała się o cal od mojej.

- Kopalnia to umysł - powtórzył. - Gdy pracujesz, jesteś w moim umyśle, drążąc tunel w mojej głowie, i widzę cię w każdej chwili. Mój mózg nieustannie cię zabija, gdy jesteś w środku. Kop głęboko. Już ja ci wpoję zapal bitewny.

Znów pokiwałem głową, czekając na kolejny rozkaz. Kapral natarł na mnie, wymachując kijem i sięgając po szablę.

- Do roboty, tępaku! - ryknął. - Siedem funtów albo nakarmię tobą krakeny w lagunie.

Odwróciłem się i pobiegłem, wyprzedzając go, ale nie dość, by od czasu do czasu nie mógł mnie dosięgnąć swoim kijem. Zagłębiłem się w niezdrową żółć, dźwigając narzędzia, tykwę ze zgniłą wodą i krążki krematu. Sądziłem, że odór siarki mnie powali, ale gdy sobie uświadomiłem, że kapral nie wbiegł za mną do środka, przystanąłem i pochyliłem się w żółtej mgiełce, czekając, aż odzyskam równowagę.

- Siedem funtów siarki - myślałem. - Cóż to oznacza?

15.

Ściany komory, w której się znalazłem, emitowały własny blask, jakby jakiś fosforyzujący materiał zmieszał się z siarką. Poprzez mgliste światło dostrzegłem dziesięć stóp przed sobą drewniany most, przechodzący ponad niewielką szczeliną i wiodący do wylotu tunelu. Szedłem powoli, manewrując narzędziami na ramieniu. Most kołysał się przy każdym kroku, ale w końcu dotarłem do jego końca, niemal spodziewając się zobaczyć po drugiej stronie Garlanda.

Przystanąłem na moment, trzęsąc się i dławiąc od smrodu. Potworny odór był tam przez cały czas, ale chwilami udawało mi się go ignorować, po czym nagle zalewał mnie niczym fala. By wyobrazić sobie ten aromat, musielibyście pomyśleć o wszelkiego rodzaju ekskrementach smażących się w ogniu gorączki wirusowej i zanurzyć w nich twarz. Tunel był ciasny i ciemny, a droga zdawała się zakręcać do wewnątrz jak zwinięty w kłębek wąż. Kilof co rusz uderzał o sufit. Moje stopy płonęły w zetknięciu z gorącą skałą. Byłem już bliski paniki, gdy wreszcie ujrzałem w oddali światełko i przyspieszyłem.

Podziemna grotta, w której się znalazłem, rozmiarami dorównywała chyba całej Akademii Fizjonomiki w Dobrze Skonstruowanym Mieście. Przede mną widniała olbrzymia dziura w ziemi. Ostrożnie podszedłem do skraju i zerknąłem w dół. Jej obwód był tak wielki, że ledwie widziałem drugą stronę. Całość jarzyła się matową żółcią, w której dostrzegłem wijącą się wzdłuż wewnętrznych ścian ścieżkę. Tak daleko jak sięgałem wzrokiem poprzez unoszący się dym, na różnych wysokościach widniały w skale otwory tuneli, wykutych - jak przypuszczałem - przez ludzi, którzy podzielili los profesora Flocka i nędznego poety Barlowa, a także przez nich samych. W zestawieniu z ogromem całej kopalni wyglądały jak dzieło owadów.

Z każdym moim krokiem w dół niebezpiecznej spirali temperatura wzrastała o jeden stopień, a smród coraz mocniej uderzał w nozdrza. Pełnąc niedbale, zadawałem sobie pytanie, ilu potknęło się i runęło w głąb szybu, a ilu po prostu się weń rzuciło. Ścieżka była tak wąska, że jak najszybsze wykucie osobistego tunelu zdawało się ze wszech miar wskazane.

Schodziłem miarowo około godziny, usiłując znaleźć dziewiczy fragment ściany. Nim mi się to udało, byłem zadyszany i zlany potem. Oczy piekły mnie od oparów tak strasznie, że ledwie widziałem. Rzuciłem narzędzia na ziemię i ułożyłem paczuszkę z krążkami krematu w bezpiecznej odległości od krawędzi. Wciąż trzymając w ręku tykwę, usiadłem na ścieżce i rozplakałem się. Łzy oczyściły mi oczy i poczułem pewną ulgę. Pociągnąłem łyk wody i choć była zgniła, wielkiego samozaparcia wymagało powstrzymanie się od wypicia całej od razu.

Po kolejnym łyku przekrzywiłem głowę do tyłu i zauważyłem, że nad wylotem tunelu na prawo ode mnie, głęboko wryte w jarzącej się sierce, widnieją litery: F-E-N-T-O-N. W pierwszej chwili nie zrobiło to na mnie wrażenia, ale potem, gdy smród kopalni uderzył mnie w nozdrza z nową siłą, zakręcając w głowie, przypomniałem sobie Notiousa Fentona. To moje umiejętności fizjonomiczne sprawiły, że tu trafił. Zdaje się, że oskarżono go o żywienie negatywnych myśli w stosunku do Dobrze Skonstruowanego Miasta. Był jednym z podejrzanych w sprawie Gruliga. Większość spiskowców stracono poprzez rozsądzenie głowy. Teraz mogłem ich uznać za szczęściarzy.

Wstałem i zagłębiłem się w tunel Fentona. Mimo panującego wewnątrz półmroku zdołałem dostrzec szkielet, siedzący na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, z kilofem na tym, co kiedyś było kolanami. Przypomniałem sobie, że podczas procesu żona i dzieci Fentona głośno wyrażali protesty przeciwko imperium Nadolnego. Pewnego dnia przyszedłem do sądu i nie zastałem ich. W kolejne dni także ich nie było. Dopiero później, gdy odurzony pięknem Mistrz zdradził mi w sekrecie, że to on sam ściał Gruliga, dowiedziałem się także, że kazał - jak to wyraził - „permanentnie zrestrukturyzować” rodzinę Fentonów w ramach osobistej przysługi dla mnie, zapewniającej gładkie ukończenie procesu.

Zbliżyłem się powoli, jakby szczątki tego biedaka stanowiły potencjalne zagrożenie. Potem pochyliłem się i szepnąłem: „Przepraszam. Przepraszam”. Moja ręka mimowolnie uniosła się i spoczęła na obojczyku ofiary. W ułamku sekundy kość rozsypała się pod moim dotykiem, zmieniając się w sól i osypując na pokrytą pyłem podłogę. Cofnąłem się i patrzyłem, jak proces

niczym plaga rozprzestrzenia się na klatkę piersiową i kręgosłup, dezintegrując Fentona, aż wreszcie pozbawiona oparcia czaszka upadła na ziemię i zniknęła w deszczu atomów.

Choć tunel oferował pewne wytchnienie od odoru, wiedziałem, że nie mogę tam zostać. Wycofałem się w potworność kopalni i podniosłem swój kilof. Musiałem go schwycić mocniej niż przedtem, bo obfity pot ściekający z każdego cala mego ciała sprawił, iż drewniana rączka stała się oślizła jak ryba. Znów przerzuciłem narzędzie przez ramię, po czym z całej siły, wzmocnionej pogardą dla samego siebie, uderzyłem w ścianę.

Przez jakieś dwadzieścia minut pracowałem z szaleńczą energią, po czym osunąłem się na chropowatą, obłupaną przez siebie skałę, z przerażeniem uświadamiając sobie nagle, że nie oddycham. Kilof wypadł mi z rąk. Oczy sprawiały wrażenie kompletnie wypalonych i były całkiem ślepe. Głowa bolała mnie straszliwie i czułem, jak ześlizguję się po ścianie, raniąc sobie dłonie i twarz o występy.

Chwilę później, niestety, zbudziłem się. Oddychając z nieco większą łatwością, podczołgałem się do miejsca, w którym leżał mój prowiant i woda. Wielka bryła odłupanej siarki spadła na moje wilgotne krążki krematu, ściskając je do niepokojąco małych rozmiarów. Rozerwałem papier. „Wilgotne” nie było właściwym słowem: w środku w ogóle nie znalazłem krążków, a jedynie brązowy kremat rozsmarowany po papierze. Zlizalem go łapczywie i popiłem wodą.

Gdy skończyłem, zwinąłem papier w kulkę i cisnąłem w dół szybu. Unoszące się opary sprawiły, że nie spadł, lecz unosił się w górę i w dół, aż silny oddolny podmuch wypchnął go poza zasięg mojego wzroku. Zastanawiałem się, jak nazywa się to zjawisko w umyśle kaprala Mattersa z dziennej straży. Skoro kopalnia była jego umysłem, umysł ów musiał być gorącym, śmierdzącym, podziurawionym szybem, zawierającym kruche szczątki zmarłych. Pomyślałem, że to zabawne - ale później, gdy znów zacząłem rozłupywać żółtą ścianę, uświadomiłem sobie, że kapral świetnie to ujął.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Jeszcze dwukrotnie zemdlałem, a raz zdawało mi się, że moja krew całkiem dosłownie wrze. W mózgu przez cały czas słyszałem skwierczenie. Wkrótce po zjedzeniu kremat zaczął drażnić mi żołądek jak demon, nie dając wytchnienia. Na domiar złego otarcia, których doznałem, ześlizgując się po chropawej skale, szczypały od mieszanki słonego potu i trującego powietrza.

W końcu, niczym głos z raju, usłyszałem swoje nazwisko, dudniące echem w pustej kopalni. „Zmierch, zmierzch, zmierzch!” - darł się kapral. Zebrałem bryły siarki do płóciennego worka, który ze sobą przyniosłem, i zarzuciłem na plecy. Przez drugie ramię przerzuciłem łopatę i kilof. Sznur od tykwy trzymałem w zębach. Wędrówka pod górę była koszmar, nogi uginały się pod ciężarem, a ręce trzęsły od wysiłku. Trzy razy zatrzymywałem się, by złapać oddech, ale w końcu dotarłem na zewnątrz.

Było ciemno, lecz w powietrzu unosiła się nocna bryza, przynosząca zapach oceanu. Zamieniłbym dziesięć fiolek piękna na jeden jej haust. Kapral wbił swoją pochodnię w wykopany dół i zważył mój urobek na antycznej wadze, działającej na zasadzie przemieszczania się kamieni i sprężyn. Pobił mnie kijem, gdy odkrył, że zamiast siedmiu funtów przyniosłem dziesięć.

- Czy „siedem” brzmi jak „dziesięć”? - zapytał.

- Nie - odparłem.

- Jesteś kompletnym debilem - powiedział. Skinąłem głową.

- Nie jesteś pierwszym fizjonomistą, którego widziałem startego na pył. Pamiętam niejakiego profesora Flocka. Cóż to był za kretyn! Prałem go ile wlezie. Sama rozkosz. Kiedyś go oślepiłem swoim batem. Odebranie mu wzroku było jak wyrwanie musze skrzydeł. Gdy w końcu zdechł, ukradłem mu to - rzekł.

Ustawił swój kij tak, by mi pokazać rączkę: rzeźbioną małpią głowę z kości słoniowej.

- Któregoś wieczora zadek Harrowa cię nie wypluje i znajdę cię tam na dole, skrzyconego w agonii i otoczonego smrodem smażonego ciała - rzekł. - A teraz wynocha stąd. Jutro przed świtem przyjdę po ciebie.

Zabrał ze sobą latarkę i pozostawił mnie stojącego przed wejściem do kopalni. W górze jasno świecił księżyc i gwiazdy. Całe ciało piekło mnie, jakbym doznał silnych poparzeń słonecznych, a chłodny nocny wiatr wywołał we mnie dreszcze. Obfitość świeżego powietrza mocno zakręciła mi w głowie i z trudem brnąłem naprzód wijącą się wśród wydm ścieżką. Dopiero po dwóch godzinach odnalazłem gospodę.

W moim pokoju paliło się światło. Łóżko było zasłane; ponadto ktoś przygotował mi ciepłą kąpiel. Przez chwilę pragnienie zanurzenia się w wodzie zmagало się we mnie z sennością. W końcu wybrałem obie opcje. Wszedłem do wanny w bieliźnie, czując, jak ciepła, perfumowana woda obmywa mnie z resztek kopalni. Potem zasnąłem. Po jakimś czasie obudziłem się, słysząc

dobiegający z dołu cichy dźwięk. Próbowałem go zignorować i nadal śnić o Arli, ale był natrętnym komar. W końcu poddałem się i odkryłem, że to dźwięki pianina.

Włożywszy jedynie spodnie, zszedłem boso po schodach. Kierując się słuchem, przeszedłem przez główny bar i jadalnię na zaplecze. Uderzyłem palcem stopy o pozostawione w przejściu krzesło, którego nie dostrzegłem w mroku. Stłumiłem jęk, ale krzesło przesunęło się ze zgrzytem i zderzyło z innym. Muzyka gwałtownie umilkła.

Dotarłem do końca jadalni, pchnąłem drzwi i znalazłem się na dużym, osłoniętym ganku. Znowu słyszałem ocean i czułem na twarzy morską bryzę. Księżyc oświetlał widoczne za siatkowym ekranem wydmy. Przed sobą ujrzałem małe, czarne pianino, nieznacznie większe od tego, na którym mogłoby ćwiczyć dziecko. Po drugiej stronie gołej podłogi z desek, naprzeciw mnie, znajdował się bar z heblowanym drewna z pełnymi butelek półkami i lustrem za nimi. Gdy wyteżyłem wzrok, wydało mi się, że za barem ktoś siedzi.

- Halo? - zawołałem.

Ciemna postać uniosła rękę i zamachała. Powolnym krokiem ruszyłem przez ganek. Gdy byłem o kilka stóp od baru, zajaśniała zapalka. Zatrzymałem się, lecz po chwili zobaczyłem, że mężczyzna zapala świecę. Podeszedłem i usiadłem przed nim.

- Silencio? - zapytałem.

Skinął głową i ujrzałem jego twarz. Zarządca okazał się wątłej budowy - miniaturowy człowieczek o pomarszczonej twarzy i długiej brodzie. Moją uwagę na moment odwrócił jakiś ruch za jego plecami. Nagle uświadomiłem sobie, że patrzę na długi ogon. Silencio był małpą.

Widząc zrozumienie na mojej twarzy, sięgnął pod ladę i wyjął butelkę drinka „Słodki Płatek Róży”, który zwykle pijałem przy okazji spotkań politycznych i towarzyskich. Drugą ręką wyjął szklankę, po czym schwycił korek zębami i otworzył butelkę. Uśmiechnął się szeroko, nie wypuszczając korka, i nalał mi podwójną porcję.

- Silencio - powiedziałem, a on skinął głową.

Przez długo chwile patrzyliśmy na siebie, a ja zastanawiałem się, czy nie umarłem tego dnia w kopalni. „To właśnie jest moje życie wieczne - siarka za dnia, małpa w nocy” - pomyślałem, a on skinął lekko głową, jakby się zgadzał.

- Jestem Cley - powiedziałem.

Złączył dłonie i klasnął dwukrotnie. Nie byłem pewien, czy kpi ze mnie, czy też chce mi pokazać, że zrozumiał.

Uświadomiłem sobie, że nie obchodzi mnie to. Wziąłem drinka, odchyliłem się w krześle i pociągnąłem. Silencio wydawał się zadowolony z tego, że zdecydowałem się pozostać.

- Dziękuję - rzekłem.

Wtedy on zeskoczył ze stołka i przeszedł przez drzwi na końcu baru. Po kilku minutach wrócił, trzymając tacę. Znow wspiął się na stołek i położył ją przede mną. Była to pełna kolacja - udziec wieprzowy pokryty plasterkami ananasa, do tego chleb i masło, a na osobnym talerzu ziemniaki i czosnek.

Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak strasznie jestem głodny. Rzuciłem się na jedzenie jak zwierzę, podczas gdy Silencio zszedł ze stołka, przeszedł na drugą stronę baru, przemierzył ganek i zasiadł do pianina. Kombinacja ananasa i muzyki przywiodła mi na myśl raj. Łapczywie popijałem drinka i wsuwałem ziemniaki, oczyma duszy widząc, jak złote wrota otwierają się, by mnie wpuścić.

Nadal siedziałem w barze, gdy przyszedł po mnie kapral Matters z dziennej straży. Sprawił mi solidne lanie, ale byłem zbyt pijany, by coś poczuć. Na zewnątrz, w kręgu, kości tym razem pokazały dwie szóstki. Przez cały dzień, gdy stałem przy swojej dziurze i machałem kilofem, słyszałem wibrujący wśród ścian śmiech kaprała. Nawet gdy mdlałem i pogrążałem się w chłodnym śnie o zbawieniu, śmiech wciąż był obecny, niczym cykada gotowa w dowolnej chwili wykluć z jaja.

16.

Na Doralicji dni ciągnęły się w nieskończoność i nie niosły ze sobą nic prócz fizycznej udręki. Noce były niczym dogasająca świeca, kilka krótkich chwil ciężkiej samotności, podkreślanej niemilknącym szemraniem oceanu i ujadaniem dzikich psów. W blasku księżyca cierpiałem inne, duchowe męki, unoszące się ze snów, w których moja wina zostawała ujawniona zarówno dosłownie, jak i symbolicznie. Czasami, kiedy kapral dziennej straży budził mnie uderzeniem kija w plecy, niemal mu dziękowałem, że mnie wybawił od wspomnień z Anamasobii.

Jedynym, co wydawało się zmieniać na Doralicji, byłem ja. W ciągu kilku tygodni wysiłek wzmocnił mnie fizycznie. Silencio był czarodziejem, jeśli chodzi o leczenie moich ran, kiedy wracałem pobity, poparzony lub w malignie wywołanej oparami. Miał duże, zielone liście, które niekiedy moczył w wodzie, a następnie owijał mnie nimi, by ugasić trawiący ciało ogień. Przygotowywał też herbatkę ziołową, dodającą sił i rozjaśniającą umysł. Swoimi porośniętymi sierścią dłońmi łagodnie nakładał błękitną maść na miejsca, w których kij kaprala rozciął skórę. Ale mimo tych wszystkich zabiegów i faktu, że moje mięśnie stawały się twarde jak skała, czułem, że w środku umieram. Dniem i nocą z tęsknotą myślałem o chwili, w której zamienię dręczące mnie wspomnienia na absolutną niepamięć.

Po pierwszym bolesnym doświadczeniu nauczyłem się, że nie należy schodzić nocą do baru. Od tamtej pory, gdy dowlokłem się do gospody, szedłem do swego pokoju i siedziałem tam, a Silencio przynosił mi tacę z jedzeniem. Nie wiem, do jakiego gatunku małp należał, ale był niezwykle inteligentny - i piękny, z tymi wszystkimi odcieniami brązu i długą, czarną brodą,

dochodzącą do połowy białej piersi. Używał ogona jako dodatkowej ręki i mimo cienkich mięśni był dość silny. Gdy do niego mówiłem, mógłbym przysiąc, że rozumie każdy niuans.

Czasem, gdy skończyłem jeść, siedział na toalecie, wydłubując sobie z sierści kleszcze i zgniatając je w zębach, ja zaś leżałem na łóżku i otwierałem przed nim głębię swej próżności, która przywiodła mnie na tę wyspę. Raz po raz, gdy ujawniałem jakiś wstydlivy szczegół, Silencio kręcił głową i wydawał z siebie skrzek, ale nigdy nie wydawał się skłonny do osądzania mnie. Kiedy opowiedziałem mu o Arli i o tym, co jej zrobiłem, uniósł pięść do oczu, by otrzeć łzy.

Pewnego dnia, gdy kapral wyrzucił dwie jedyńki, miałem dla siebie wiele czasu w kopalni, więc ruszyłem na obchód tuneli swoich poprzedników. Niektóre nazwiska były mi znane - o jednych czytałem w gazecie miejskiej, do skazania innych sam przyłożyłem rękę. Dopiero teraz zauważyłem, że większość stanowili więźniowie polityczni: ci, którzy popełnili rabunek, gwałt czy morderstwo, zwykle byli strącani natychmiast, czy to na krzesle elektrycznym, czy przez pluton egzekucyjny, czy rozsądzenie głowy. Wyglądało na to, że na Doralicję trafiali ludzie, którzy w jakiś sposób kwestionowali władzę i filozofię Mistrza, w mowie lub w piśmie wyrażali pogardę dla ścisłej kontroli społecznej panującej w Dobrze Skonstruowanym Mieście, wątpili w skuteczność fizjonomiki albo wyrażali obawy co do poczytalności Drachtona Nadolnego.

Nad wylotami tuneli znalazłem nazwiska Rasuki, Barlowa, Theriana. Wszyscy oni na swoje pokrętne sposoby potrafili sięgnąć wzrokiem poza granice Miasta, ku miejscu, gdzie brutalność i strach nie były konieczne, by okiełznać społeczeństwo. Pamiętałem, jak Mistrz kpił z planu Theriana, by wykarmić biedaków z Latrobii i innych społeczności, które wyrosły wokół murów metropolii. „To frajer, Cley - rzekł do mnie. - Ten pacan nie pojmuje, że głód jest sposobem na pozbycie się części tego motłochu”. A co ja wtedy zrobiłem? Zbadałem głowę biednego Theriana i uznałem go za niebezpiecznego dla państwa. Nie pamiętam, czy chodziło o brodę, czy grzbiet nosa, ale nie miało to znaczenia. Obie te części, wraz z resztą jego osoby, siedziały teraz przede mną w postaci sporej bryły soli, ledwie widocznej w przyćmionym żółtym świetle tunelu, który poza tym świecił pustkami.

Tunel Barlowa natomiast wypełniały napisy. Za pomocą jakiegoś narzędzia skazaniec wydrapał na siarkowych ścianach swoje wiersze. Ze smutkiem zauważyłem, że mimo cierpienia nie stał się ani odrobinę lepszym poetą: „duch” rymował się z „puchem”, „knieja” z „nadzieją”, zbyt wiele akcentów, zbyt mało obrazów, wszystko „cudne” i „umiłowane”. Wśród skwaru i

smrodu kopalni zastanawiałem się, czy to wszystko coś znaczy; czy nie jestem po prostu głuchy na pasję, która w sensie dosłownym strawiła jego życie. Tak czy owak nie rozumiałem, jakie zagrożenie Barlow mógł stanowić dla Mistrza.

Choć przemierzając się z tunelu do tunelu i oglądając szczątki zmarłych zużywałem sporo energii, którą w przeciwnym razie mógłbym zaoszczędzić, fascynowały mnie te poszukiwania. Tego dnia podmuch w szybie był z jakiegoś powodu dwakroć gorętszy niż zwykle, ale kontynuowałem wędrówkę, ocierając z oczu żący pot i wyężdżając wzrok, by widzieć przez mgłę. Było to niemal tak, jakbym odwiedzał tych ludzi; jak gdybym sam był jednym z nich. Myśl, że są to moi rodacy, dawała mi namiastkę pocieszenia, dopóki nie minąłem własnego tunelu i nie znalazłem poniżej wyrytego nad jednym z otworów nazwiska Flocka.

Spośród wszystkich miejsc wiecznego spoczynku, które tego dnia odwiedziłem, największe wrażenie zrobiła na mnie właśnie mogiła mego dawnego mentora. Gdybym zdołał wyrzucić ze świadomości fakt, że wszystko to wykuto w siarce, i zignorować ów potworny odór, powiedziałbym, że grota profesora Flocka była doprawdy urocza. Staruszek miał w sobie coś z artysty: stworzył w swojej dziurze ogród, rzeźbiąc na ścianach reliefy w formie pnączy, krzewów i drzew. Gałązki i witki, liście i kwiaty - wszystko to wrył z ogromną delikatnością, ukazując szczegóły i nadając właściwe proporcje. Na końcu głębokiego tunelu znajdowała się niewielka ogrodowa ławeczka, niegdyś będąca zapewne ogromną bryłą siarki. Stała przodem do ściany.

Usiadłem tam - w ogrodzie Flocka - i przyglądałem się szeregowi naturalnej wielkości twarzy wykutych w żółtym kamieniu. Pierwszą była twarz Mistrza, odznaczająca się nieprawdopodobnym podobieństwem. Uśmiechał się szyderczo, a oczy uciekały mu w głąb czaszki, jakby dopiero co wstrzyknął sobie dawkę czystego piękna. Obok niego znajdował się kapral Matters z dziennej straży, z wykrzywionymi ustami i wielkimi worami pod płonącymi nienawiścią oczyma. Ostatnim w osobliwej galerii dręczycieli profesora było oblicze, które z pewnością znałem, lecz nie potrafiłem go nikomu przypisać. Tchnęło taką samą pogardą i groźbą jak dwa pozostałe; można by rzec, że było przesiąknięte szaleństwem samego Mistrza.

Gdy usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie już widziałem tę twarz, zauważyłem, że pod wszystkimi nienawistnymi głowami wyryto słowo PRZEBACZAJ. Podniosłem kilof i uderzyłem z całej siły, roztrzaskując ostatnią z podobizn. Gdy już leżała na ziemi, waliłem w nią tak długo, aż zmieniła się w stertę żółtych okruszków. Potem wrzuciłem ją do swego worka. „Dwa funty” - szepnąłem do szyderczej twarzy kaprała.

Tamtej nocy, po kąpieli, leżałem na łóżku i gapiłem się w pustkę. Powinienem był zostawić te tunele w spokoju zamiast zakłócać zmarłym sen. To, co tam zobaczyłem, odebrało mi resztki woli życia. Teraz pozostało tylko zdecydować, w jaki sposób przyspieszę swój koniec. Czy powinienem wskoczyć do szybu? - zastanawiałem się. Zanurkować wdzięcznie i spadać bez końca w żółtą, wrzącą toń, rozpadając się, nim sięgnę dna? Czy też może, jak mój nieżyjący gospodarz Harrow, powinienem popłynąć ku śmierci?

- Widziałeś krakeny? - zapytałem Silencio, który siedział na toalecie z zatroskaną miną. Przez cały wieczór błagał mnie gestem i spojrzeniem, bym zjadł kolację, którą mi przyniósł na tacy.

Wyłuskał sobie z sierści jakąś gnidę, zamachał nad nią palcami drugiej ręki, po czym uniosł do ust i zgniótł w zębach.

Potem zeskoczył z toaletki, a ja znów zagapiłem się smętnie w sufit. Sądziłem, że mój towarzysz opuścił pokój, lecz po chwili z zadumy wyrwał mnie jakiś hałas: to Silencio przetrząsał szafę. Po kilku sekundach wspiął się na łóżko, dźwigając torbę podróżną, z którą przybyłem na wyspę. Obojętnie patrzyłem, jak rozpina zatrzaski i sięga do środka. Wyciągnął paczuszkę owiniętą niebieskim papierem i przewiązaną sznurkiem. W pierwszej chwili nie pamiętałem, bym coś takiego ze sobą przywoził. Małpa tymczasem kopniakiem zrzuciła torbę na podłogę, a następnie dwiema rękami uniosła pakunek i rzuciła mi na pierś. Ani się obejrzałem, jak odniosła torbę do szafy i wyszła z pokoju.

Leżałem, spoglądając na pakunek z obawą i zaciekawieniem, jakby to była macka krakena. W końcu podniosłem go powoli, a gdy to zrobiłem, uniosła się z niego mieszanina ledwo wyczuwalnych aromatów. Był wśród nich zapach pergaminu i atramentu oraz... perfum Arli Beaton. Tym, co trzymałem w ręku, nie było bowiem nic innego jak owe notatki z wyprawy jej dziadka, które dla mnie pozostawiła. Zdarłem resztki niebieskiego papieru i sznurka, przypominając sobie, że specjalnie tak zapakowałem pamiątkę, by ją ochronić podczas morskiej podróży.

Dotąd nie potrafiłem spojrzeć na rękopis bez niepohamowanego drżenia. Przez cały czas trwania swego długiego procesu trzymałem notatki w przeciwległym krańcu celi, jak najdalej od łóżka, a ilekroć mój wzrok na nie padał, szybko go odwracałem, jakbym zobaczył ducha. Teraz jednak nie czułem dawnej awersji. Uniosłem plik papierów i przeczytałem pierwsze słowa: „Drogi Fizjonomisto Cley”.

Z tylnego ganku gospody dobiegły łagodne dźwięki pianina, nakładając się na nieprzerwane szemranie odległego oceanu. Firanki powiewały na bryzie.

Rozpocząłem lekturę *Fragmentów niemożliwej podróży do Ziemskiego Raju*.

Drogi Fizjonomisto Cley,

kilka dni temu, na pańską prośbę, spędziłam czas na badaniu atrybutów fizjonomicznych mego zmarłego dziadka, Harada Beatona, próbując ocenić jego osobistą wartość i odczytać ewentualne tajemnice związane z wyprawą, którą odbył wiele lat temu. Odczyt rysów fizjonomicznych utrwalonych w błękitnej spirze potwierdził jedynie, że dziadek był przeciętnym człowiekiem o dość niskim ilorazie fizjonomicznym. Ciekawsze jest jednak to, że przesuwając rękoma po jego utwardzonej twarzy, zaczęłam sobie przypominać fragmenty opowieści o jego wyprawie, którymi mnie raczył, gdy byłam dzieckiem. Zaczęłam je więc spisywać z myślą, że mogą się panu przydać.

Gdy już zaczęłam, nie potrafiłam przestać. Wspomnienia zmieniły się w sny na jawie i zdaje mi się, że zapisując je doświadczałam czegoś, co mistycy nazywają pismem automatycznym. Pisałam, nie patrząc na papier, tak szybko, jak gdyby jakaś niewidzialna siła kierowała moją ręką. Choć nie ujrzałam w ten sposób całej wyprawy, przypomniały mi się znaczne jej urywki. Istnieją luki, które prawdopodobnie na zawsze pozostaną niewypełnione. Gdy owa wyprawa mnie nawiedzała, czułam się, jakbym była jednym z górników na pustkowiu, niewidzialnym świadkiem ich poszukiwań.

Patrząc na rękopis Arli, niemal czułem, jak jej ręka porusza się po papierze. Wdychałem słabą woń jej perfum ze śladami bzu i cytryny i miałem wrażenie, że leży obok mnie w łóżku. Uspokoilo mnie to i w miarę czytania zacząłem odczuwać zmęczenie. Pierwszy fragment przedstawiał obraz Zarubieży. Bardzo szczegółowo opisywała nieskalane piękno oraz dziwną faunę i florę, z którymi stykali się górnicy, wchodząc coraz głębiej w lasy, które później przemierzałem w towarzystwie Bataldo i Calloo. Niemal widziałem, jak idą w szeregu, ze swymi czołówkami i zarzuconymi na ramię kilofami, żartując i śmiejąc się. Przemknęło obok mnie kilka imion. Słyszałem trzask gałązek i hałas w gęstwinie i patrzyłem, jak stadko jeleni-albinosów

wypada na małą polankę i umyka w gąszcz. Choć było południe, na niebie lśnił księżyc, a Harad Beaton tęsknił za domem.

I nagle poczułem na plecach razy kija kaprała dziennej straży. Mój umysł był tak przepełniony Zarubieżami, że nawet jego przekleństwa i uderzenia nie wyrzuciły zeń runa leśnego i ogromnych cedrów, dopóki nie przeszliśmy sporego odcinka przez wydmowy labirynt. Przed wejściem do kopalni musiałem go zapytać, ile oczek wyrzucił tego ranka.

- Dziesięć, zakuta pało! - ryknął. - Szóstkę i czwórkę! - Sprawiał wrażenie, jakby chciał znów mnie złościć, ale niebo robiło się coraz jaśniejsze, więc zamiast tego pchnął mnie w stronę kopalni. - Może dzisiaj zdechniesz - powiedział, gdy potknąłem się u wylotu.

Jego słowa przypomniały mi, że właśnie to planowałem, ale jakoś nie potrafiłem wprowadzić planów w życie. Waląc w skałę swego tunelu, pocąc się i spazmatycznie chwytając powietrze, uświadomiłem sobie, że będę musiał pozostać przy życiu przynajmniej do momentu ukończenia lektury rękopisu Arli. Tego dnia pracowałem z wielkim wigorem.

Niemal na wzór sztucznego ogrodu w tunelu Flocka mój umysł począł zarastać obrazami prawdziwej dziczy. Kopiąc, począłem się zastanawiać, czy Beaton kiedykolwiek odnalazł raj. Ta myśl, nie większa niż drobinki siarki, które przelatywały wokół mnie po każdym uderzeniu kilofa, zagrzebała się w mojej głowie niczym ziarno gotowe do wypuszczenia kielków.

17.

Leżałem w łóżku, czytając na głos odcinek *Fragmentów Arli* dotyczący ataku demona, który górnicy przeżyli w sosnowym lesie na stromym zboczu. Silencio siedział u moich stóp z szeroko otwartymi oczyma, jedną ręką ściskając ogon, a drugą zakrywając oczy. Górnik o nazwisku Miller był właśnie wybebeszany przez trzy spośród tych ohydnych stworzeń, czemu towarzyszył pełen bujnej retoryki opis. Krew tryskała, dwunastnica zwisała, a jęki z samych trzewi piekła unosiły się nad pustkowiec, gdy wtem rozległo się pukanie do moich uchylonych drzwi.

Wzdrygnąłem się przerażony, myśląc: „Czy to już ranek? Przecież dopiero co zacząłem czytać”.

Silencio zeskoczył z łóżka, odbił się dwukrotnie, a potem wyskoczył w górę jak sprężyna w momencie, w którym do pokoju wszedł kapral Matters z nocnej straży. Małpa zwinnie wylądowała na lewym ramieniu gościa i owinęła jego szyję ogonem niczym kołnierzem.

- Dobry wieczór wszystkim - rzekł kapral z szerokim uśmiechem.

Od nocy swego przybycia nie miałem z nim żadnego kontaktu. Zakładałem więc, że tak naprawdę on i kapral dziennej straży to ta sama osoba. Teoretyzowałem, że posiada dwie peruki, czarną i białą, i że z jakiegoś szalonego powodu udaje, iż jest ich dwóch. Teraz jednak, widząc go uśmiechniętego i głaszczącego Silencio, musiałem zmienić zdanie.

- Cley - powiedział - miło cię widzieć. Przepraszam, że nie wpadłem wcześniej, by sprawdzić, jak sobie radzisz.

Milczałem, ukradkiem usiłując upuścić notatki na podłogę w obawie, że z powodu jakichś przepisów będzie musiał mi je odebrać.

- Może wypiłbyś ze mną drinka na tylnym ganku - zaproponował. Na dźwięk tych słów Silencio zeskoczył z jego ramienia i truchtem wybiegł z pokoju.

Wstałem, włożyłem koszulę i buty i ruszyłem za kapralem na dół. Gdy wędrowaliśmy przez spowitą mrokiem gospodę, rozległy się dźwięki pianina.

Później, gdy siedzieliśmy przy barze, *popijając* płatek róży, kapral odgarnął z twarzy siwe włosy i zatknął je za lewe ucho, po czym rzekł:

- Niezły gość z tego mojego brata, co? Pokręciłem głową.

- Z całym szacunkiem - powiedziałem - wydaje się trochę wściekły.

Kapral zaniósł się zmęczonym śmiechem.

- Z całym szacunkiem - powiedział i też pokręcił głową -to najbardziej wściekły człowiek, jakiego w życiu spotkałem.

- Kopalnia jest okrutna - rzekłem, czując, że mogę być z nim szczerzy.

- Fakt - przyznał. - Gdyby to ode mnie zależało, nie kazałbym ci tam chodzić. Pozwoliłbym ci włóczyć się po wyspie i żyć tak, jak by ci się żywnie podobało. - Przerwał na moment, być może rozważając to, co chciał powiedzieć. - Obawiam się, że zostaniesz tam na zawsze. Sam zresztą już to wiesz.

Skinąłem głową, spoglądając poprzez ganek na Silencio uderzającego w klawisze miniaturowego pianina.

- Państwo jest skorumpowane - kontynuował kapral. - Zepsute do szczytu. Wolę mieszkać tu, na wyspie, niż w tym przeklętym Mieście. Przy całej śmierci, którą tu widziałem, i tak jest mniej cierpienia w tej kopalni niż w pobliżu Nadolnego.

- Poznał pan Mistrza? - zapytałem.

- Czy poznałem? Walczyłem u jego boku na polach Harakun. Na pewno pamiętasz z lekcji historii Rewoltę Chłopską? O tak, biedacy spoza murów usiłowali zdobyć Miasto. Mój brat i ja byliśmy tam. Brodziliśmy po kolana we krwi.

- Czytałem o tym - odparłem, choć niewiele pamiętałem.

- Trzy tysiące ludzi w jeden dzień. Pięciuset naszych, reszta tamtych - rzekł kapral, po czym pociągnął solidny łyk. Otarł usta i kontynuował: - Ja i mój brat ze swoimi wojskami oflankowaliśmy dużą grupę chłopów na południe od Latrobii. Byli ostatnim ogniwem rewolty. Zarżnęliśmy prawie wszystkich, ale wzięliśmy ponad pięćdziesięciu jeńców. Nasza akcja zakończyła wojnę. Następnego dnia mieliśmy zabrać więźniów do Miasta, by poddano ich

egzekucji w Parku Pamięci, ale nocą, gdy mój brat spał, zwolniłem wartowników i wypuściłem tamtych biedaków, co do jednego.

- I jeszcze pan żyje? - zdziwiłem się.

- Nadolny oskarżył nas obu. Brat wpadł w szal. Chciał mnie zabić. Mieliśmy iść pod sąd i zostać skazani na śmierć, ale ponieważ walczyliśmy tak dzielnie i nie było szans na odrodzenie się insurekcji, Mistrz darował nam życie i przydzielił dożgonne stanowiska na Doralicji.

- Jak długo już tu jesteście? - zapytałem.

- Czterdzieści lat z kawałkiem - rzekł. - I od dnia przybycia nie widziałem brata. Wkrótce po wyjściu na brzeg zawarliśmy umowę, że on będzie panem dnia, a ja nocy.

- Ani razu go pan nie widział? - zapytałem. - Nawet przelotnie?

- Moim jedynym dowodem na jego istnienie jest cierpienie więźniów - odparł. - Gdybym go spotkał, pewnie byśmy się pozabijali. Wiem, że prędzej czy później to nastąpi. Każdego dnia żyję z tą myślą.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu. Silencio w końcu przestał grać i podszedł, by dolać nam trunku. Wiała cudowna bryza i pragnąłem tak siedzieć przez całą noc.

- Prawda, że to ciekawy zwierzak? - zapytał kapral, gdy Silencio popychał szklankę w jego stronę.

- „Ciekawy” nie jest właściwym słowem - odparłem. - Uratował mi życie już niejednego strasznego dnia.

- Przybył do nas z Miasta - dodał kapral. - Jest produktem eksperymentu Mistrza z transferem inteligencji. Najwyraźniej nie chcieli go ukatrupić, ale był stanowczo zbyt przyjazny, by im się przydać. W ciągu tych lat staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Mój brat nie zdołał go przymusić, by mu pomagał w pilnowaniu kopalni.

- Już nigdy nie będę patrzył na zwierzęta tak jak kiedyś - powiedziałem.

- Silencio zaprzyjaźnia się ze wszystkimi więźniami. Bardzo przeżywa, kiedy któryś nie wraca wieczorem z kopalni. Wtedy sam zaczyna pić. Najbardziej lubi trójpalcówkę z odrobiną zatoki łysek. Przez cały tydzień pozostaje nieutulony w żalu.

- To pocieszające - zauważyłem. Zaśmiał się.

- Raczej absurdalne Ale chyba powinieneś już iść spać. „Kopalnia to umysł” będzie tu za parę godzin.

Odstawiłem drinka i wstałem. Kapral nocnej straży podał mi rękę. Potem przeszedłem przez gospodę i wspiałem się po schodach. Nie byłem pijany, lecz czułem się spokojny i senny. Gdy już znalazłem się w łóżku, zamknąłem oczy i pozwoliłem, by obrazy z Zarubieży zalały mój umysł. Za dnia trzymałem *Fragmenty* pod poduszką, by zapach Arli był przy mnie przez całą noc.

Kiedy zacząłem czytać dalej w miejscu, w którym przerwałem, okazało się, że górnikom towarzyszy teraz listkowiec, zielony człowiek imieniem Moissac. W tekście nie było wzmianki o tym, jak znalazł się wśród nich. Po prostu pojawił się na początku długiego odcinka podróży. Był przyjaźnie nastawiony i zaproponował wędrowcom, że zabierze ich do opuszczonego starożytnego miasta, położonego nad brzegiem śródładowego morza. Harad Beaton sądził, że wśród ruin mogą natrafić na jakieś znaki wskazujące drogę do rajów.

Moissac porozumiewał się z nimi przez dotyk. Kładł gałkowaną dłoń na twarzy człowieka i mówił płynnie. W ukwieconym, pokrytym strzechą żywopłocie, którym była jego własna twarz, jaśniały podobne do odległych ogników oczy, ale w gęstwinie trudno było zobaczyć, gdzie właściwie się zaczynają. Kiedy szedł wśród drzew i krzewów, stawał się niemal niewidoczny.

W tym czasie oprócz Beatona pozostało już tylko czterech górników. Nawet na wolnej przestrzeni czuli się jak schwytani w pułapkę przez zawał skalny. W ciągu poprzednich tygodni widzieli, jak ich towarzysze padają ofiarą demonów, popełniają samobójstwa czy spadają w przepaść, ale nie zatracili poczucia, że mają do wypełnienia boską misję. Niczym mrówki przemieszczali się przez ogrom Zarubieży.

Nim weszli do pustego miasta, listkowiec powiedział im, że nosi ono nazwę Paliszyzja. Poza tym nic o nim nie wiedział. Z daleka przypominało olbrzymi zamek z piasku, osuwający się pod wpływem fal. Za murem miejskim znajdowały się wysokie kopce, podziurawione nierównymi otworami, które niezupełnie wyglądały na drzwi czy okna. Całość przywodziła na myśl raczej siedziby jakichś cudownych żuków niż jakiegokolwiek ludzkiej cywilizacji.

Górnicy unieśli karabiny, mocno ścisnęli w rękach kilofy i przekroczyli filary głównej bramy, zrobione z piasku i muszli. Moissac szedł przodem, dając im znaki, by po cichu przemieszczali się przez milczące miasto. Szli po ścieżkach wyłożonych milionami muszli małży, między którymi rozplenili się niepokonane chwasty.

Budynki Paliszyzji były usypanymi z ziemi kopcami, w których wyryto skomplikowane sieci tuneli i małe izdebki. Górnicy zapalili świece przy swoich hełmach i przyglądali się osobliwym strukturom. Wkrótce odkryli, że budynki są połączone długimi podziemnymi tunelami.

- Nic tu nie ma - rzekł do pozostałych Beaton po całodniowym zwiedzaniu labiryntu. -
Ruszajmy dalej.

Wszyscy się zgodzili - zwłaszcza Moissac, który uważał, że w zatęchłym powietrzu miasta unosi się jakaś klątwa. Na noc ułożyli się na ulicy, szczęśliwi, że nie muszą spać w żadnym z kopców. Ich pustka i ciemność przywodziły Beatonowi na myśl grobowce.

Listkowiec zbudził ich tuż przed świtem, wskazując niebo, na którym niczym ryba w sadzawce pływały dziwne czerwone światła. Górnicy przyklękli i modlili się, dostrzegając w nich dowód na to, co dotąd tylko podejrzewali: że umarli i zdążają ku zbawieniu, leżącym w jakimś świecie pomiędzy niebem a piekłem. Światła tańczyły im przed oczyma, oszałamiając, więc gdy już nadszedł ranek, nie mieli ochoty opuszczać Paliszyzji, mimo iż Moissac ich błagał, oznajmiając dotykiem, że coś jest nie tak.

Beaton odpowiedział, że nic złego się nie dzieje i że będą musieli pozostać jeszcze jedną noc, by patrzeć na światła. Przez cały dzień znów zwiedzali tunele, szukając ludzkich śladów. Pod wieczór wujek burmistrza Bataldo, Joseph, znalazł coś w jednym z przejść. Była to mała złota moneta z wizerunkiem zwiniętego węża po jednej stronie i kwiatem po drugiej. Pokazawszy ją pozostałym, włożył do kieszeni i usiadł, by wraz z nimi spożyć solone mięso karibu i korzeń rzepy.

Gdy to czytałem, głowa kiwała mi się coraz bardziej i chyba w końcu sen mnie zmorzył, bo dokładnie w tym punkcie tekstu słowa nagle zeskoczyły z kartki i zmieniły się w węzowatą mackę potwora morskiego, która pociągnęła mnie w dół, pod powierzchnię papieru i atramentu. Przez jakąś minutę spazmatycznie walczyłem o oddech, a potem nagle - we własnej osobie - wyłoniłem się wśród skulonych górników śpiących na ulicy Paliszyzji. Nawet Moissac, który miał trzymać straż, spał snem sprawiedliwych. Pochyliłem się i kontemplowałem twarz młodego Beatona.

- Cley - odezwał się jakiś głos o kilka stóp w dół ulicy. Na zakręcie, za którym znikają muszle bruku, stała kobieta. Całą twarz przysłaniała jej woalka.

- Arla? - wyszeptalem.

Pokazała mi gestem, bym podszedł. Ostrożnie oddaliłem się od górników. Gdy się zbliżyłem, wyciągnęła ku mnie ręce, a ja odruchowo wziąłem ją w ramiona. Całowaliśmy się przez woalkę, aż upadliśmy na pochyłą ścianę kopca. Arla oddychała ciężko, gdy moja ręka wędrowała w górę pod jej spódnicą, wzdłuż uda, w stronę raję.

W następnej chwili staliśmy przed śpiącymi górnikami i Arla wskazywała mi Josepha.

- On ma moją monetę - rzekła.

- Jaką monetę? - zapytałem.

- Tę, która uruchamia moje dziecko - odparła. - Mistrz zabrał mego syna i zautomatyzował go. Dano mi cztery monety, które mogę wrzucać do szczeliny na jego plecach. Gdy wpadną, ożywa na godzinę. Szybko się porusza i czasem słyszę brzęczenie mechanizmów, ale kocham go. Przez swoją głupotę zmarnowałam już trzy monety, a ten człowiek wziął sobie ostatnią. Więcej takich nie ma: Mistrz odlał je własnoręcznie.

Próbowałem szturchnąć Josepha czubkiem buta, ten jednak przeszedł przez niego na wylot.

- Chyba nie możemy nic zrobić - powiedziałem.

- Jutro będziemy mogli - odparła. - Sprowadzę czerwone światła na kolejny świt, a następnej nocy go załatwimy.

- Jak to „załatwimy”? - spytałem.

Ujęła moją dłoń i przytknęła do swojej piersi. W chwilę później była już następna noc i Arla relacjonowała mi swój plan. Ja miałem grać na małym flecie, który mi dała, i zbudzić Josepha, a następnie zwabić go na róg, za którym zaczynała się alejka. Arla miała tam czekać.

- Nie umiem grać - powiedziałem.

- Po prostu dmuchaj mocno - poradziła mi. Dmuchałem, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku. Mimo to Joseph obudził się, wstał, podrapał się po brzuchu i ruszył ku mnie. Byłem zdumiony, lecz począłem się cofać w dół ulicy do wylotu alejki. W połowie drogi zauważyłem, że Moissac siada ze skrzyżowanymi nogami. Przyglądał się bacznie, lecz nie zrobił nic, by mnie powstrzymać.

Arla stała nieco niżej, pomiędzy budowlami. Gdy sprowadziłem Josepha na róg, zrobiła krok do przodu.

- Moneta - powiedziała, wyciągając rękę.

Ku memu zdumieniu górnik obrócił się i spojrział na nią. Był bardzo podobny do swego bratanka, tyle że ciężka wędrownica znacznie go odchudziła.

- Nie mam jej - powiedział, składając dłonie jak do modlitwy.

- Gdzie jest? - zapytała Arla. Jej woalka szeleściła lekko przy każdym słowie.

- Zgubiłem - rzekł Joseph. - Tyle razy wyjmowałem ją z kieszeni w tunelach, by się przyjrzeć, że w końcu musiałem ją upuścić.

Arla stała jak posąg. Z oddali dobiegał mnie szum morskich fal. Potem kobieta podniosła rękę i chwyciła za spód woalki. Gdy ją unosiła, zamknąłem oczy i odwróciłem się.

Joseph wydał z siebie jakiś dźwięk - niekontrolowany wydech, jakby coś wysysało z niego powietrze. Gdy w końcu otworzyłem oczy, woalka spadała, a górnik leżał martwy u moich stóp. W jego ciele było tyle dziur, ile otworów widniało w kopcach Paliszyzji. Arla znikła, jakby wtopiła się w szum fal.

Jakimś cudem moja zjawa wciąż tam była, gdy następnego ranka Beaton i reszta odkryli zniknięcie Josepha. Udali się na poszukiwanie. Moissac znalazł go niemal natychmiast i zawołał pozostałych. Jakikolwiek czar rzuciły na wędrowców czerwone światła, na widok ran towarzysza natychmiast oprzytomnieli.

- Uciekajmy - rzekł Moissac, głaszcząc Beatona po lewym policzku.

- Uciekać! - wrzasnął Beaton i wszyscy pobiegli. Gdy przebiegali przez bramę Paliszyzji, czuli, że coś ich ściga. Wracali przez las, niczym jelenie przeskakując nad złamanymi gałęziami i rozgrzebując ściółkę. Dopiero po przejściu przez zamarznąłą rzekę poczuli, że niewidoczna groza odwróciła od nich wzrok. Legli na drugim brzegu, z trudem łapiąc oddech, gdy zamarznąta woda przez cały czas trzaskała i pękała na moich plecach, a poruszający się lód jęczał: „Cley, ty nędzny muszy bobku, czas ruszać do kopalni!”.

18.

Lampa gazowa włączyła się nagle, zdmuchując mrok, a ja podniosłem się ociężale wśród powodzi inwektyw. Kapral walił mnie kijem w ślepej furii. Gdy rozbierałem się do bielizny, krwawiąc z rąk i pleców, usłyszałem jego głos:

- A to co za brednie?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że podnosi z łóżka rękopis *Fragmentów*, który musiałem upuścić, gdy zasypiałem.

- Tego już za wiele - rzekł. - Przez tydzień będziesz wydobywał dwa razy tyle, ile wskażą kości, ty nędzny psi zadku.

- Drachton Nadolny pozwolił mi zabrać te zapiski na Doralicję - odparłem.

Kapral zamachnął się kijem i uderzył mnie mocno w bok szyi. Zachwiałem się i osunąłem na jedno kolano. Trafił w płatek ucha, wywołując okropny ból.

- Myślisz, że to mnie powstrzyma przed spaleniem tego w moim kominku dziś w nocy? - zaszydził. - Nawet nie mam ochoty tego dotykać. W twojej głowie nie powinno być miejsca na te idiotyzmy. Kopalnia to umysł. Nie chcę, żebyś mi go zaśmiecał błahostkami - powiedział i ciął mnie kijem przez plecy.

Podniosłem się tak błyskawicznie, że nie zdążył zareagować. Moja pięść, napędzana wyobrażeniem spalonych na popiół *Fragmentów*, weszła głęboko w jego miękki brzuch. Gdy jęknął, poczułem od niego woń płątka róży. Nim się wyprostował, drugą ręką uderzyłem mocno w bok głowy. Z ust trysnęła mu krew. Przez chwilę się chwiał, po czym począł się osuwać na ziemię. Złapałem go za włosy, a wtedy cała zmierzwiona szopa zsunęła mu się z czaszki i czapka

wylądowała na podłodze obok właściciela. Dwa kopniaki w głowę dokończyły dzieła. Na koniec zarzuciłem mu na twarz czarną perukę.

Szybko ubrałem się, po czym odwróciłem kaprala, by zabrać mu rękopis. Zwinąłem go w rolkę i związałem kawałkiem sznurka, którym był owinięty podczas podróży. Zamiast wziąć szablę mego oprawcy, sięgnąłem po kij z małpią główką. Zaciskając na niej pięść, poczułem nagle przypływ siły. Miałem ochotę roznieść w strzepy leżącego nieruchomo Mattersa i musiałem zacisnąć zęby, żeby pokonać chęć zemsty. W końcu wybiegłem pędem z pokoju, zbiegłem ze schodów i uciekłem z gospody.

Usiłowałem dotrzeć na plażę, kierując się szumem fal, ale zagubiłem się w widmowym labiryncie. Bieg po piasku coraz bardziej mnie męczył i zacząłem się obawiać, że kapral może się ocknąć i dopaść mnie. Przystanąłem, by się namyślić i dokładniej wsłuchać w szum morza, a wtedy na szczyt wydmy wyskoczył Silencio.

- Uciekam stąd - powiedziałem mu.

Staął przede mną, klasnął w dłonie i zrobił fikołka w tył.

- Zaprowadź mnie na brzeg - powiedziałem. - Jeśli ma się udać, muszę iść w górę wyspy.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy. Wystarczyły dwa szybko pokonane zakręty i już staliśmy przed rozległą plażą, prowadzącą do linii brzegowej. Niebo zaczynało jaśnieć i dostrzegłem stada białych, długonogich ptaków, latających w tę i w tę wzdłuż skraju wody.

Uszedłem już spory odcinek plażą, gdy usłyszałem cichy okrzyk. Obróciłem się i zobaczyłem, że Silencio macha do mnie. Zza horyzontu wyłaniało się jaskrawoczerwone słońce, a mój umysł upajał się wolnością. Miałem nadzieję, że w świetle dnia potrafię jaśniej myśleć o swoim położeniu. Jednym pochopnym czynem spaliłem za sobą mosty. Teraz, gdy poczułem z ust kaprala zapach płatka róży i ściągnąłem mu perukę, byłem już przekonany, że obaj Mattersowie są jednym i tym samym zwariowanym osobnikiem. A więc nie tylko go pobiłem, lecz także zdemaskowałem. Byłem pewien, że karą za to może być jedynie śmierć.

Szedłem w coraz jaśniejszym świetle dnia, obserwując płetwy rekinów krążących o ćwierć mili od brzegu i rozmyślając w pierwszej kolejności o tym, jak przeżyć, a następnie, jak się stąd wydostać. „Jeśli tylko na drugim końcu wyspy będą drzewa - myślałem - może zdołam sklecić tratwę i popłynąć na stały ląd”. Musiałem wrócić do Dobrze Skonstruowanego Miasta, by uratować Arłę i naprawić wszystko. Wiedziałem, że cierpienie niczego nie zmieni. Jedynie działaniem mogłem wymazać swoją winę.

Słońce pięło się w niebo, stając się mniej czerwone i coraz jaśniejsze. Jego ciepło wnikało w moje kości i wymazywało spod oczu wieczne cienie. Niebo nad głową było idealnie czyste i nieskończenie błękitne. Od czasu do czasu musiałem się obracać, by zlustrować spojrzeniem ocean i wydmy. Choć byłem pijany pięknem Doralicji, pamiętałem, że muszę iść skrajem wody, by fale szybko zmyły ślady moich stóp.

Około południa opuściłem plażę i udałem się na wydmy, by znaleźć miejsce na odpoczynek. Słone powietrze działało na mnie jak narkotyk. Z trudem utrzymywałem się na nogach. Na szczycie najwyższej z wydm znalazłem niewielki, porośnięty wodorostami płaskowyż z piaszczystym dołkiem pośrodku. Ułożyłem się tam i zamknąłem oczy, poddając się losowi.

Minęły godziny, nim się przebudziłem. Słońce nadal stało wysoko na niebie, a dzień nie stracił nic ze swego uroku. Wiatr nieco się wzmógł i kiedy podszedłem na skraj wydmy, dostrzegłem na oceanie bałwany. Obróciłem się w stronę plaży, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, ale była całkiem pusta.

Odwiązałem sznurek zabezpieczający *Fragmentsy* i trzymałem je mocno w obawie przed wiatrem. Odchyliłem się na swoim ciepłym piaszczystym tronie i przekartkowałem opowieść, szukając miejsca, w którym przerwałem lekturę. Matters strasznie zmiął notatki; szybko jednak znalazłem opis dryfu dwóch górników i listkowca na krze po częściowo zamarzniętej rzece.

Oslabiony z powodu przenikliwego zimna Moissac leżał na lodzie, owinięty czarnym płaszczem, stękając i powoli kolebiąc się z boku na bok. Wszystkie jego liście zbrązowiały i zaśmiecały powierzchnię pływającej lodowej wysepki. Twarz stała się nagą korą, a ogień w oczach oddalił się jeszcze bardziej.

Beaton przykląkł przy nim. Z tyłu stał Ives, najmłodszy z pierwotnych uczestników wyprawy. Trzymał w ręku wycelowaną, gotową do strzału strzelbę, czekając na demony, których wcale nie było. Wiatr wiał potężnie. Woda miała kolor żelaza, a niebo było matowe.

- Kiedy umrę, musicie wybić dziurę w mojej piersi. Znajdziecie tam duże, brązowe ziarno z kolcami. Zabierzcie je ze sobą i zasadźcie na wiosnę - rzekł Moissac.

Beaton pragnął tylko, by ostra dłoń listkowca puściła jego własną.

- Zrobię to - obiecał.

- Byłem w raju - mówił dalej Moissac.

- Powiedz mi, co tam znajdę - poprosił Beaton.

- Nigdy tam nie trafisz: to raj roślin. Ludzie mają osobny.
- I jak tam jest? - zapytał Beaton.

Moissac zaczął się dziko miotać w przód i w tył, po czym jego korzenie dostały drgawek, które niczym wiatr przebiegły przez nogi i pierś, by w końcu zgasić światło umysłu. Z zakrytych strzechą oczodołów uniosły się niewielkie smużki dymu, lecz mimo to zdołał powiedzieć: „Właśnie tak”. Jego słowa wibrowały w nadgarstku Beatona jak echo.

Górnik wyjął nóż i zaczął odcinać gałęzie tworzące rękę listkowca. Palce wciąż ścisnęły go mocno, niczym finezyjnie spleciona drewniana bransoleta. Trochę potrwało, nim zdołał roztraskać ją w drzazgi, nie kalecząc się. Gdy już był wolny, zatopił ostrze w piersi listkowca. Gałązki trzaskały i odskakiwały, nim w końcu wyciął otwór, uniósł pokrywę i znalazł wewnątrz obiecane ziarenko.

Tej nocy temperatura spadła tak bardzo, że Ives nie potrafił już utrzymać strzelby w rękach. Kra zatrzymała się i Beaton zrozumiał, że rzeka całkowicie zamarza. Wiedział, że mają tylko jedną szansę: przejść po lodzie, nim wszędzie słońce.

- Będziemy musieli pobiec - rzekł do Ivesa.
- A demony? - zapytał młodzieniec.
- Nie ma żadnych demonów.

Zwinąłem kartki w rulon i ponownie związałem. Gdy ruszyłem w dalszą drogę, wydeptując ścieżkę wśród wydm, było już późne popołudnie. Wymachiwałem kijem w lewej ręce, pomagając sobie w ten sposób utrzymać tempo na sypkim piasku. Po raz pierwszy mój strach przed tym, że Matters mnie wytropi, nieco zelżał. Pomyślałem, że jeśli będę ostrożny, łatwo zdołam tego uniknąć. Lanie, które mu sprawiłem, przypominało moje brutalne wystąpienia z czasów, gdy byłem Fizjonomistą Klasy Pierwszej. Wyglądało na to, że odzyskałem dawne nikczemne umiejętności. Byłem przekonany, że przewyższam go w walce wręcz.

Wydmy ciągnęły się w nieskończoność. Gdy zapadła noc, po prostu wspiałem się na wierzchołek jednej z najwyższych i ległem wśród wodorostów. Gwiazdy były olśniewające, tak czyste, że dokładnie widziałem niebo wokół nich. Przytknąłem do piersi małą główkę, zastanawiając się, co się wydarzyło w kopalni tego dnia, kto w końcu zmienił się w sól i jak mogło to wpłynąć na umysł Mattersa.

Wszystko to było bardzo zabawne, dopóki nie usłyszałem pierwszego wycia. Po piątym byłem już pewien, że psy podchodzą coraz bliżej, ze wszystkich stron, jakby chciały mnie osaczyć. Ścisnąłem notatki pod pachą i obronnym gestem uniosłem laskę. Szybko jednak pojąłem absurdalność tego nastawienia. Musiałem zejść z wydmy - inaczej nie miałem szans.

Ześliznąłem się po zboczu i miękko wylądowałem na piasku w dole. Gdy tylko się pozbierałem, natychmiast ruszyłem biegiem. Doliny między wydmami odbijały echo szczekania dzikich psów, a ja nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam. Potrafiłem myśleć tylko o ataku demonów, który przeżyłem z Bataldo i Calloo, a odgłosy nadciągających bestii napełniały mnie śmiertelną trwogą. Biorąc kolejne zakręty w piaszczystym labiryncie, spodziewałem się, że któraś z nich wyskoczy nagle z zielska wprost na mnie. Mięśnie nóg rwały i niemal całkiem straciłem dech, ale biegłem, dopóki nie potknąłem się i nie runąłem twarzą w piach. Nic nie widziałem, ale słyszałem chór niskich psich głosów, coraz bliższy i bliższy.

Wstałem i zakręciłem wokół siebie kijem, by je odpędzić, one jednak zaczęły jedynie warczeć i poszczekiwać. Oczyszczywszy twarz z piachu, ujrzałem chyba ze sto par żółtych oczu połyskujących w ciemnościach. Górne siekacze tych stworzeń wyglądały jak zakrzywione ku dołowi kły, a czubki uszu były ostre jak igiełki. Nagle psy skoczyły naprzód. Krzyknąłem i zamachnąłem się kijem, a one odskoczyły. Musiałem obracać się bez końca w kręgu i usiłować zastraszyć wzrokiem wszystkie bestie naraz.

Szybko sobie uświadomiłem, że są gotowe spokojnie czekać, dopóki nie zmięknę ze strachu. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko się podporządkować. Co gorsza, kilka zaczęło biegać w kółko wokół zewnętrznej granicy kręgu, zawsze w odwrotnym kierunku niż ten, w którym ja się obracałem. Próby nadążania za nimi wzrokiem wywołały u mnie ból głowy. Słyszałem ciężki oddech psów, brzmiący jak jakiś kuriozalny, wyglodniały śmiech.

Kręciłem się tak godzinami, to w prawo, to w lewo, aż w pewnej chwili wydało mi się, że dostrzegam przechadzającą się między psami Arłę. Mrugnąłem. Arla znikła, lecz wkrótce potem zobaczyłem młodego Ivesa, spadającego w głąb lodu.

Wiedziałem, że stado czuje, iż coś się ze mną dzieje, bo nagle zapadła w nim cisza. Usiłując zachować zdrowe zmysły, rozniosłem na strzepy widmo burmistrza, który wyskoczył z ciemności z wyciągniętą przed siebie ręką i idealnie okrągłą czarną dziurą pośrodku czoła.

Skoczył mi na plecy i powalił na ziemię. Czulem, jak kłapie zębami wokół mego ucha, szukając gardła. Oslaniając twarz ręką, przeturlałem się i dźgnąłem go czubkiem kija tak mocno,

że usłyszałem trzask łamanych żeber. Stęknął i odskoczył, ale natychmiast skoczył ku mnie kolejny. Słyszałem, jak biegnie, jeszcze zanim zdążyłem się obrócić i spojrzeć. W ostatniej chwili zamachnąłem się kijem jak maczugą. Kościana małpa uderzyła psa w oko, a mój but trafił go w szczękę.

Doznałem sporej liczby ugryzień i skaleczeń, zdołałem też zranić dużą liczbę psów, aż w końcu, na krótko przed świtem, z pobliskiej wydmy dobiegł strzał i zwierzęta rozbiegły się. W pierwszej chwili nie widziałem, czy to kolejne złudzenie, czy też naprawdę widzę idących w moją stronę Mattersa i Silencio. Kapral nie miał peruki, a przez krótko przystrzyżone włosy prześwitywał półkolisty szew. W obu rękach Matters trzymał pistolety i oba mierzyły w moje serce. Silencio szedł zaraz za nim, niosąc linę.

- Masz furę siarki do wydobycia, Cley - obwieścił kapral, po czym zwrócił się do Silencio: - Zwiąż go.

Zdradziecka małpa związała mi ręce na plecach, a potem trzykrotnie owinęła mi sznur wokół szyi, pozostawiając z przodu długą smycz, za którą mieli mnie prowadzić. Gdy skończyła, zaklaskała i fiknęła koziółka w tył. Matters kazał jej przynieść powalany psią krwią kij. Silencio pociągnął mnie za szyję i zaniósł kij kapralowi. Gdy ten zobaczył, w jakim stanie jest jego zabawka, omal się nie rozplakał.

- Niczego bardziej w tej chwili nie pragnę niż cię sprać, Cley, ale oszczędzam cię na coś lepszego - rzekł, powstrzymując oczywistą furię. Szedł za mną, przyciskając jeden z pistoletów do boku mojej głowy. Silencio prowadził, trzymając zarzucony na ramię koniec smyczy.

- Małpa wytropiła cię za skrzynkę trójpalcówki - rzekł Matters. - Gdy cię zabraknie, będzie jej potrzebowała, by się pocieszyć.

19.

- Co to była za lipa z tymi perukami i strażą dzienną i nocną? - zapytałem.

Nie miałem nic do stracenia. Brnęliśmy wzdłuż brzegu w stronę labiryntu wydm kryjącego wejście do kopalni. Silencio wskazał morze. Na moment mignęła mi przed oczyma macka krakena, którą niemal natychmiast przykryły fale.

- Ja ci dam lipę - mruknął Matters, dźgając mnie pod uchem lufą pistoletu.

- Mistrz grzebał ci w głowie, co? - zapytałem.

- Jeśli nazywasz grzebaniem zamontowanie funta mosiężnej maszyny - rzekł. - A co, w twojej nie grzebał?

- Tego nie mogę powiedzieć - odkrzyknąłem przez ramię.

- Mój brat ma ten sam zestaw, śrubki i tak dalej, ale jego mechanizm chodzi w odwrotnym kierunku do mojego - rzekł.

- Jaki brat? - zapytałem. Świsnął mnie kijem przez plecy.

- Myślisz, że jesteś taki cwany, Cley? Mój umysł pożre cię żywcem. - Po tych słowach uderzył mnie jeszcze dwa razy.

Silencio poprowadził nas przez labirynt jakąś cudowną drogą, dzięki której znaleźliśmy się u wylotu kopalni w ciągu niespełna godziny.

- No, Cley - rzekł Matters, stając za moimi plecami. - Ostatnio śniły mi się demony i lód, ale nie mam zamiaru dziś do tego wracać. Nim zajdzie słońce, usmażysz się na śmierć. W sensie dosłownym.

Chciałem błagać o życie, lecz nim słowa znalazły drogę do moich ust, kolba pistoletu kaprala roztrzaskała mi tył czaszki i poczułem, że wszystko stracone. Skuliłem się gdzieś głęboko i z ciemności obserwowałem, jak ktoś ciągnie moje ciało. Potem otoczył mnie nieznośny żar kopalni.

Zbudziłem się z krzykiem i odkryłem, że ręce i nogi przywiązano mi mocno do metalowych klamer, wtopionych głęboko w siarękę kopalnianej ścieżki. Leżałem przed swoim nieszczęsnym tunelem głową w dół, przez mgłę widząc nad sobą górną krawędź szybu. W połowie spiralnej ścieżki, po drugiej stronie przepaści, mignęła mi figurka kaprala wielkości lalki. Szedł w górę, lecz zatrzymał się, przyłożył do ust zwinięte dłonie i zawołał coś. Myślałem, że krzyknie: „Kopalnia to umysł”, ale nie - to coś miało więcej sylab, lecz dotarło do mnie jedynie w postaci gorączkowego chrząkania, które kapral kontynuował, póki nie dotarł na szczyt szybu i nie zniknął mi z oczu.

Bez możliwości ruchu czułem się, jakbym leżał w piecu. Moje ciało szybko się nagrzewało i wkrótce skóra poczęła lekko skwierczeć na gorącym kamieniu. Kałuże potu bulgotały i parowały. Język i gardło doznały poparzeń.

Próbowałem coś wymyślić, ale ośwładnęło mną znużenie. Wkrótce osiągnąłem stan, w którym nie czułem już ani bólu, ani niczego innego. Kopalnia otulała mnie swoim ciepłem, lecz próbowałem zachować przytomność, czytając napisy nad tunelami po przeciwległej stronie szybu. Zlokalizowałem Barlowa i powędrowałem dalej.

I wtedy coś usłyszałem. Jakby jakiś odległy głos. Rozejrzałem się wokół, a potem spojrzałem prosto w górę. To był Silencio, tańczący na skraju szybu. Krzyczał i wymachiwał, jakby chciał mi coś powiedzieć. „Ta przeklęta małpa jest bardziej szalona niż Matters” - pomyślałem, nie mogąc powstrzymać śmiechu, który unosił się w wielkich oparach trującej mgły.

Patrzyłem z oddali, jak miniaturowa małpka podpełza do samego brzegu przepaści. Nagle zrobił ruch, jakby rzucał coś w głąb. Uchwyciłem spojrzeniem przelatujący przedmiot - coś na kształt białej kłody. Gdy uderzył w nią prąd wstępujący, zmieniła się w setkę oddzielnych białych ptaków, które poczęły krążyć, łopocząc skrzydłami.

Nie wiem, jak długo patrzyłem w zachwycie na filigranowe stadko, unoszące się i opadające na siarkowym wietrze. Jeden z ptaków sfrunął w dół i przeleciał nad moją twarzą, nim znów porwał go podmuch. Wtedy zobaczyłem, że tym, co wyrzucił Silencio, były *Fragmenty*. Po raz

ostatni dostrzegłem pochyloną, spoglądającą na mnie małpę; potem Silencio potarł ręce, jakby chciał powiedzieć: „To nie ja”, obrócił się i zniknął mi z oczu.

Gdy odfrunęły także moje ptaki, powrócił ból, który natychmiast stał się nieznośny. Z trudem oddychałem i mogłem otwierać oczy jedynie na krótkie chwile. Włosy na moich rękach i plecach zaczęły się przypalać. By uniknąć cierpienia, odpłynąłem w głąb swego umysłu, rozpaczliwie poszukując raj, i oczyma wyobraźni szybko odnalazłem Beatona.

Szedł samotnie wzdłuż koryta wyschniętej rzeki wijącego się wśród wierzbowego lasu. Po tym, jak Moissac i Ives zginęli w śnieżnej krainie, stracił nadzieję na to, że kiedykolwiek dotrze do raj, lub wróci do domu. Miał przy sobie strzelbę, tę samą, którą jego młody towarzysz wciąż w coś wymierzał, lecz ani razu nie odważył się z niej strzelić. Miała mu pomóc przetrwać kilka kolejnych tygodni błądzenia.

Przygody i cuda otumaniały Harada Beatona. Nie było już nic, co mogłoby go zaskoczyć. Rzeczy, których był świadkiem w Zarubieżach, wzbudziły w nim żarliwą wiarę. Wierzył w niewidzialną energię łączącą drzewa, rośliny i zwierzęta tej dzicy. Teraz, wędrując samotnie, od czasu do czasu słyszał jej cichy poszum, unoszący się na wietrze i szemrzący wśród gałęzi. Wiedział, że ta potężna siła otacza go ze wszystkich stron, ale co mu przyszło z tej wiedzy? Był autsajderem, zarazkiem, który należało zabić.

Tego popołudnia siedział na pniu obok wyschniętego koryta i jadł mięso zabitego dwa dni wcześniej jelenia. Popił wody z bukłaka i ocenił, że znów musi zapolować. Gdy skończył posiłek, zostawił swoje koce, zapasy, hełm i kilof obok pnia, zabierając tylko strzelbę.

Wszedł w wierzbinę, rozgarniając długie witki. W chłodnym cieniu listowia słychać było małe zwierzęta i ptaki. Beaton chciał upolować królika, choć wiedział, że te z Zarubieży mają różowe, mięsiste pyski świń. Ich smak też był niezwykle: przypominał ziemię i ptaki. Mężczyzna nie był przekonany, czyje lubi, ale zawsze się cieszył, gdy mógł obedrzeć jednego ze skóry i upiec na rożnie.

Wkrótce dostrzegł bazanta, dziobiącego w pobliżu pnia wierzby stojącej o jakichś dwadzieścia jardów od niego. Uniósł strzelbę i wycelował. Wiedział, że trafić będzie trudno, bo dzieliły ich warstwy gałęzi. Długo celował, próbując przewidzieć powiew wiatru i zlokalizować serce ptaka.

Nagle ktoś łagodnie położył mu dłoń na ramieniu.

- Szukasz Wenau? - zapytał jakiś głos.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył Podróżnika - żywego; takiego, jakiego widziałem w Anamasobii. Cofnął się o trzy kroki i obrócił lufę ku niemu.

- Nic ci nie zrobię - rzekł Podróżnik, unosząc jedną z pokrytych pajęczyną dłoni.

- Umiesz mówić? - wykrztusił Beaton.

- Słyszałem, jak przemierzasz Zarubieże. Widziałem w lustrze wody, jak giną twoi towarzysze. Nocą, we śnie, płaczesz jak dziecko i żadne ze stworzeń Zarubieży nie może się do ciebie zbliżyć - powiedział Podróżnik.

- Ale... skąd ty znasz nasz język? - pytał dalej górnik, na wszelki wypadek nadal celując w przybysza.

- Miałem go w sobie; odnalazłem go po podsłuchaniu przez muszlę waszych rozmów - odparł Podróżnik.

Beaton wzruszył ramionami.

- Nie mam powodu, by ci nie wierzyć - rzekł i opuścił strzelbę.

Podróżnik postąpił naprzód i podał mu kawałek drewna z wytrawionym czarnym obrazkiem. Był to portret młodej, długowłosej dziewczyny. Wówczas jeszcze Beaton nie miał o tym pojęcia, ale ja, spojrzawszy mu przez ramię, zobaczyłem, że portret przedstawia Arłę.

Spotkany osobnik miał w sobie coś osobliwego - coś, co sprawiło, że górnik od razu go polubił. Miało to jakiś związek ze spokojem, jaki z niego emanował; z jego uśmiechem i oczyma. Beaton sięgnął do kieszeni, szukając prezentu na wymianę. Najpierw trafił na nasionko, lecz gdy ukłuł go kolec, przypomniał sobie złożoną Moissacowi obietnicę, że własnoręcznie je zasadzi. Potem znalazł monetę, którą Bataldo upuścił w tunelach Paliszyzji. Wkładając ją w wielką brązową dłoń, zadawał sobie pytanie, dlaczego nie zwrócił monety Josephowi.

- Kwiat i wąż - zauważył Podróżnik.

- Byłeś w Paliszyzji? - zapytał Beaton.

- Zbudowali ją ludzie, którzy przybyli z morza - rzekł Podróżnik. - Cztili ten kwiat, żółte kwiecie pewnego drzewa, które płacze, gdy się je skaleczy. On symbolizował możliwość. Zwinięty wąż oznaczał wieczność. Paliszyzja została opuszczona, nim jeszcze zaczęły rosnać lasy Zarubieży.

- Czym jest Wenau? - zapytał górnik. - Czy to Ziemski Raj?

Podróżnik skinął głową.

- Czy istnieje tam śmierć?

- Nie ma śmierci - odparł przybysz. - Zabiorę cię.

Włożył monetę do mieszka, który miał zawieszony na skórzanym pasku u pasa. Potem sięgnął do dużej pestki, którą nosił na łańcuszku jak wisiołek, a wtedy ta w cudowny sposób otworzyła się na mikroskopijnych zawiasach, które w niej wyłobiono. Ze środka Podróżnik wyjął dwa czerwone liście, wielokrotnie złożone, by się tam zmieścić. Gdy całkowicie je rozwinął, miały wielkość ludzkiej dłoni i były cienkie jak bibułka.

Zjadł jeden z liści, a drugi wręczył Beatonowi.

- Zjedz - rzekł.

- Co on ze mną zrobi? - zapytał górnik.

- Da ci odwagę - odparł Podróżnik. Potem wyjął zza pasa nóż z dwoma ostrzami i ruszył przodem.

Żując słodki czerwony liść, Beaton poczuł, że zapada w sen na stojąco. Zaczął dostrzegać rzeczy, których nigdy przedtem nie zauważał. Małe, jaskrawe, różnobarwne światełka przebiegały wzdłuż obranej przez wędrowców ścieżki, przeszywając ich na wskroś. Z końcówek włosów i czubków palców Podróżnika strzelały iskierki. Fantomowe stworzenia wystawiały głowy zza krzaków i patrzyły na przechodzących. Ukryłem się za drzewem w obawie, że mogliby mnie teraz zobaczyć.

- Znaleźliśmy takiego jak ty we wnętrzu Gronusa - rzekł Beaton, lecz Podróżnik gestem nakazał mu milczenie.

W chwilę później górnik patrzył, jak jego towarzysz walczy na śmierć i życie z białym widmem węża. Raz za razem Podróżnik zagłębiał dwuostrzowy nóż w łuskach stwora. Biała krew tryskała z ran, ale wąż i tak coraz mocniej zaciskał chwyt. To wszystko stało się tak nagle, że wprawiło Beatona w oszołomienie. Był gotów uwierzyć, że Podróżnik walczy z tym wężem od zawsze.

W końcu górnik otrząsnął się i uniósł strzelbę. Wystrzelił raz. Kula przeszła szczękę i mózg gada. Wtedy wąż zniknął, ulatniając się niczym umykające wspomnienie, i wędrowcy spokojnie szli dalej. Podróżnik uśmiechał się. Odwiesił nóż i zapalił długi, wydrążony patyk. Skąd wziął ogień, pozostawało dla Beatona zagadką. Podróżnik podał mu patyk i górnik zaciągnął się.

Tego dnia przekraczali strumienie i rzeki, przemierzali rozległe, nagie pola śniegu i lodu, wspinali się na góry, szli wzdłuż brzegu kolejnego śródlądowego morza. O zachodzie słońca dotarli do wioski położonej na leśnej polanie, wciśniętej między dwie rzeki niczym wyspa.

- Wenau - oznajmił Podróżnik.

Ludzie wysypali się z chałup i biegli po glinianym moście, by ich przywitać. Były tam dzieci, kobiety i starcy, a wszyscy zbudowani tak samo jak Podróżnik. Zaprowadzono Beatoną do centrum wioski i podano mu kolację złożoną z owoców i gotowanego ziarna. Opowiadano historie, niekiedy w obcym języku, dopóki wszyscy mieszkańcy nie odnaleźli w sobie języka swego gościa.

Powiedziano mu, że jest mile widziany w wiosce, i udzielono pomocy przy budowie altanki. Wkrótce znalazł już wszystkie dzieci, mężczyzn, kobiety. W ciągu kolejnych dni podróżował po całej wyspie, zbierając próbki wszelkich osobliwych roślin i kwiatów, jakie napotykał na swojej drodze, a były ich tysiące. W Wenau zawsze unosił się piękny zapach wiosny, a wszystkie dni były pogodne, ciepłe i ciche. Pewnej nocy, spacerując samotnie tuż za krańcem wsi, Beaton zasadził ziarno Moissaca w niewielkim skupisku kwitnących fioletowych drzew.

Liczył spędzony w Wenau czas wzrostem drzewa, które wyrosło z kolczastego nasienia. Szybko pięło się w górę i po kilku tygodniach dorównywało wzrostem Podróżnikowi. Pewnego dnia górnik przyprowadził tamtego, by mu pokazać, jak rośnie potomek Moissaca. Drzewo tymczasem zdążyło wypuścić na swej jedynej gałęzi biały owoc, taki sam jak ten, który swego czasu spoczywał na ołtarzu w Anamasobii.

- To rajski owoc - rzekł Beaton do swego kompana.

- Skąd wzięłeś to ziarno? - zapytał Podróżnik

Beaton opowiedział mu o listkowcu. Podróżnik pokręcił głową.

- Ale w tym owocu jest nieśmiertelność - rzekł górnik.

- Chodź ze mną - polecił mu towarzysz.

Beaton wrócił z nim do wsi. Weszli do jednej z chat. Na podłodze głównej izby leżała stara, wychudzona, z trudem chwyająca oddech kobieta. Dwie młodsze siedziały obok i trzymały ją za kościste dłonie o popękanej, kruchej pajęczynie.

- Ależ ona umiera! - rzekł Beaton.

- Nie - odparł Podróżnik - zmienia się. Biały owoc, który wyrasta z nasienia twego przyjaciela, anuluje zmiany.

- Ale fizycznie ta kobieta umiera - upierał się górnik.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział Podróżnik. - Początkowo nie byłem pewien. Śmierć to skomplikowane pojęcie. Jeśli chcesz dotrzeć do krainy, w której nie ma śmierci, musisz ruszyć prosto na północ i iść przez dwanaście sezonów. Pokażę ci drogę, ale nie pójdę z tobą.

- A więc nie jestem w raju? - zapytał Beaton.

- A czymże jest raj? - odparł Podróżnik. - Ten biały owoc to niezmienny sen. To właśnie jest to, co nazywasz śmiercią. Teraz muszę go zabrać z powrotem do świata takich jak ty. Tu nie możemy go zatrzymać.

- Chcesz powiedzieć, że pójdziesz ze mną z powrotem do Anamasobii? - zdumiał się Beaton.

- Nie. Pewnego dnia twoi ludzie znajdą mnie w szczelnie zamkniętej komorze we wnętrzu góry, trzymającego białego owocu.

- Ale to już się stało - zaprotestował Beaton.

- Jeśli znasz właściwe ścieżki w Zarubieżach, możesz się cofnąć w czasie albo trafić w przyszłość. Pokażę ci taką, która pozwoli ci wrócić do twego miasta w ciągu dwóch dni. A teraz muszę się pospieszyć, by dotrzeć do góry, nim powolne nawarstwianie się błękitnego minerału zamknie komorę, co stanie się trzy tysiące lat temu. Będę tam czekał, aż spotkamy się ponownie.

Gdy znów znaleźli się w Zarubieżach, straciłem ich z oczu, choć usiłowałem trzymać się blisko. Byłem wyczerpany, więc położyłem się pod krzakiem, którego gałązki zawijały się i odwijały na wietrze jak macki krakena. Gdy zamknąłem oczy w dzikiej krainie, otworzyłem je gdzie indziej i ujrzałem nad sobą twarz Silencio. Była noc, a ja leżałem na łóżku w swoim pokoju w gospodzie. Każdy cal mego ciała palił potwornie, a małpa właśnie unosiła mi do ust szklanekę płatków róży.

20.

Siedziałem na łóżku z mnóstwem poduszek za plecami. Za oknem świeciło słońce, a do pokoju wpadała oceaniczna bryza. Upiłem łyk herbatki ziołowej z filiżanki. Przez całą noc Silencio leczył mnie swoimi liśćmi, ratując moją skórę przed czymś gorszym niż bąble. Najbardziej niebezpieczną z moich dolegliwości było odwodnienie, które małpa także wyleczyła w ciągu minionych godzin, na przemian podając mi to wodę, to sok z kapusty, to płatek róży.

Kapral Matters z nocnej straży, ze swą ujmującą osobowością i długimi, białymi włosami, stał przede mną z nerwową miną.

- Twierdzi pan, że pański brat uciekł? - zapytałem.

- Tak. Odwiedził mnie wczoraj po południu. Pracowałem w ogrodzie na werandzie z widokiem na morze, kiedy nagle wyskoczył zza donicy z krzewem - rzekł kapral.

- Zaatakował pana? - zapytałem.

- Bynajmniej. Błagał, żebym poszedł do kopalni i cię uwolnił. Powiedział, że ma głowę pełną raju i musi się udać do dzikiej krainy. Chyba w końcu oszalał - stwierdził Matters.

- Mówił, że Mistrz poprzestawiał mu w głowie - zauważyłem.

- Oni wszyscy tak mówią - rzekł kapral, siadając na skraju łóżka.

- Powiedział, że pan także został poddany jakiejś nowatorskiej operacji Nadolnego - dodałem.

- Bzdura, Cley. Wierutne kłamstwa. Dlaczego jesteś gotów uwierzyć wariatowi, który próbował cię zabić?

- Widziałem bliźnę - powiedziałem.

- Ta blizna - rzekł - powstała od ostrza szabli na polach Harakun.

- Podejrzewałem, że pan i pański brat jesteście jednym i tym samym kapralem Mattersem - kontynuowałem.

Roześmiał się.

- Zapomnij o tym durniu. Ruszył w dół wyspy. Wątpię, czy kiedykolwiek wróci. Teraz ja będę rządził przez cały czas. Mój pierwszy edykt: koniec z kopalnią. Drugi: Silencio, przynieś nam butelkę płatka i trzy szklanki.

Piliśmy, ale ja byłem ostrożny. Jak mogłem ufać kapralowi? Sprawiał wrażenie przyjaznego nocnego strażnika, choć był środek dnia, ale wiedziałem, że muszę mieć go na oku. Kim był Silencio - wrogiem, przyjacielem, może nawet inicjatorem mojego oswobodzenia? - trudno było zgadnąć. Wydawał się kierować jakimś osobistym planem, którego nie byłem w stanie rozszyfrować. Tak czy owak, żyłem i właśnie ta dwójka przecięła liny i wywlokła mnie z kopalni. Poddałem się chwili i rozmawiałem z kapralem o ładnej pogodzie.

Dopiero po kilku dniach zdołałem stanąć na nogi. Pod stałą opieką Mattersa i Silencio całkowicie wyzdrowiałem. Gdy tylko mogłem chodzić, zacząłem spędzać poranki na spacerach wzdłuż brzegu, a popołudnia na zwiedzaniu miejsc poleconych przez kaprała. Pewnego dnia on i Silencio poszli ze mną nad lagunę, która wdzierała się w południowy brzeg wyspy. Otaczały ją palmy i kwitnące oleandry. Małpa zeszła na skraj wody i zaczęła tańczyć, wymachując rękoma nad głową i skrzecząc.

- Dobrze się przyjrzyj - rzekł kapral, siedzący obok mnie na kocu w głębi plaży. Gdy to powiedział, zauważyłem, że ptaki, które do tej pory skrzeczały i ćwierkały, nagle umilkły. Silencio także zamarł. Choć stał plecami do nas, czułem, że wpatruje się intensywnie w krystaliczne wody. Na prawo od niego na plażę wyśliznęło się coś, co wziąłem za węgorza, ale gdy wysuwało się coraz dalej i dalej, rosnąc, i zobaczyłem otaczające je półkule, uświadomiłem sobie, że to kraken.

- Silencio, uważaj! - krzyknąłem i zerwałem się na równe nogi, ale małpa ruszyła się jeszcze zanim wielka, oślizła kończyzna sięgnęła ku niej poprzez plażę. Silencio wykonał serię fikołków w tył i znalazł się poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Później, gdy siedzieliśmy, jedząc kanapki z rzodkiewką i popijając trójpalcówkę, zobaczyliśmy, jak kraken wynurza się z wody. Jego bulwiasta głowa, szeroka na trzy baryłki, obserwowała nas jedynym okiem, podczas gdy liczne macki wiły się w wodzie.

Noce spędzaliśmy w barze na ganku. Dzięki nim niemal zapomniałem, że kilka tygodni wcześniej próbowano mnie usmażyć żywcem. Zapasy alkoholu wydawały się niewyczerpane, a Silencio nie przyjmował do wiadomości słowa „nie”, kiedy chodziło o dolewki. Czasami grywaliśmy w karty przy blasku świec. Małpa wciąż wygrywała, ale postanowiliśmy grać wyłącznie na punkty - zapisy na kartce nie odpowiadały żadnym kwotom. Wielokrotnie siedzieliśmy tak do świtu i dopiero potem szliśmy spać.

Pewnego wieczoru położyliśmy się dość wcześnie, a rano kapral odwiedził mnie w pokoju i zaproponował, bym mu towarzyszył w wyprawie do środka wyspy. Powiedział, że musimy zabrać broń na wypadek spotkania z dzikimi psami, lecz dodał, że za dnia rzadko atakują. Zgodziłem się pójść, bo wszystkie miejsca, w jakie dotąd zabierał mnie kapral, okazywały się ciekawe. Poza tym pragnąłem jak najlepiej poznać wyspę.

Kiedy Silencio usłyszał, dokąd się udajemy, odmówił pójścia z nami, co wzbudziło we mnie pewną podejrzliwość. Myśl o kapralu trzymającym broń przypomniła mi, że kwestia tożsamości jego i brata nigdy nie została ostatecznie wyjaśniona. A jednak, odkąd mnie uratował, nigdy nie odniosłem wrażenia, że mógłby być kimś innym niż tylko samym sobą. Można wręcz powiedzieć, że staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Z trudem napominałem siebie, by być ostrożnym.

W drodze do serca Doralicji istotnie natknęliśmy się na dzikiego psa, który skoczył mi do gardła zza wydmy. Kapral powalił go szybkim strzałem z pistoletu. Bardzo blisko miejsca ataku pokazał mi kości olbrzymiego stwora morskiego, który pewnej sztormowej nocy wypełził na brzeg i wyzionął ducha na wydmach. Szliśmy dalej, mijając dolinę z niewielką oazą wśród piasków. Pośrodku niej widniała czysta sadzawka, wokół której rosły drzewa obsypane owocami.

- Czasem przychodzę tu i myślę o swoim bracie - rzekł kapral, zrywając cytrynę ze zwisającej nisko gałęzi.

- I co pan o nim myśli? - spytałem.

- Wiesz, to wszystko zależy od cech matki - powiedział, wgrzyzając się w owoc, którego aromat stanowił połowę aromatu perfum Arli.

Niemal w samo południe wspięliśmy się na szczególnie wysoką wydnię i ujrzeliśmy w dole ogromny mur zbudowany z muszli, za którym widniały duże kopce z otworami, przypominające zamki z piasku rozplływające się pod wpływem fal.

- Paliszyszja - rzekłem do Mattersa. Spojrzał na mnie pytająco.

- To bardzo stare miejsce - powiedział. - Kiedyś na strychu gospody natknąłem się na dzienniki Harrowa. Jego teoria głosiła, że to miasto zbudowali ludzie, którzy przybyli z morza.

Szliśmy ulicami, które - tak jak w mojej wizji - były wyłożone dużymi muszlami małży, ułożonymi wypukłą stroną do słońca. Byłem tym tak oszołomiony, że po drodze opowiedziałem kapralowi historię wyprawy Beatona do rajy. Nim opisałem wszystkie przygody, jakie udało mi się zapamiętać, zdążyliśmy już wrócić do gospody. Kończyłem swą opowieść na tylnym ganku, pijany płatkami róży.

Gdy skończyłem, kapral tylko pokręcił głową. Kilka sekund później zamknął oczy i spadł ze stołka na podłogę. Silencio wkrótce przyniósł mu poduszkę. Kombinacja trójpalcówki i Zarubieży okazała się ponad jego siły. Nakryliśmy go starym kocem i wyszliśmy na zewnątrz, by popatrzeć na gwiazdy. Gdy szedłem przez wydmy, myślałem o Arli i o tym, jak do niej wrócić. Widziałem w głowie Dobrze Skonstruowane Miasto, ale jego nikczemna siła przerażała mnie. Postanowiłem skupić się najpierw na wydostaniu się z Doralicji.

Przystanąłem na ścieżce i spojrzałem w niebo. Gdy wyodrębniałem konstelacje, usłyszałem, że ktoś się zbliża. Sądziłem, że to Silencio, bo kiedy opuszczałem gospodę, zasygnalizował mi gestem, że być może później do mnie dołączy. Potem jednak dwie ręce chwyciły mnie za kołnierz i ujrzałem twarz kaprala Mattersa z dziennej straży. Blizna przebiegająca przez środek jego głowy podzieliła mój wzrok na pół.

Cuchnął alkoholem, a gdy się odezwał, opluł mnie z góry na dół.

- Cley! - ryknął. - Każę ci natychmiast iść do rajy! - Pociągnął mnie za koszulę, próbując powlec za sobą. - Znalazłem go. Jest tu, na Doralicji.

- Gdzie? - zapytałem, nadal oszołomiony jego nagłym pojawieniem się.

Zatrzymał się i osłabił chwyt. Jego wzrok stał się nieobecny, jakby kapral intensywnie usiłował sobie coś przypomnieć.

- Byłem tam - rzekł, znów umacniając chwyt. Wbiłem mu w oczy dwa palce lewej ręki. Puścił mnie gwałtownie i wrzasnął. Jego krzyk rozniósł się echem, a ja popędziłem co sił w nogach przez wydmy z powrotem do gospody. Musiałem sprawdzić, czy kapral nocnej straży nadal leży na podłodze. Albo go przyłapię, albo nie, ale przynajmniej będę wiedział, na czym stoję.

Gdy wbiegłem przez tylne drzwi prosto na ganek, Silencio grał jakiś posępny nokturn. Byłem zadyszany, ale od razu ruszyłem w stronę baru. Znalazłem kaprala Mattersa śpiącego w

miejscu, w którym go zostawiłem. Nalałem sobie drinka, po czym usiadłem i wpatrywałem się w leżącego. Wydało mi się, że jego jasne włosy są jakby nieco przekrzywione, oddycha trochę przyciężko jak na kogoś pogrążonego we śnie, a koc nie przykrywa go już w całości tak jak przedtem. W trakcie drugiego drinka nie byłem już tego taki pewien. Gdy doszedłem do trzeciego, zacząłem wierzyć, że kapral dziennej straży rzeczywiście kręci się po wyspie w poszukiwaniu raję.

Następnego dnia powiedziałem kapralowi, który siedział i leczył kaca, że miałem spotkanie z jego bratem.

- Jeszcze nie jest w raję? - zapytał Matters.

- Kręcił się po wydmach - odparłem.

- To niedobrze - rzekł.

- Kazał mi iść ze sobą do raję - dodałem.

- Jest skończony - mruknął Matters. - Nie zdziwię się, jeśli wkrótce dzikie psy zjedzą jego wynędzniałe ciało na kolację.

Kilka poranków później przyszedł do mnie Silencio, skrzeczając i nakazując mi gestem, bym wstawał. Słońce dopiero weszło i w pokoju panował jeszcze chłód. W drzwiach stanął kapral Matters z nocnej straży. Wyglądał na zatroskanego.

- Do przystani przybiła łódź z żołnierzami - powiedział. - Lepiej się rozbieraj i idź do kopalni, a ja zobaczę, czego chcą.

Natychmiast spełniłem polecenie. Nie minęło pół godziny, a byłem z powrotem w żarze i smrodzie, waląc kilofem w ściany swego tunelu. „To tylko wspomnienie piekła” - myślałem, mając nadzieję, że to prawda. Gdy jednak minęły dwie godziny, a ja wciąż tam byłem, ogarnął mnie niepokój i zacząłem się zastanawiać, po co przybyli ci żołnierze. „Może przywieźli nowego więźnia?” - spekulowałem.

Po upływie kolejnej godziny usłyszałem głos kaprala. Stał na skraju szybu i wołał mnie. Z radością porzuciłem kilof i powlokłem się ścieżką w górę. Na zewnątrz, w popołudniowym upale, zastałem Mattersa i trzech umundurowanych żołnierzy z karabinami.

- Cley? - zapytał jeden. Skinąłem głową.

- Proszę z nami - powiedział.

Zerknąłem na kaprała, ale on pokręcił lekko głową, dając mi znak, bym nie zwracał się do niego. Ruszyliśmy za żołnierzami przez wydmy, a potem w dół plaży ku przystani, gdzie czekała łódź parowa.

- Kapralu Matters - rzekł jeden z żołnierzy, gdy staliśmy na nabrzeżu obok łodzi.

Kapral postąpił naprzód.

- Zabieramy Cleya - oznajmił żołnierz.

- Tak jest - odparł kapral.

Wtedy żołnierz odczepił coś od pasa i przytknął z boku do głowy Mattersa. Była to czarna skrzynka w dwoma stalowymi wypustkami sterczącymi po jednej stronie. Kapral zawył z bólu. Wył tak przez całą minutę, po czym jego oczy stały się galaretowate, a z uszu, nosa i ust zaczął się wydobywać czarny dym. W końcu kapral osunął się bezwładnie do moich stóp.

- Co to... ? - zdołałem jedynie wykrztusić. Żołnierz dumnie pokazał mi urządzenie.

- Topi mechanizmy. Prosty sposób wyeliminowania takich jak ten, gdy stają się niepotrzebni.

A teraz, fizjonomisto Cley, uprzejmie proszę pana o wstąpienie na pokład. Otrzymaliśmy od Mistrza rozkaz zawiezienia pana z powrotem do Dobrze Skonstruowanego Miasta. Został pan ułaskawiony.

Tak jak stałem, w samej bieliźnie, wszedłem do łodzi. Źle się czułem z myślą, że zostawiam Silencio samego, ale to był jedyny sposób na powrót do Miasta. Posadzono mnie przy burcie, żebym miał dobry widok. Jeden z żołnierzy przyniósł koc i nałożył mi na ramiona. Nie mogłem uwierzyć, że darowano mi karę.

Później, gdy płynęliśmy wzdłuż północnej strony wyspy, podeszło do mnie czterech żołnierzy. Przytrzymali mnie, po czym jeden sięgnął po strzykawkę z czystym pięknem i wbił mi igłę w szyję. Narkotyk eksplodował mi w głowie i wzbudził w całym ciele fioletowy blask. Żołnierze przeprosili, po czym podnieśli mnie i posadzili z powrotem.

Piękno dało mi ochronę przed wiatrami. Zagubiony w marzeniach na jawie, spoglądałem przed siebie. Nim łódź odpłynęła od wyspy, minęliśmy jej zachodni kraniec. W sporej odległości ujrzałem na małym, obmywanym przez fale skrawku plaży kaprała Mattersa z dziennej straży. Za jego plecami czaiła się chmara wygłodniałych dzikich psów. Pomachałem do niego i zawołałem po nazwisku. Uniósł wzrok i zobaczył mnie. - Znalazłem raj! - zawołał ponad wodą.

21.

„Gazeta” pełna była wieści o moim powrocie. Nagłówki donosiły, że popełniono potworny błąd w jednym z najbardziej skomplikowanych obliczeń, które doprowadziły do uznania mnie za winnego. Zapewniano jednak gmin, że nie musi się obawiać o skuteczność swoich pomiarów fizjonomicznych, gdyż jego cechy są znacznie mniej wyrafinowane, a co za tym idzie, prostsze w odczycie. Cytowano nawet moją rzekomą wypowiedź, której za nic w świecie nie potrafiłem sobie przypomnieć, głoszącą, że cała ta pomyłka jest całkowicie zrozumiała. Przytaczano także słowa Mistrza, mówiącego, że z ulgą przyjmuje fakt, iż może ułaskawić jednego ze swych najbardziej zaufanych poddanych i sprowadzić go z powrotem do Miasta, by kontynuował jakże pożyteczną karierę. Po tych idiotyzmach następowała moja szczegółowa biografia i opis najważniejszych procesów, w których uczestniczyłem. Każdy z nich oznaczał dla mnie jeden z tunelowych grobowców wykutych w siarce.

Gdy otworzyłem drzwi swego mieszkania, wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy pewnego popołudnia przed kilkoma miesiącami opuściłem je, by udać się na rubieże. Jedynym wyjątkiem był gigantyczny bukiet żółtych kwiatów na biurku i mała paczuszka, która okazała się miesięcznym zapasem czystego piękna wraz z odpowiednią liczbą strzykawek. W drodze z Doralicji żołnierze robili mi zastrzyki co osiem godzin, żebym ponownie się uzależnił.

Nie mogę powiedzieć, że nie odczułem ogromnej ulgi, kładąc się w swoim własnym łóżku i zasypiając twardo, ale gdy tylko zamknąłem oczy, pojawili się Arla, Calloo, Bataldo, nawet Silencio, by mi przypomnieć, że mam do załatwienia pewne sprawy z państwem i nie mogę pozwolić, by powstrzymały mnie przed tym jakiegokolwiek luksusu czy pochlebstwa.

Przebudziwszy się z koszmaru pełnego demonów, wstałem i usiłowałem wymyślić jakiś sensowny plan. Nim nastał świt, wypaliłem trzydzieści papierosów, byle tylko powstrzymać się od zastrzyku. Wkrótce uświadomiłem sobie, że ze swoją nowo zdobytą wiedzą i ukrytą osobowością jestem w Mieście o wiele bardziej obcy, niż byłem na rubieżach. Tytuł Fizjonomisty Klasy Pierwszej był teraz dla mnie jedynie kamuflażem. Musiałem w jakiś sposób przechytryć Mistrza, być zawsze o dwie myśli przed nim. Jedyne problem stanowiło to, że tok jego myśli był raczej nielinearny. „Będę musiał wziąć pod uwagę wszystkie możliwości” - szepnąłem do siebie, ale szybko tego pożałowałem, przypominając sobie jego słowa: „Ja nie czytam, ja słucham”. To wszystko stało się tak nagle, że poczułem się przytłoczony. Wschodzące słońce nappełniło moje oczy łzami. Podwinąłem rękaw i nakłułem żyłę w zgięciu łokcia.

Następnego dnia u moich drzwi pojawił się posłaniec z wiadomością, że za godzinę przybędzie powóz, by mnie zabrać do gabinetu Nadolnego w ministerstwie dobrej woli. Szybko się wykapałem i włożyłem swój zielony jedwabny garnitur z pasującą doń kamizelką. Urwałem też z bukietu jeden z żółtych kwiatów i wpiąłem sobie w klapę na znak, że z Cleyem jest wszystko w porządku i że odzyskał pełnię wiary w Mistrza i imperium. Wiedziałem, że będę się musiał płaszczyć, ale i okazać nieco pewności siebie, gdy przyjdzie do rozmowy o mojej przyszłości. Byłem przekonany, że za moim ulaskawieniem kryje się jakiś wyższy motyw. Gdy woźnica zapukał do drzwi, postanowiłem, że pozwolę, by sprawy toczyły się krok po kroku, podczas gdy sam będę je uważnie obserwował w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, która mogłaby mnie naprowadzić na plan.

Gdy powóz toczył się zaułkami Miasta, z zachwytem obserwowałem złożoność jego konstrukcji, którą zdążyłem już niemal zapomnieć. Gdy byłem tu ostatnim razem, przemieszczałem się między celą więzienną a sądem. Czarny worek, który narzucano mi na głowę na czas transportu, uniemożliwiał mi obserwowanie, jak obywatele pędzą w tę i z powrotem w cieniu iglic i kopuł. Budynki z różowego koralu, szkło i kryształ prawdopodobnie wzbudziłyby w Beatonie przekonanie, że trafił do raju, gdyby tylko w swoich wędrówkach pobłądził i znalazł się tutaj. Mojej uwagi nie umknęła obecność licznych umundurowanych strażników, patrolujących ulice. Mieli przy sobie wyrzutnie płomieni, co stanowiło widok dość nietypowy.

Powóz zatrzymał się przed ogromnym, kryształowym gmachem ministerstwa. Wsiadłem i wszedłem po stromych schodach, po czym pchnąłem drzwi i znalazłem się w westybulu. Gdy zmierzałem ku windzie, podeszła do mnie młoda kobieta.

- Witamy w Dobrze Skonstruowanym Mieście, fizjonomisto Cley. Mistrz pana oczekuje - oznajmiła.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się, ale ona była tylko pierwszą z pozdrawiających mnie osób. Ludzie, których nigdy nie spotkałem, zatrzymywali mnie w holu i życzyli szczęścia. Wiedziałem, że za ich wyciągniętymi dłońmi i uśmiechami kryje się rozkaz z góry, by traktować mnie przyjaźnie. Zachowałem spokój, kłaniając się wszystkim po kolei, po czym wsiadłem do windy i ruszyłem na dziesiąte piętro. Gdy drzwi się otworzyły i ruszyłem długim korytarzem wiodącym do gabinetu Nadolnego, ze zdumieniem zobaczyłem, że z obu stron otaczają go nieruchome błękitne figury zahartowanych bohaterów z Anamasobii. Rozpoznałem wśród nich Ardena trzymającego swoje lustro. Po mojej lewej stronie stał pochylony w stronę przejścia Beaton z lekko rozchylonymi palcami, podając niewidoczną wiadomość.

Gdy wszedłem do gabinetu, Mistrz siedział za biurkiem - gładką bryłą kwarcu o długości powozu, który mnie przywiózł. Na biurku spoczywały sterty dokumentów, które Nadolny sukcesywnie wrzucał do płonącego kominka za swymi plecami.

- Witaj, Cley - rzekł, dając mi znak, bym usiadł naprzeciw niego. - Chyba nigdy nie skończę tej papierkowej roboty. To zmora Mistrza.

Wrzucił kilka kolejnych stert, po czym obrócił się, skrzyżował ręce na biurku i spojrzał mi w oczy. Odwzajemniałem spojrzenie tak długo, jak tylko zdołałem, a następnie odwróciłem wzrok w kierunku miniaturowej repliki Miasta stojącej na stoliku w kącie.

- Widzę, że przywiózł pan sobie pamiątki z rubieży - zauważyłem, wskazując przez ramię w stronę korytarza.

- Rubieże, rubieże. Ludzie wciąż się nimi zachłystują. Gazety są pełne opowieści o rubieżach. Zrobiłem fortunę na kilku drobiazgach, które udało mi się tu przytargać. Rogi demonów sprzedają się po siedemset nadoli za sztukę. Rozpuściłem kłamstwo, że połknięte w sproszkowanej formie wywołują trwające tydzień erekcje i orgazmy, z których szczęśliwiec wyłania się u bram raj. - Zaśmiał się. - Odrobina igrzysk dla ludu.

- Chcę panu osobiście podziękować za ułaskawienie - powiedziałem, starając się brzmieć najpokorniej jak się dało.

- Cóż, Cley - odparł, rozpierając się w fotelu - brakowało mi ciebie. Zawsze byłeś tak cholernie sumienny. Wspomnienie ciebie jadącego obok mnie w moim powozie i sikającego w spodnie na myśl o konsekwencjach swojej zbrodni przeciwko państwu sprawiało, że czułem się... powiedzmy, jak ojciec, który utracił kontakt z synem marnotrawnym.

- To porównanie jest dla mnie zaszczytem, Mistrzu - rzekłem.

Oczy biegały mu w tę i we w tę pod pojedynczą krzaczastą brwią, jakby nie był pewien, czy nie posunął się za daleko.

- Jak tam Doralicja? - zapytał w końcu.

- Spotkałem pańskich dawnych towarzyszy broni, Mattersa i Mattersa - powiedziałem.

- A, tych. Pieprzyć ich, to mała dowodzi wszystkim na wyspie - rzekł. - Jak ci się podobała?

- Silencio - uściśliłem. - Jest bardzo ciekawy.

- To jeden z moich - oznajmił Nadolny i zaklaskał samemu sobie.

- Doszedłem też do wniosku, że zgrzeszyłem i że usmażenie się w kopalni będzie dla mnie właściwą karą - dodałem.

- Świetnie - odparł i zaczął przebierać palcami obu rąk przed moim nosem. Wiedziałem, że za chwilę nastąpi jedna z jego salonowych sztuczek, i rzeczywiście, żółty kwiat, który miałem wpięty w garnitur, po chwili znalazł się w jego rękach.

Zerknąłem na swoją klapę i zobaczyłem, że jest pusta.

- Niesamowite - powiedziałem. Pokiwał głową na znak, że się zgadza.

- Posłuchaj, Cley. Nie mógłbym ściągnąć cię z powrotem do Miasta i nie mieć dla ciebie nic do roboty. Wiem, jak kochasz swoją pracę. Mam dla ciebie nowy projekt.

- Czy wiąże się z zastosowaniem fizjonomiki? - zapytałem.

- Twoja ranga została już przywrócona. Potrzebuję kogoś o twoim zapale, bo mam do wykonania pewną szczególną misję. Widzisz, pewnego razu, przechadzając się ulicami w przebraniu, zauważyłem, że moje boskie dzieło, ta zdumiewająca metropolia, staje się zbyt zatłoczona. Możesz w to wierzyć lub nie, ale słyszałem wśród obywateli pewne głosy niezadowolenia. Gdy przyglądałem się z bliska owym malkontentom, zauważałem, że ich fizjonomie są dalekie od doskonałości. Szczerze mówiąc, wiele z tych twarzy mogłoby uchodzić za zadki zwierząt. Zacząłem więc obmyślać plan zredukowania populacji.

- Jestem do pańskich usług - zadeklarowałem.

- Wiedziałem, że przyjmiesz to dzielnie - rzekł. - Chcę, abyś każdego dnia zgarniał dziesięć osób, odczytywał wszystkie, znajdował te, których oblicza są najmniej korzystne, i posyłał mi ich nazwiska. Po dziesięciu dniach zbierzemy tych wszystkich ludzi i unicestwimy ich. Planuję zorganizowanie publicznych egzekucji w Parku Pamięci. Zobaczymy, kto jeszcze pozwoli sobie narzekać, gdy to nastąpi.

- Wspaniały plan - zapewniłem go.

- Rozesłałem już informację, że masz pełne uprawnienia do zatrzymywania i odczytywania kogokolwiek z wyjątkiem mojego osobistego personelu. Pamiętasz tych durniów, którzy cię skazali? Ich także możesz zbadać, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Zaśmiał się. - Tak czy owak, za dziesięć dni chcę mieć dziesięć ciepłych trupów, ale ważne jest, żebyś zbadał tyłu, ilu tylko zdołasz. Chcę, aby to dochodzenie objęło możliwie największą liczbę osób.

- Rozumiem - powiedziałem. - Natychmiast zabieram się do dzieła.

On jednak nie zamierzał mnie jeszcze wypuścić. Wyjął dwie fiołki piękna. Chciałem odmówić, ale wiedziałem, że to próba mojej lojalności. Mistrz wbił sobie igłę w żyłę w języku.

- To moja specjalna mieszanka - wybełkotał, wyjmując igłę z ust.

Siedzieliśmy tam przez godzinę, ogarnięci dreszczem piękna. Nadolny pokazywał mi sztuczki karciane i zonglował monetami. Jego specjalna mieszanka istotnie była specjalna. Nie mogłem się poruszyć. Zręczne ruchy jego rąk hipnotyzowały mnie. Gołębie, ogień, mały człowieczek ulepiony z woskowiny usznej Mistrza fikały koziołki na stole. To wszystko działo się tak szybko i gorączkowo, że miałem wrażenie, iż zemdleję. W końcu Nadolny skoczył na równe nogi, obszedł stół i poprowadził mnie ku drzwiom.

- Dziś wieczorem, Cley - rzekł - wydaję kolację na twoją cześć. Chcę, żeby przez ten jeden wieczór wszyscy całowali cię w tyłek. To przykre, że zdołali mnie przekonać, bym cię stąd odesłał.

- Wedle życzenia - odparłem.

- Będziesz potrzebował tego, by wejść - powiedział i wetknął mi w dłoń jedną z monet, którymi wcześniej się bawił.

Pożegnałem go i ruszyłem wzdłuż szpaleru zahartowanych bohaterów. Gdy już znalazłem się na zewnątrz, usiadłem na ławce i starałem się złapać oddech. Nawet na Doralicji nie pocilem się tak bardzo. Dawka piękna wywołała we mnie najstraszliwsze dreszcze, jakich w życiu doznałem. Ponadto przerażająca perspektywa tego, co miało się stać, zszarpała mi nerwy.

W końcu, spacerując w kółko jedną z promenad wokół gmachu, jakoś doszedłem do siebie. Na prowizorycznym ringu pośrodku bulwaru odbywała się walka pomiędzy dwoma obywatelami podrasowanymi przez wynalazki Mistrza. Próbowałem nie zwracać uwagi na brutalność, ale o tej porze dnia promenada była stosunkowo pusta. Walkę oglądała tylko młoda matka z dwiema córkami.

Gdy mój oddech się uspokoił, zacząłem się przyglądać walce na ringu. Jeden z walczących zamiast ręki miał kłapiące metalowe szpony, a z głowy wystawał mu zestaw stalowych korkociągów. Drugi warkotał i dudnił, jakby coś mu się zepsuło w maszynierii, ale był wielki. Na jego szyi i piersi widniały prymitywne przeszczepy skóry. Nie miał żadnych szczególnych cech, jeśli nie liczyć samego faktu, że był żywy, ale w jednej ręce trzymał kilof, a w drugiej sieć.

Metalowe szpony cięły sieć, jakby to była koronka. Gdy duży człowiek zamachnął się kilofem i chybił, drugi zaatakował głową i wbił się w ramię tamtego. Nie dostrzegłem krwi, ale skóra rozdarła się głęboko. Walkę zakończyło wbicie kilofa w plecy mężczyzny ze szponami. Z głośników zamontowanych na budynkach rozległ się aplauz. Duży człowiek skłonił się sztywno, gdy robotnicy przyszli wynieść pokonanego. Matka i córki straciły zainteresowanie i przeniosły się gdzie indziej. Podszedłem cicho do ringu i stanąłem za plecami zwycięzcy.

- Calloo - powiedziałem.

Stał całkiem bez ruchu, wpatrzony w przestrzeń.

- Calloo! - zawołałem.

Na dźwięk swego imienia odwrócił się i spojrzał na mnie. Wpatrywał się tak długo, że sądziłem, iż nawiązaliśmy głęboki kontakt, ale potem uświadomiłem sobie, że po prostu się zepsuł. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem dużą sprężynę, która przerwała skórę i sterczała z jego karku.

Przebiegłem przez promenadę i wpadłem do parku. Przez jakąś godzinę włóczyłem się po miejskich ogrodach, nim wreszcie udałem się do swego biura. Teraz, gdy ujrzałem Calloo, byłem jeszcze bardziej zdeterminowany, by zaszkodzić imperium w każdy możliwy sposób. Ledwie usiadłem za biurkiem, pospiesznie nabazgrałem list do ministra skarbu, nakazujący pełną inwentaryzację towarów przywiezionych przez Mistrza z rubieży. Przy odrobinie szczęścia mój list mógł w ogóle nie dotrzeć do ministra, lecz do któregoś z jego podwładnych. Bałem się przyłapania, ale w mojej sytuacji powstrzymanie się od działania byłoby równie niebezpieczne

jak działanie. Sądziłem, że w oficjalnych materiałach mogę znaleźć jakąś wskazówkę, gdzie szukać Arli.

Po wysłaniu listu przez umyślnego stanąłem przy oknie i spoglądałem w dół, na ulicę, przy której mieściła się Akademia Fizjonomiki. Miałem ochotę wrzeszczeć do przechodzących tłumów: „To wszystko jest szaleństwem!”, ale widziałem, że ludzie są bardziej zajęci kombinowaniem, za jakie sznurki pociągnąć, by zdobyć jedną czy dwie dawki sproszkowanego rogu demona.

22.

Kolacja na moją cześć odbywała się w Wierzchołku Miasta, pod kryształową kopułą. Gdy próbowałem wręczyć strażnikowi przy drzwiach monetę, którą dostałem od Nadolnego, ten odmówił jej przyjęcia.

- Witamy z powrotem - powiedział, gdy przeszedłem przez próg. Słońce zachodziło za pasmem gór w oddali, rzucając czerwone płomienie, które załamywały się na przezroczystym dachu oświetlonej świecami restauracji. Natychmiast udałem się do baru i zamówiłem drinka.

W okrągłym pomieszczeniu aż roilo się od ministrów i przeróżnych dygnitarzy z biurokratycznej matrycy imperium. Kręcili się między stołami, metodycznie ścigając się nawzajem i uciekając przed sobą, rozmawiając jedną stroną ust, śmiejąc się drugą, a przez cały ten czas zaciskając zęby. Palono wielkie cygara i prowadzono rozmowy, których strzępy udało mi się uchwycić: wszystkie kręciły się wokół pozycji społecznej i zdobywania nadoli.

Gdy tylko zauważono, że przybyłem, ustawiła się do mnie długa kolejka. Podchodzili jeden za drugim, by uścisnąć mi dłoń, przywitać, ewentualnie zapytać o jakiś szczegół związany z rubieżami lub kopalnią siarki. Przytakiwałem im, dziękowałem i opowiadałem wszystkim, ile się nacierpiałem. Alkohol lał się strumieniami i wielu z moich rozmówców już miało w czubie. Ja sam wypilem trzy szklanki płatków róży, nim załatwiłem połowę kolejki. Wspominałem czas, gdy zajmowałem się fizjonomiką, i wszystkie kolejki twarzy, które się do mnie ustawiały. I podobnie jak wówczas, nie spodziewałem się znaleźć niczego godnego uwagi.

Ledwie o tym pomyślałem, podeszła do mnie chwiejnie pijana młoda kobieta. Nie miała eskorty; pewnie była jedną z tych, które Mistrz wynajmował, by „robiły tłok”. Miała przymknięte

oczy, a po jej ustach błąkał się ironiczny uśmieszek. Nim zbliżyła się do mnie na odległość czterech stóp, wionęło od niej trójpalcówką. Zarzuciła mi ręce na ramiona i ucałowała w usta, wpychając język między moje zęby Ci, którzy stali za nią w kolejce, zaklaskali.

Odsunąłem się, a ona przytknęła mi usta do ucha i szepnęła:

- Jak się miewa skórzana rękawica?

- Czy my się znamy? - zapytałem.

- Nie - odparła. Potem mnie puściła i ustąpiła miejsca stojącej za nią osobie, wysokiemu mężczyźnie w pasiastym garniturze z elegancko przystrzyżonym wąsikiem.

- On mnie kiedyś przeleciał w Parku Pamięci w skórzanej rękawicy - powiedziała dziewczyna.

Facet zaśmiał się i pokiwał głową. Gdy kobieta wtopiła się w tłum, zobaczyłem, że tamten obraca się do kogoś, kto stał za nim w kolejce, i mówi coś. Drugi zerknął na mnie i także się roześmiał. Z obrzydzeniem patrzyłem, jak opis mojej frywolnej zabawy wędruje przez tłum. Niektórzy, rozochoceni alkoholem, wkładali rękawice przed uściśnięciem mi dłoni. Uśmiechałem się szeroko i opowiadałem im o swoich cierpieniach.

Gdy już skończyli mnie molestować, pojawił się Mistrz. Miał na sobie żywy garnitur, zrobiony z jakiegoś pnąca, które wyrastało z wypełnionych ziemią kieszonek. Całość pokrywała go jak żywopłot i tworzyła nad tylną częścią głowy coś w rodzaju kaptura. Tanecznym krokiem przemieścił się na środek sali i gromko poprosił o ciszę. Natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy wiedzieli, że nawet kichnięcie podczas przemowy Mistrza może mieć straszne konsekwencje.

- Byłem na rubieżach - oznajmił, spoglądając przez kopułę na zapadającą noc, jakby czegoś szukał.

Wszyscy unieśli głowy, po czym zorientowali się, że to tylko zagrywka dramatyczna.

- I - kontynuował - przywiozłem rubieże do Miasta. - Po tych słowach zaklaskał w dłonie i asystenci poczęli odsuwać na boki stoły i krzesła, tworząc szerokie przejście wiodące od dwuskrzydłowych drzwi kuchni do szerokiego, pustego kręgu. Gdy skończyli, Mistrz obwieścił:

- Przedstawiam wam demona!

Wprowadzili go przez kuchenne drzwi, z łapami skutymi na plecach łańcuchem i ściskającą mocno skrzydła liną owiniętą wokół piersi. Towarzyszyli mu dwaj żołnierze - jeden prowadził go

za łańcuch przyczepiony do metalowej klamry zatrzaśniętej na szyi, a drugi szedł z tyłu z wyrzutnią płomieni wycelowaną w plecy stworzenia.

Demon raczej skakał, niż szedł, przez cały czas szczerząc kły i warcząc na zebranych. Cofali się z lękiem, gdy próbował rzucić się na nich. Żołnierz mocno szarpał za łańcuch, odciągając stwora od tłumu. Zaprowadzono go do kręgu, po czym znacznie skrócono mu łańcuch i przymocowano go do klamry w podłodze.

Demon ryczał i usiłował zerwać kajdany. Mięśnie na jego plecach napięły się, rozciągając skrzydła o żałosne pół cala pod sznurem. Elita Dobrze Skonstruowanego Miasta przez jakieś pięć minut trzymała się w bezpiecznej odległości, po czym, widząc, że demon nie może uciec, zaczęła podchodzić coraz bliżej. Wkrótce rozpoczęło się drażnienie demona. Rzucano w niego zgniecionymi serwetkami, podczołgiwano się do niego i wykrzykiwano groźby. Mistrz tymczasem dołączył do mnie przy barze.

- Cwaniak z ciebie, Cley - powiedział i obrócił się, by obserwować spektakl.

- Jak mam to rozumieć, Mistrzu? - zapytałem.

- Słyszałem, że chcesz zainwestować w parę pamiątek z rubieży - odparł.

- Hm - powiedziałem - jeszcze nie wiem. - Potem pociągnąłem łyk, by ukryć zmieszanie.

- Minister skarbu poinformował mnie, że poprosiłeś o pełną listę towarów, które stamtąd przywiozłem - rzekł Mistrz.

- A - powiedziałem - o to chodzi. - Uśmiechnąłem się, potem roześmiałem, wreszcie podrapałem po głowie. - Pomyślałem, że róg demona może być niezłą inwestycją, biorąc pod uwagę fakt, że się go ściera i sprzedaje na porcje. Można się niezłe obłowić, zarabiając tysiąc czterysta nadoli na siedemset zainwestowanych. Rzecz jasna, sam mi pan poddał ten pomysł dziś rano.

- Wiedziałem, że o to ci chodzi - rzekł. - Przyślę ci jeden w prezencie.

Już miałem mu podziękować, gdy w tłumie nastąpiło jakieś poruszenie. Goście poczęli nagle uciekać do tyłu, potykając się o nogi krzesel i lądując na stołach. Wyglądało na to, że demon zdołał dźgnąć kogoś rogiem w czoło. Podniosłem głowę dokładnie w momencie, w którym biedna ofiara osunęła się na ziemię zalana krwią, z wybałuszonymi ze zdumienia oczami. Demon natychmiast opadł na podłogę i kłapał zębami przed twarzą krzyczącego teraz mężczyzny.

Mistrz postąpił naprzód w chwili, gdy żołnierz z miotaczem zwiększył nacisk palca na spust.

- Czekaj! - zawołał, patrząc, jak nieszczęsna ofiara wije się pod kłami demona. - Co to za facet?

- Niepotrzebski z ministerstwa sztuki - odpowiedziało kilka osób, obróciwszy się.

Mistrz parsknął śmiechem.

- Daj spokój - rzekł do żołnierza, a ten opuścił broń. Następnie Nadolny pstryknął palcami i włączono muzykę. W drzwiach kuchni pojawili się kelnerzy z butelkami absensu i tackami krematu ze szczypiorkiem. - Delicje z rubieży! - zawołał Mistrz, a wszyscy rzucili się, by je pochwycić.

Później musiałem siedzieć na platformie po północnej stronie kopuły i słuchać wydumanych przemówień o mojej błyskotliwości, poświęceniu dla państwa, zdumiewającej elegancji mojej fizjonomii. Uśmiechałem się i głupkowato kiwałem głową, a tłum klaskał, śmiał się i wiwatował w odpowiednich momentach. Gdy poproszono mnie, bym zabrał głos, zaszalowałem tylko Nadolnemu i powiedziałem:

- Niech żyje Miasto, imperium i Mistrz! Spojrzałem na tłum, a gdy umilkły wiwaty, wszyscy wlepili we mnie wzrok i nikt z nas nie wiedział, co robić dalej.

Po chwili pojawił się przy mnie Mistrz i ceremonialnie uściśnął mi dłoń na użytek dygnitarzy, po czym odprowadzono mnie z powrotem na siedzenie na platformie, a głos zabrał Nadolny.

- Patrzcie - rzekł i wykrzywił twarz w uśmiechu. Na końcach witek tworzących jego kaptur wykwitły białe kwiaty. Goście nie posiadali się z zachwytem. Ja wolałem patrzeć, jak asystenci Mistrza stalowym hakiem długości ośmiu stóp odciągają od demona to, co pozostało z Niepotrzebskiego.

- Możecie ślać podania o stanowisko ministra sztuki - ogłosił Nadolny. Przez tłum przetoczyła się fala śmiechu, ale gdy ucichła, Mistrz przybrał poważniejszy ton. - Nie przypadkiem honorujemy fizjonomistę Cleya właśnie dziś - rzekł - uosabia on bowiem mądrość i intuicję rubieży. Wszyscy kochacie wyobrażenie tych rozległych, otwartych przestrzeni, a ja zrobiłem, co w mojej mocy, by przynieść wam tu dziś ich namiastkę. Oprócz tego jednak widzę w rubieżach symbol mojej nowej kampanii rewitalizacji Miasta. W tym celu przedsięwziąłem dwa środki. Po pierwsze, poleciłem obecnemu tu Cleyowi wyodrębnić osoby o nieodpowiednim wzorcu fizjonomicznym w celu egzekucji. Za dziesięć dni w Parku Pamięci będziecie mogli obserwować, jak działa zasada przetrwania najlepiej przystosowanych, a może raczej

powiniennem rzec, eliminacji nieprzystosowanych. Pojęcie owo zapożyczyłem wprost z dzikiej krainy.

Goście zaczęli klaskać jak szaleni, jak gdyby sądzą, że ta manifestacja poparcia przekona Mistrza, iż warto darować im życie.

- W wyniku tej kampanii możecie utracić krewnego, współmałżonka czy dziecko, ale nigdy nie mówcie, że Drachton Nadolny bierze, nie dając nic w zamian. Za dziesięć dni zostanie otwarta nowa wystawa związana z rubieżami. Jej miejsce będzie utrzymywane w tajemnicy i ujawnię je dopiero po egzekucjach w parku. Ekspozycja nosi tytuł „Anomalie Rubieży” i zobaczycie tam najdziwniejsze widoki, jakie kiedykolwiek widział mieszkaniec Miasta. Doskonała zabawa dla całej rodziny. Przy tamtych widokach ten tu demon jest zaledwie żalną kreaturą. Poczekajcie, aż wam pokażę, co jeszcze przywiozłem - chełpił się.

Zakręcił palcami lewej ręki, tak jak tego ranka, i nagle nie wiadomo skąd wyłowił niewielką monetę.

- Każdy z was taką dostał - rzekł. - Zachowajcie je, dadzą bowiem wam i waszym najbliższym darmowy wstęp na wystawę podczas wielkiej uroczystości otwarcia.

Wszyscy zaczęli grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu monet. Poszedłem w ich ślady. Gdy wyjąłem swoją i położyłem ją na dłoni, zauważyłem, że widnieje na niej zwinięty wąż. Odwróciłem monetę i po drugiej stronie ujrzałem kwiat.

Gdy już uprzątnięto szczątki Niepotrzebskiego, podano kolację. Siedziałem przy stole z Mistrzem i ministrem bezpieczeństwa, Uciechem Nadgrobnym. Ledwie usiedliśmy, Nadgrobny zaczął się podlizywać, bredząc coś o wspaniałości ekspedycji Mistrza na rubieże.

- Zamknij się - rzekł Nadolny.

- Oczywiście - odparł minister, siląc się na uśmiech. Jak przystało na wieczór tematyczny, głównym daniem był pieczony nietoperz ognisty i tradycyjne kluski krematowe. Omal nie zwymiotowałem, gdy postawiono przede mną talerz. Mistrz zerknął na mnie i zauważył, że nie rzucam się na jedzenie jak pozostali goście. Niektórzy prosili już o drugie danie.

- Nie smakuje ci, Cley? - zapytał.

Nadgrobny podniósł wzrok znad talerza i uśmiechnął się z gębą pełną klusek, ciekaw, co się stanie.

- To z podniecenia, Mistrzu - odparłem. - Jestem przytłoczony tak wielkodusznym powitaniem.

- Cóż, nie mogę cię winić - rzekł. - Nie rozumiem, jak oni mogą jeść to gówno.

On sam, rzecz jasna, nie miał przed sobą obrzydliwego dania, lecz ledwie skończył mówić, przyniesiono mu srebrną tacę z kopulastą przykrywką.

- Oto prawdziwe jedzenie - rzekł i unióś przykrywkę, odsłaniając biały rajski owoc.

- Za pozwoleniem - odezwał się Nadgrobnny - ale czy naprawdę powinien pan to jeść? Nie wiadomo, jakie może wywołać skutki.

- Przetestowałem go w ciągu minionych miesięcy - odparł Mistrz. - Pewien szczur laboratoryjny, obecnie znajdujący się w Akademii Nauk, zjadł kawałeczek, gdy był już jedną nogą w grobie, i cudownie odżył. Choć zdychał ze starości, jest teraz energicznym, wytrzymałym szczurkiem i rzekłbym, że radzi sobie z labiryntami bardziej inteligentnie, niż potrafiłbyś ty.

- Oby pan zakosztował raju - powiedziałem do Nadolnego, gdy unióś owoc do ust i począł jeść. Jasny sok spływał mu po brodzie. Aromat dotarł do moich nozdrzy, przywracając wizje i sny i wypierając smród krematu.

Roślinny garnitur Mistrza przypomniiał mi listkowca Moissaca i niektóre odcinki *Fragmentów*. Gdy ocknąłem się z zamyślenia i uniosłem wzrok, ujrzałem ogryzek owocu - obgryzioną klepsydrę - z czarnymi pestkami w środku.

- Całkiem zjadliwe - mruknął Nadolny, wycierając ręce w liście - ale nie poczułem się nieśmiertelny. - Pstryknął palcami i zaraz pojawił się przy nim jego osobisty służący. - Zabierz to i zasadź nasiona, tak jak ci mówiłem - rzekł Mistrz.

Wieczór trwał, a ja skubałem jedzenie, kłaniałem się i kiwałem głową. Cały czas miałem Mistrza na oku, chcąc zobaczyć, jakie zmiany mógł w nim wywołać owoc, ale nie zauważyłem nic szczególnego. Gdy ruszył w tany z tą samą młodą damą, która wyjawiała w kolejce moje techniki seksualne, zacząłem wypytywać Nadgrobnego o wystawę, o której wspomniiał Mistrz. Dowiedziałem się, że kilku ludzi odciągnięto od zwykłych zajęć, by zajęli się pilnowaniem obiektu, ale nawet on nie wiedział, gdzie ten się znajduje.

- Wiemy tylko to, co Mistrz decyduje się nam powiedzieć - rzekł z uśmiechem.

Rozważałem złożenie mu wizyty następnego dnia i zaproszenie go do uczestnictwa w moim najnowszym zadaniu, oczywiście w charakterze badanego. Zastanawiałem się, do ilu śmierci w ciągu tych lat osobiście się przyczynił. Wyobrażałem już sobie jego głowę, wypełnioną na oczach tłumu w Parku Pamięci gazem obojętnym i puchnącą tak, by dorównać jego poczuciu wielkości, lecz nagle zreflektowałem się. „Znów nienawidzisz, Cley” - powiedziałem sobie. Pamiętałem

słowo wykute w siarce w grobowcu profesora Flocka: „Przebaczaj”. Było to trudne, ale po pewnym czasie zrozumiałem, że Nadgrobnny po prostu stara się przeżyć. Miał swój własny kamuflaż, podobnie jak ja i wszyscy pozostali. Każdy z nas usiłował ukryć przed Drachtonem Nadolnym swoje prawdziwe oblicze, czekając, aż jego „cudowny sen” wreszcie dobiegnie końca.

Tymczasem przyjęcie skończyło się gwałtownie, gdy Mistrz oplótł dwie młode damy szybko rosnącymi pnączami niczym pajęczynami i wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi kuchenne. Ledwie zniknął, muzyka umilkła, zapalono światła i służba zabrała się do sprzątnięcia. Wyprowadzono demona. Goście zawijali frykasy z rubieży w serwetki i upychali po kieszeniach, by zanieść rodzinom. Byłem dość pijany, ale czułem ulgę, że przetrwałem ten wieczór.

Powóz czekał na mnie na wietrznej ulicy, ale kazałem woźnicy odjechać beze mnie. Przez jakąś godzinę snułem się po Mieście, usiłując wytrzeźwieć. Idąc Bulwarem Montza wzdłuż sztucznego jeziora z pływającymi liliami zorientowałem się, że ktoś mnie śledzi. Najpierw usłyszałem stukot kroków, poruszających się w rytmie synkopowanym w stosunku do moich, a gdy się obróciłem, ujrzałem cień niezdarnie wskakujący do bramy po drugiej stronie ulicy.

Poszedłem prosto do swojego mieszkania, zamknąłem drzwi na klucz i nasłuchiwałem, przyłożywszy ucho do dziurki od klucza. Gdy się upewniłem, że nikogo tam nie ma, szybko podszedłem do biurka i wziąłem fiolkę piękna. Czułem straszne mrowienie pod czaszką i zacząłem się trząść, bliski głodu. Nappełniłem głowę narkotykiem i przywoływałem Flocka, on jednak nie chciał już do mnie przychodzić. Podłoga i ściany falowały i iskrzyły, żółte kwiaty płakały i nim zapadłem w sen, ni stąd ni zowąd odwiedził mnie nie kto inny jak Frod Geeble, właściciel tawerny z Anamasobii, i przez pół godziny zatruwał mi życie bekaniem.

23.

Następnego ranka wstałem wcześniej i wypisałem zaproszenia dla pechowców, których miałem odczytywać w pierwszej kolejności. Oczywiście nie zamierzałem oddać Mistrzowi dziesięciu osób na stracenie. Cokolwiek miałem zrobić, musiałem to wymyślić i wykonać w ciągu dziesięciu dni, a potem znaleźć sposób ewakuowania się z Miasta. Na razie jednak należało odegrać parodię i poprosić pewne osoby, które spotkam na swej drodze tego ranka, by po południu przybyły do mego gabinetu na badanie.

Wyszedłem z domu, nim ulice zalał tłum spieszących do pracy robotników. Najpierw chciałem wstąpić do Wierchołka Miasta, w którym poprzedniego wieczoru odbyło się przyjęcie. Poszedłem okrężną drogą, cofając się, zatrzymując w pasażach, wchodząc do Akademii Fizjonomiki i wychodząc tylnymi drzwiami. Nie zauważyłem, by ktoś za mną szedł, ale jeśli nawet próbował, z pewnością go zgubiłem.

Gdy dotarłem do restauracji, ekipa sprzątaczy właśnie otwierała drzwi do windy jadącej pod kopułę. Próbowali mi przeszkodzić w udaniu się tam, ale powiedziałem im, kim jestem, i zapytałem, czy nie zechcieliby odwiedzić mnie w biurze tego popołudnia, by poddać się odczytowi. Natychmiast stracili zainteresowanie zatrzymywaniem mnie, dzięki czemu uświadomiłem sobie, że moje nowe uprawnienia mogą się okazać całkiem przydatne. Nie zadałem sobie trudu wręczenia zaproszenia żadnemu z nich, co przyjęli z uśmiechami wdzięczności. Gdy drzwi windy się zamknęły, ja także się uśmiechnąłem.

W restauracji nie było nikogo z wyjątkiem sprzątaczk, która weszła w chwilę po mnie i usiłowała zeskrobać ze środka parkietu krew nieszczęsnego Niepotrzebskiego. Nie zwracaliśmy

na siebie uwagi. Przez kopułę widać było wschodzące słońce, które rozjaśniło i ogrzało salę. Zamierzałem wykorzystać wieżowiec jako punkt obserwacyjny, by sprawdzić, czy w jakimś zakątku Miasta nie uda mi się dostrzec śladów budowy. Podeszedłem do kryształowej ściany i patrzyłem uważnie na spieszących ulicznymi i przechodzących przez dziurki w koralowych konstrukcjach mieszkańców. „Paliszyszja” - pomyślałem.

Nic szczególnego jednak nie dostrzegłem. Wszystko w Mieście wyglądało tak jak zawsze. Nie było żadnych wielkich wykopów, nagromadzenia sprzętu budowlanego czy rusztowań. Gdy tak stałem i obserwowałem, zauważyłem, że kobieta podeszła do mnie i także spogląda w dół.

- Czym mogę służyć? - zapytałem.

- Zastanawiałam się, czy szuka pan demona - odparła.

- Był tu wczoraj - powiedziałem. - Ten bałagan, który pani sprzątała, to właśnie po nim.

- Wiem - rzekła i uśmiechnęła się, odsłaniając wybrakowaną szczękę. - Ale pan chyba nie wie, co się stało w nocy. Jak tylko go stąd zabrali, udało mu się rozerwać łańcuchy. Chcieli go spalić, ale sami się spalili. Resztę zabił, a teraz ukrywa się w Mieście.

- To niedobrze - mruknąłem.

- Czytałam w gazecie, jak jakiś spec Mistrza mówił, że w dzień demon musi się ukrywać pod ziemią. Dopiero w nocy może sprawiać kłopoty.

Wieść była niepokojąca, ale nie umknął mi fakt, że wiele można się dowiedzieć, słuchając prostych ludzi. Podziękowałem sprzątacze, a ona zdawała się naprawdę szczęśliwa, że doceniłem jej pomoc. Wróciła do plamy, przyklękła i kontynuowała szorowanie.

Nie znalazłszy w widzialnej topografii Miasta nic, co mogłoby wskazywać na budowę wystawy, zjechałem na dół i natychmiast poszedłem do kiosku, by kupić „Gazetę”. Siadając z nią przed parującą filiżanką kopa w ogródku kawiarnianym przy parku, przerzuciłem na drugą stronę i znalazłem tytuł *Demon na wolności*. Szybko przeczytałem artykuł, lecz nie znalazłem wiele ponad to, co powiedziała mi sprzątaczką. „Od kiedy to Nadolny przyznaje się do swoich błędów?” - zastanawiałem się. W przeszłości takie incydenty utrzymywano by w tajemnicy. Musiałem spróbować go o to wypytać przy najbliższej okazji.

Kop dobrze mi zrobił, więc zamówiłem kolejną filiżankę. Siedziałem, myśląc o tym, że przydałby mi się jakiś sojusznik, ale komu mogłem zaufać? Jediną spotkaną od chwili mego powrotu osobą, która wydawała się całkiem szczerą, była sprzątaczką. Kiedy o niej pomyślałem, przypomniały mi się jej słowa o tym, że demon może ukrywać się pod ziemią. Uderzyła mnie

wówczas myśl, że nie tylko demon, ale prawdopodobnie także budowa wystawy ukryta jest pod powierzchnią Miasta.

Pamiętałem z czasów studenckich, że kiedy musiałem przemierzyć całe Miasto, by wziąć udział w odczycie lub odebrać pilne sprawozdania z ministerstwa edukacji, podróżowałem pod ziemią, by uniknąć tłoku na ulicach. Gdy kładziono fundamenty pod budowę metropolii, Nadolny błyskotliwie zaprojektował rozległą sieć podziemnych pasaży, tuneli i katakumb, które sam wykorzystywał do dyskretnego przemieszczania się z miejsca na miejsce. „Zaskoczenie jest kwintesencją mego życia, Cley” - powiedział mi kiedyś, odnosząc się właśnie do tej sieci. Urzędnicy mieli prawo z niej korzystać, lecz czynili to rzadko, nie chcąc, by Mistrz ich tam zobaczył i zaczął podejrzewać, że coś knują.

„Pod powierzchnią” - mruknąłem do siebie, mając ochotę natychmiast tam zejść i przeprowadzić śledztwo. Zamiast tego jednak, ukrywając głęboko swoje domysły, wstałem i wręczyłem zaproszenia osobom obecnym w kafejce. Podziękowały mi żałośnie słabymi głosami. Widziałem, że są przerażone, musiałem jednak zachować surową twarz, spisując ich nazwiska.

Wracając do biura, by odbyć sesję, przeszedłem przez promenadę, na której poprzedniego dnia oglądałem walkę Calloo ze szponiastym rywalem. Teraz odbywała się tam kolejna walka i tym razem widzów było znacznie więcej. Nadole przechodziły z rąk do rąk, a widownia gromko domagała się rozrzucenia po ringu śrubek i kół zębanych. Na szczęście nie znałem żadnego z uczestników.

Podszedłem do żołnierza stojącego za plecami zebranych z miotaczem płomieni w ręku. Jeden ze zautomatyzowanych gladiatorów właśnie stracił głowę w wyniku ciosu toporem.

- Co robią z tymi, którzy zostają pokonani lub się psują? - zapytałem.

- Nie pański interes - odburknął.

- Czyżby? - zapytałem słodko. - Wie pan, kim jestem?

- Jeśli pan stąd nie odejdzie - odparł - za dwie sekundy zostanie pan doszczętnie spalony i nikt już pana nie rozpozna.

Wręczyłem mu zaproszenie. Natychmiast zrozumiał ogrom swego błędu. - Ekscelencjo...

- Porozmawiamy o tym po południu w moim biurze - powiedziałem. - Nawiasem mówiąc, czy ktoś kiedyś badał pańskie czoło? - zapytałem, kręcąc głową i mamrocząc zrzędliwie.

- Po stokroć przepraszam, ekscelencjo - rzekł. - Pokonanych zabiera się do wielkiego magazynu za fabryką amunicji. Jeśli nie można ich naprawić, wyciąga się części mosiężne i

cynkowe, a resztę pali. A jeśli nadają się do naprawy, wymienia się zepsute elementy i wysyła na kolejną walkę.

Wyjąłem mu zaproszenie z dłoni.

- Bardzo mi pan pomógł - powiedziałem.

- Witamy w Mieście! - zawołał za mną, gdy odchodziłem.

Popołudnie spędziłem w swoim biurze, odczytując twarze tych, których zaprosiłem. Byli to zwykli obywatele. Nie kazałem im się rozbierać. Bawiłem się tylko mackami i imadłem wargowym, od czasu do czasu robiąc jakąś zmyśloną notatkę czy dwie, tak jak to czyniłem w Anamasobii. Niezależnie od tego, jak bardzo niedoskonali okazywali się w świetle fizjonomiki, wychwalałem ich rysy i zachęcałem do mówienia. Początkowo byli ostrożni, bo nie przywykli do tego, by tak ważny urzędnik państwowy zachowywał się wobec nich tak przyjacielsko. Gdy jednak dochodzili do wniosku, że nie zrobię im krzywdy, otwierali się i opowiadali mi wszystko - o swoich dzieciach, pracy, obawach związanych z demonem. Kiwałem głową i słuchałem uważnie, choć świerbiło mnie, by zażyć dawkę piękna.

Ostatni z pacjentów, młody ogrodnik, którego głównym zadaniem było dbanie o krzewy tiliaru w parku, wspominał o czymś, co mnie zaciekawiło. Słyszał, że byłem na rubieżach, i bardzo chciał się ze mną podzielić informacją, że on także tam był.

- Wysłano mnie do dzikiej krainy położonej za granicą rubieży w miesiąc po tym, jak Mistrz powrócił ze swej wyprawy, i w kilka tygodni po pańskim niesprawiedliwym skazaniu - rzekł.

- A to ciekawe - powiedziałem.

- Mistrz polecił mi przywieźć różne gatunki roślin i drzew - kontynuował chłopak. - Zebraliśmy ich mnóstwo. To było ogromne przedsięwzięcie.

- I co z nimi zrobiliście? - zapytałem.

- To właśnie najdziwniejsze - odparł. - Przywieźliśmy je do Miasta, po czym kazano nam je zawieźć do zachodniej dzielnicy i złożyć w pobliżu wodociągów i oczyszczalni ścieków. Zostawiliśmy je na środku ulicy. Prawie zablokowały całą wielką arterię. Potem odesłano mnie z powrotem do pielęgnowania tiliarów. Następnego dnia, po pracy, poszedłem sprawdzić, co zrobiono z tamtymi roślinami, ale wszystkie znikły.

Chciał mi jeszcze opowiedzieć o swojej narzeczonej i planach na przyszłość, ale ja czułem już silne dreszcze i rozpaczliwie potrzebowałem działki piękna. Odprowadziłem wciąż gadającego gościa do drzwi, zapewniając go, że jest niezmiernie przydatny państwu, i życząc

szczęścia w małżeństwie. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, pospiesznie zamknąłem drzwi i rzuciłem się do biurka, by przygotować strzykawkę. Lata praktyki dały mi taką wprawę, że nie minęły nawet trzy minuty, nim igła utkwiała w mojej szyi.

Piękno zdawało się rozumieć, że skoro raz potrafiłem się od niego odzwycząić, mogę to zrobić ponownie, bo nie traktowało mnie tak surowo jak przed uwięzieniem. Nadal miałem halucynacje, ale nie tak potężne, a przemożne uczucie paranoi ustąpiło miejsca długim okresom głębokiej zadumy. Tego popołudnia dumałem o uratowaniu Calloo z jego mechanicznego, chodzącego grobu i zwerbowaniu go do pomocy. Potem obserwowałem przez okno iluzję Miasta topniejącego w czarnym deszczu padającym mimo świeżącego jaskrawo słońca.

Wiedziałem, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, ale marzyłem dalej - tym razem o Arli. Wyobrażałem sobie, jak ją oswobadzam, a ona mi przebacza i zakochuje się w moim nowym ja. To wydawało się tak proste, tak absolutnie konieczne. Objąłem ją i już miałem pocałować, gdy rozległo się pukanie do drzwi, tak niespodziewane, że nieomal spadłem z krzesła.

- Przesyłka dla fizjonomisty Cleya! - zawołał jakiś głos.

Wstałem i podszedłem chwiejnie do drzwi, walcząc z zawrotami głowy. Uchyliłem je tylko na tyle, by tamten zdołał wsunąć pakunek, po czym natychmiast zamknąłem.

- Dziękuję! - zawołałem, lecz nie otrzymałem odpowiedzi.

Paczuszka była owinięta w brązowy papier i związana sznurkiem. Nie było na niej mojego nazwiska ani adresu nadawcy. Położyłem ją na biurku i przez jakiś czas po prostu siedziałem i wpatrywałem się w nią. W końcu, gdy działanie piękna już niemal ustąpiło, otworzyłem. Pierwszą rzeczą, jaką wyjąłem ze środka, był liścik napisany ręką Mistrza.

Cley,

posyłam obiecany Ci wczoraj wieczorem róg demona. Staraj się trzymać z daleka od tych, które ciągle tkwią na głowie. Jeśli nie zdołasz, dołączyłem coś, co pomoże Ci się ochronić. Nie wychodź nocą, dopóki kryzys nie zostanie zażegnany.

Drachton Nadolny, Głowa Państwa

W paczce znalazłem twardy, czarny róg. Trzymając go w ręku, uświadomiłem sobie, że z tą wagą i ostrym czubkiem może stanowić dobrą broń. Pod nim jednak, owinięte w bibułę, znalazłem coś daleko bardziej skutecznego: swój stary pistolet. Był naładowany i dodano do niego pudełko z kulami. Kiedy wieczorem włożyłem płaszcz i wyszedłem z biura, miałem ze sobą pistolet, róg i skalpel - każdy w innej kieszeni. Żadna z tych rzeczy nie była miotaczem ognia, ale mimo wszystko czułem się nieco bezpieczniejszy, wychodząc na ulicę pod rozgwieżdżonym niebem.

Z pewną dozą pewności siebie przemieszczałem się w tłumie powracających do domu robotników. Gdy mnie rozpoznawali, reagowali owym osobliwym, jednopalcowym pozdrowieniem. Na ten widok uśmiechałem się i unosiłem środkowy palec w geście solidarności. Ku memu rozgniewaniu nie odpowiadali uśmiechem, lecz opuszczali wzrok i oddalali się z niesmakiem na twarzach. Żałowałem wtedy, że nie jestem jednym z nich, anonimową twarzą w tłumie, i nie wiodę tak zwyczajnego życia jak ogrodnik i jego narzeczona.

24.

Nim dotarłem do fabryki amunicji, ulice zupełnie opustoszały. Była to jedna ze starszych części Miasta i nie miała ani lamp gazowych na każdym rogu, ani świecących szyldów sklepowych, bo po prostu nie było tam sklepów. Była to dzielnica produkcyjna, w której pomysły Mistrza przybierały fizyczny kształt, odlany z mosiądzu i cynku. Od ponad trzydziestu pięciu lat nie prowadziliśmy żadnej wojny, lecz fabryka amunicji pracowała na trzy zmiany. Znalezienie miejsca do składowania tych wszystkich rakiet i pocisków było nie lada wyczynem ze strony Mistrza. Przechodząc obok, słyszałem, jak maszyny wykuwają łuski, i widziałem w oknach słabe światło, przywodzące na myśl zmierzch.

Dwie przecznice za fabryką znalazłem magazyn mogący być tym, o którym wspomniał żołnierz na promenadzie. Nie miał okien i ciągnął się niemal do następnej przecznicy, a w głąb sięgał tak daleko, że nie widziałem końca. Wejście stanowiły dwuskrzydłowe drewniane drzwi połączone luźnym łańcuchem. Bez trudu prześliznąłem się przez szczelinę między nimi, po czym, wyjąwszy kaganek i pistolet, ruszyłem w głąb ciemnej jamy.

Z trudem dostrzegałem niezliczone rzędy wielkich kolebek stojących wzdłuż przejścia. Obok nich przesuwaly się tacki z narzędziami, mechanizmami i kablami. Mój kaganek na moment zgasł i przez chwilę się męczyłem, nim udało mi się uruchomić go na nowo. Gdy znów zapłonął, uniosłem światło nad jedną z kolebek i zobaczyłem półludzką, cielesno-metalową istotę, częściowo otwartą i całkowicie uśpioną.

Ponad godzinę zabrało mnie zlustrowanie wszystkich twarzy w poszukiwaniu Calloo, ale w końcu go znalazłem. Wyglądało na to, że połatano go od czasu zawodów na promenadzie.

Prezentował się teraz znacznie lepiej. Blizny, które wcześniej zauważyłem na jego szyi i piersi, były mniejsze, a ręce sprawiały wrażenie równie potężnych jak w czasach rubieży. Przybliżyłem kaganek do jego otwartych oczu, by sprawdzić, czy dostrzegę w nich jakiś ruch. Początkowo nic nie widziałem, potem jednak - niemal przypaliłem mu rzęsy, by to zobaczyć - źrenice się zwężyły, a gałki oczne zaczęły się szybko, choć leciutko, poruszać na boki.

Pięć minut później mięśnie na całym jego ciele poczęły drgać. Właśnie wtedy kaganek zgasł na dobre. W ciemnościach słyszałem, jak Calloo kręci się i trzęsie w swej kolebce. Niemał uciekłem w obawie, że ktoś może to usłyszeć, ale nagle ruch ustał i zaległa cisza.

- Calloo - szepnąłem.

Nie odpowiedział. Próbowałem rozpałcić lampę, ale nie dałem rady. Wielokrotnie powtórzyłem jego imię.

- To ja, Cley - szeptałem.

Im dłużej jednak stałem w mroku, tym większa ogarniała mnie trwoga. Gdy usłyszałem jego głos, podskoczyłem jak na sprężynie. Brzmiał tak potwornie, że zacząłem na oślep wycofywać się wzdłuż rzędu kolebek, uderzając o ich rogi i wpadając na tacki z narzędziami. Rozpaczliwie szukałem wyjścia, słysząc za plecami jego głos, wywrzaskujący słowo, które wcześniej wyszeptał:

- Raj! - rozbrzmiewało echem w całym magazynie. Słyszałem, jak inne wynalazki Mistrza zaczynają się poruszać.

W końcu odnalazłem szczelinę między drzwiami i wysliznąłem się na zewnątrz. Pierwszym, co zrobiłem po wydostaniu się, było rzucenie tym przeklętym kagankiem na drugą stronę ulicy. Potem ruszyłem szybko, z trudem łapiąc oddech. W zdenerwowaniu skręciłem w złą ulicę i minąłem trzy przecznice, nim się zorientowałem, że nigdzie nie widać fabryki amunicji.

Musiałem się cofnąć, ale do tej pory zdążyłem się już całkiem zagubić. Choć zmieniałem kierunek i zdecydowanym krokiem parłem naprzód, czułem w żołądku przykry ucisk, który mówił, że idę dokładnie w przeciwną stronę. Wydawało mi się, że dostrzegam przed sobą światła centrum Miasta, ale nie miałem pewności.

Chodziłem tak niemal przez całą noc, aż wreszcie trafiłem na bar ze świecącym szyldem na rogu ciemnej ulicy. Przez otwarte okno dobiegał głos rozmów i muzyki. Odczułem taką ulgę, że nie dbając o to, czy zostanę rozpoznany po godzinach w niezbyt przyzwoitym lokalu, wszedłem, podszedłem do baru i zamówiłem płatek róży, za pomocą którego pragnąłem wymazać z pamięci

wszystkie te kpiny z natury wierzące się i piszczące w swej prymitywnej elektromechanicznej świadomości.

Kilka osób zamachało do mnie, a ja im odmachnąłem. Powoli sączyłem drinka, próbując się rozluźnić. Barman zapytał, czy mieszkam w dzielnicy fabrycznej. Powiedziałem, że pochodzę z centrum.

- Tak myślałem - odparł. - Pan jest Cley, prawda?
- Fizjonomista Klasy Pierwszej - uściśliłem, pociągając duży łyk drinka.
- Czytałem o panu - kontynuował. - Był pan na rubieżach.

Skinąłem głową.

- Podobno za nimi znajduje się raj - dodał.

- Tak - odparłem.

- Słyszałem też, że kobiety w lasach latrobiańskich mają po trzy cycki - mówił dalej ze śmiechem.

- Tam też byłem - odrzekłem - ale tej informacji nie mogę ani potwierdzić, ani zdementować.

Spodobala mu się moja odpowiedź, więc postawił mi drugiego drinka na koszt firmy. Potem musiał odejść, by obsłużyć innych klientów, ja zaś zagapiłem się w lustro za barem.

Potrzebowałem solidnego ukojenia. Gdy jednak byłem przy trzecim drinku, do baru wpadła jakaś kobieta z krzykiem:

- Demon, demon!

Barman podbiegł do niej i usiłował ją uspokoić.

- Demon tu idzie! - powiedziała.

Ku mojemu zdziwieniu, większość klientów była uzbrojona. Posiadanie broni przez robotników było w imperium surowo zakazane; gdy jednak zobaczyłem, jak dobywają broni, sam także wyciągnąłem swój pistolet i ruszyłem za nimi na ulicę. Instynktownie utworzyliśmy dwa szeregi, jeden kłęczący, drugi stojący. Ja znalazłem się pośrodku pierwszego rzędu. Przed sobą widzieliśmy cień nadciągającego stworzenia.

- Nie strzelać - odezwał się barman, który stał na lewo od nas, popijając z butelki dwudziestopięcioletniego schrimleya. - Czekaście, aż znajdzie się tak blisko, że wszyscy będziemy mogli go trafić.

Stwór tymczasem zbliżał się metodycznie, jakby nie miał pojęcia, że tam jesteśmy. Nim zobaczyłem jego twarz, słyszałem dźwięk ukrytej wewnątrz maszyny. To był Calloo. Przyszedł

tu za mną. Z bólem serca wspominając przysługę, którą on niegdyś wyświadczył Bataldo, wycelowałem w jego czoło. Barman uniósł rękę w powietrze i zakomenderował:

- Teraz!

Gdy wystrzeliliśmy, znajdował się w odległości najwyżej dziesięciu jardów od nas. Uderzenie odepchnęło go o trzy kroki w tył, ale nie upadł. Stęknął, jakby nasza salwa jedynie obudziła go z drzemki, po czym znów ruszył do przodu.

- Przeładować! - wrzasnął barman.

Wtedy ja wstałem i kazałem wszystkim wstrzymać ogień.

- To nie demon - powiedziałem.

- A co? - wrzasnął któryś.

- Człowiek, który szuka raju - powiedziałem.

Wtedy oni opuścili broń, a Calloo podszedł i stanął obok mnie. W jego wyprodukowanym przez Miasto kombinezonie naliczyłem około dwudziestu dziur, a pierś i ręce były podziurawione, choć nie krwawiły. Twarz pozostała nietknięta.

Klienci baru podeszli i potrząsali jego bezwładną dłońią.

- Przepraszamy - mówili, a Calloo chwiał się i stękał. Nim ruszyliśmy w stronę centrum, dałem barmanowi róg demona podarowany mi przez Nadolnego.

- Proszę go zetrzeć na proszek i dać każdemu porcję do wdychania.

Podał mi swoją butelkę. Wypiłem łyk i podałem ją Calloo.

- To nie jest do wdychania - rzekł barman - tylko do wstrzykiwania.

W barze było dość głośno, więc nie miałem pewności, czy powiedział „wstrzykiwania”, czy „wystrzelania”. Może chodziło mu o to, że wszystkie demony należy powystrzelać. Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo Calloo poruszał się powoli, a ja musiałem go doprowadzić do swego mieszkania, nim wszędzie słońce i na ulice wylegną robotnicy.

To dziwaczne, ale jedyną osobą, jaką minęliśmy w drodze, okazała się znajoma sprzątaczką z centrum. Uśmiechnęła się i pomachała mi, a ja odpowiedziałem tym samym.

- Wcześniej pan wstał, ekscelencjo - powiedziała i pozdrowiła mnie specyficznym gestem, układając kciuk i palec środkowy lewej ręki w kształt litery „o”. Odwzajemniłem gest. Calloo także próbował.

Po tym spotkaniu zacząłem go poganiać, żeby szedł nieco szybciej. Dotarliśmy do mieszkania na krótko przed tym, jak na ulice wysypali się robotnicy. Zaprowadziłem go do swojej sypialni i położyłem na łóżku.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

Nie odpowiedział, ale zamrugał.

- Muszę iść do pracy - powiedziałem. - Rozumiesz? Znów zamrugał.

- Jeśli ktokolwiek podejdzie pod drzwi, schowaj się w szafie. Jeśli cię znajdą, zabij ich. Rozumiesz? - zapytałem.

Zamrugał.

Gdy przygotowywałem nowe zaproszenia, zauważyłem, że Calloo mruga dość często, i zastanawiałem się, czy rzeczywiście zrozumiał moje polecenia. Ubrałem się, zabrałem pistolet i właśnie wkładałem płaszcz, gdy rozległo się pukanie.

- Kto tam? - zawołałem.

- Mistrz pana wzywa - odpowiedział jakiś głos. - Powóz czeka.

Zerknąłem do sypialni i zobaczyłem, że Calloo nie ruszył się z łóżka.

- Do szafy! - rozkazałem.

- Raj - wymamrotał, lecz nie podniósł się.

Wyszedłem z woźnicą. Zdawało mi się, że upłynęło zaledwie kilka minut, a już byłem w windzie jadącej do biura Mistrza. Idąc wzdłuż korytarza ozdobionego przez zahartowanych bohaterów, gorączkowo obmyślałem usprawiedliwienia i kłamstwa, ale gdy pchnąłem drzwi, wszystkie pomysły wymieszały mi się i skasowały wzajemnie. Stałem przed jego obliczem z pustką w głowie. On zaś siedział z łokciem opartym na stole i dłonią na czole. Twarz miał bardziej posępną niż Calloo.

- Usiądź, Cley - powiedział, wskazując mi krzesło. Zaległa długa chwila ciszy. Mistrz siedział z zamkniętymi oczyma.

- Słyszałeś o demonie? - zapytał wreszcie.

- Tak - odparłem. Roześmiał się.

- Prawda - powiedział. - Przecież posłałem ci liścik.

- Złapano go? - zapytałem.

- Złapano? - powtórzył. - To ja go wypuściłem. Uświadomiłem sobie, że przeprowadzenie zmiany wymaga pewnej przypadkowości, więc posłałem go na Miasto. Jest twoją konkurencją.

Ty metodycznie wybierasz niedoskonałych w celu ich eliminacji, on likwiduje ich natychmiast. Prawda, że jestem wielki?

- Doskonały - odparłem. - Tak przy okazji, doceniam pańskie prezenty.

Machnął ręką i pokręcił głową.

- Wezwałem cię tu po to, żeby porozmawiać o bólach głowy, które mnie nawiedzają, odkąd zjadłem to białe świństwo z dziczy. Niech mnie diabli, popełniłem błąd. Bóle brzucha i te cholerne migreny!

- Trochę się znam na chemii - powiedziałem. - Jakie składniki znaleźli w owocu pańscy badacze?

- Któż to wie? - mruknął.

- Czy mógłby pan opisać swoje bóle? - zapytałem.

- Czuję się, jakby ktoś ścisnął mi mózg pięścią - rzekł. - Emanuje stamtąd energia. Nigdy przedtem Dobrze Skonstruowane Miasto z mojej wyobraźni nie było tak nierozzerwalnie związane z fizycznym Miastem, w którym teraz mieszkamy. Przez te ataki trudno mi odróżnić jedno od drugiego.

- Nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie - przyznałem.

- A jak tam twoja misja? - zapytał.

- Wczoraj po południu przebadałem grupę i wytypowałem już kilku uczestników na festyn w Parku Pamięci.

- Doskonale - powiedział i znów złapał się za głowę. Długo się nie odzywał, więc w końcu wstałem i chciałem wyjść. Gdy szedłem ku drzwiom, zatrzymał mnie jego głos. - Cley - rzekł, nie podnosząc głowy - tylko pamiętaj, nie ubrudź tej swojej skórzanej rękawicy. - Po tych słowach próbował zachichotać, ale szybko umilkł i skrzywił się z bólu.

Gdy dotarłem do biura, było już południe. Ledwie zdążyłem wysłać przez umyślnego kilka zaproszeń, które poleciłem dostarczyć ministrowi skarbu i wszystkim członkom jego rodziny.

Czułem głód piękna, lecz zamiast je zażyć, paliłem i gapiłem się przez okno, usiłując coś pojąć z gadaniny Mistrza o tym, jakoby demon miał być dla mnie konkurencją. Nadolny wyglądał bardzo kiepsko, co dla mnie było błogosławieństwem. Wiedziałem, że będę zmuszony podejmować coraz to śmielsze kroki, by dotrzeć tam, gdzie chciałem się znaleźć, a jego roztargnienie mogło mi tylko pomóc.

Potem przybył minister skarbu z rodziną.

Sam minister był ociężały i podczas badania pocił się jak mysz. Macki, promieniomierz czaszki - wykorzystałem każde narzędzie, jakie miałem w torbie. Podczas pracy wychwalałem jego rysy i przekonywałem ministra, że jest wyjątkowym człowiekiem, on zaś opowiadał o swoich osiągnięciach i o tym, jak ważną rolę pełni w państwie. Sumiennie odnotowałem w kajecie elegancję jego trzeciego podbródka i lekkim tonem zagadywałem go o skarby przywiezione z rubieży.

- Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji - odparł.

- Dobrze - pochwaliłem go. - Przeszedł pan próbę. Mistrz będzie zadowolony, że może na panu polegać w tym względzie.

Wyszedł z uśmiechem na ustach.

W przypadku jego trzech córek i ich matki nie musiałem się nawet zbytnio silić na pochwały, by je skłonić do mówienia. Ledwie się odezwałem, a już każda z osobna opowiadała mi, jak bardzo gardzi ministrem.

- Rozumiem, co pani ma na myśli - odpowiadałem. Małżonkę tak poniosło, że splunęła na podłogę. Dałem jej chusteczkę, która przydała się jeszcze dwukrotnie. Nawet najmłodsza córka, mała dziewczynka, wycelowała kciuki w podłogę, gdy spytałem o jej tatę. Zastanawiałem się, gdzie wśród tych wszystkich zwałów tłuszczu ukrywa się prawdziwy on. Kiedy opuszczali moje biuro, szli cicho, spokojnie, z ministrem na przodzie.

Wreszcie nadszedł czas na piękno. Podeszedłem do swego biurka i przygotowałem pełną dawkę. Wizje przetoczyły się przez moją głowę i gdy działanie ustąpiło, niewiele z nich pamiętałem: na moment pojawił się Moissac; był też Silencio, przykucnięty na parapecie, wygrzebujący kleszcze z sierści i zgniatający je w zębach. Słońce już zachodziło i musiałem natychmiast opuścić biuro. Planowałem udać się wraz z Calloo na małą ekspedycję.

25.

Nawet pod osłoną mroku trudno było pozostać niezauważonym, mając ze sobą Calloo. Ubrałem go w jeden ze swoich płaszczy, tak długi, że rękawy sięgały mu niemal do łokci, a spód do połowy ud. Ponadto włożyłem mu na głowę kapelusz z szerokim rondem i zawinąłem przód do dołu, by ukryć twarz. Szedłem przodem, lawirując między alejkami ku zachodniej stronie Miasta, a on włókł się za mną. Wiedziałem, że jakaś część w jego zagraconej mechanicznej głowie rozumie większość moich poleceń, bo gdy wróciłem z pracy, znalazłem go skulonego w sypialnianej szafie.

- Idziemy na spacer - powiedziałem.

Gdy przemykaliśmy w cieniu, nie potrafiłem się powstrzymać od opowiedzenia mu o wszystkim, co się ze mną działo od naszego poprzedniego spotkania. Nie wiedziałem, jaką rolę Calloo może odegrać w moich planach, ale nie martwiło mnie to. Niczego nie potrzebowałem bardziej niż współkonspiratora, sprzymierzeńca w moich knowaniach. Byłem wystarczająco uprzejmy, by nie wspominać o jego upiornym stanie, i odnosiłem wrażenie, że jest mi za to wdzięczny. Od czasu do czasu mamrotał coś swoim mechanicznym głosem i choć nie zawsze go rozumiałem, starałem się rzucić w odpowiedzi właściwy komentarz. Raz czy dwa wymówił moje imię, a wtedy ja obróciłem się i z uśmiechem poklepałem go po ramieniu.

Wiedziałem, że jego życie w tym stanie może dobiegać końca, bo mechanizmy chwilami tak trzeszczały i jęczały, jakby zaraz miał się rozpaść na kawałki. W pewnym momencie zatrzymał się i zaczął kołysać w przód i w tył, strzelając iskrami z oczu i wyrzucając kłęby dymu z otwartych ust. Po minucie czy dwóch wszystko wróciło do normy i ruszyliśmy dalej. Można

powiedzieć, że Calloo nie różnił się aż tak bardzo od ministra skarbu czy ministra bezpieczeństwa: jego prawdziwe ja także tkwiło zamknięte gdzieś głęboko. Jedyne, co go wyróżniało, to fakt, że nawet w swoim żalnym stanie kierował się głosem, który kazał mu poszukiwać raj.

Dobłą godzinę zabrało nam przemierzenie połowy drogi do oczyszczalni ścieków. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że przez cały dzień nic nie jadłem. Czułem lekkość w głowie i zaczęło mi się robić słabo. Wiedziałem, że powinienem coś zjeść, bo może przyjdzie mi tej nocy uciekać lub walczyć.

- Głodny? - zapytałem Calloo.

Wymamrotał coś, co przyjąłem jako potwierdzenie.

- Pójdziemy na główną ulicę, ale nie wolno ci z nikim rozmawiać ani na nikogo patrzeć, cokolwiek by się działo - powiedziałem.

Uniósł rękę, by podrapać się po brodzie. Kępka włosów oderwała się i pozostała na koniuszkach palców. Nie wiedziałem, czy to ma oznaczać, że mnie zrozumiał. Wyszliśmy z alejki na Bulwar Quigleya, jedną z mniej ruchliwych arterii Miasta. Wiedziałem, że jest tam kilka restauracji.

Wybrałem niewielki lokal, w którym sprzedawano na wynos gumele w cieście. Facet za barem okazał się bardzo gadatliwy i wścibski. Miałem pecha: rozpoznał mnie, podobnie jak tamten z baru, w którym piłem poprzedniej nocy. Przywitał mnie wylewnie i w oczekiwaniu na to, aż upiecze się kolejna partia pasztecików, wypytywał o rubież.

Calloo stał za mną, kręcąc się w miejscu i od czasu do czasu wydając dźwięki przywodzące na myśl automatyczną pompę, w której utkwiał kamień. Gdy mężczyzna zza lady odwrócił się ode mnie, by sprawdzić, co z ciastem, ja spojrzałem na Calloo. Potężny górnik przechodził właśnie jeden ze swoich ataków. W lokalu było niewielu klientów, pewnie z powodu obaw przed demonem, ale wszyscy obecni gapili się już na nas. Uśmiechnąłem się i pomachałem im. Gdy z ust Calloo zaczął wydobywać się dym, sięgnąłem do kieszeni płaszcza, wyjąłem papierosa, zapaliłem go i wetknąłem mu w kącik ust.

- Czy pański kolega dobrze się czuje? - zapytał barman, gdy znów obrócił się w naszą stronę.

- Wypił trochę za dużo płatków róży - wyjaśniłem. Barman skinął głową.

- Znam ten stan.

Na szczęście paszteciki właśnie się upiekły. Sprzedawca zapakował je dla nas. Potem zdarzyło się coś dziwnego. Gdy chciałem mu zapłacić, odmówił przyjęcia nadoli. Machnął tylko ręką, jakby mówił, że nie jestem mu nic winien, i wykonał ten sam znak, którym pozdrowiła mnie sprzątaczką: połączył kciuk ze środkowym palcem, tworząc „o”. Spojrzałem na niego zdumiony, on zaś przechylił się ku mnie przez ladę i szepnął:

- Do zobaczenia w Wenau.

Oszołomiony, odsunąłem się od lady i szybko ruszyłem ku drzwiom. Gdy już znalazłem się na zewnątrz, oparłem się o ścianę i próbowałem zrozumieć, skąd ten człowiek mógł wiedzieć cokolwiek o Wenau. Moją pierwszą myślą była oczywiście ta, że Mistrz wie o moich knowaniach i kpi sobie ze mnie. Potem jednak zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem w Mieście nie istnieje jakiś spisek. Nadolny wspominał coś o niezadowoleniu wśród ludności. Może to dlatego żołnierze nosili teraz wyrzutnie płomieni. Szybko przejrzałem w myślach tę oszałamiającą listę możliwości, po czym uświadomiłem sobie, że zostawiłem Calloo w restauracji.

Gdy się odwróciłem, by po niego wrócić, okazało się, że stoi za mną, żując zapalonego papierosa. Ostrożnie, by się nie poparzyć, wyjąłem mu go z ust i włożyłem w zamian gumela. Żuł dalej, trudno jednak było powiedzieć, że je. Pokruszone ciasto po prostu spadało na płaszc. Na ten widok niemal straciłem apetyt, ale dla dobra ekspedycji wmusiłem w siebie jeden pasztecik.

Przez resztę wędrówki przemawiałem do Calloo. Opowiedziałem mu o możliwości istnienia spisku przeciw Mistrzowi. Wydał dźwięk przypominający puszczenie bąka, co uznałem za znak, że jest równie podekscytowany tą perspektywą jak ja. Potem śmiało wyznałem swą miłość do Arli Beaton. Gdy jednak wyrwało mi się nazwisko burmistrza, wiedziałem, że przesadziłem. Idący za mną Calloo zatrzymał się na moment. Zdawało mi się, że słyszę stłumiony krzyk, i chciałem wierzyć, że jeśli się odwrócę, zobaczę oczy pełne łez, ale tylko zwolniłem i czekałem na niego.

Oczyszczalnię oddzielała od wodociągów szeroka aleja. Pierwszy z budynków był zbudowany z białego marmuru, z kolumnami i kopułą; drugi był szary i z grubsza przypominał ul. Wchodząc do niego, czułem się, jakbym wracał do kopalni na Doralicji. Powitał mnie dławiący odór i przyćmione światło. Nie było straży, ale to mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę to, czego miałyby strzec. Przeszliśmy przez hol i zeszliśmy po betonowych schodach. Na

pierwszym podziemnym poziomie znaleźliśmy rozległe jezioro ludzkich odchodów z przerzuconym pośrodku mostem.

Gdy przechodziliśmy na drugą stronę jeziora, Calloo zatkał sobie nos. Pod mostem turlały się ogromne, żółtobiałe kule tłuszczu. Pod powierzchnią coś się poruszało, mącąc brunatną wodę, a od czasu do czasu na powierzchnię wydostawał się bąbel, by natychmiast pęknąć.

- Raj! - zawołał do mnie Calloo.

Schodziliśmy betonowymi schodami, poziom po poziomie, podążając za wodą, która zmieniała się w wodospady i spływała do wielkich kałuż, by przechodzić w rwącą rzekę. Pokonywanie schodów trwało dość długo z powodu sztywnego chodu Calloo, ale olbrzym brnął zawzięcie, wspomagany moją zachętą. Najniższy poziom znajdował się chyba z pół mili pod powierzchnią. Zauważyłem, że woda, pędząca w szalonym tempie obok nas, wygląda tu na czyściejszą.

Po kilku kolejnych minutach dotarliśmy do miejsca, w którym tunel otwierał się na ogromną betonową jaskinię. O sto jardów od nas, pośrodku tej przestrzeni, znajdowała się kryształowa bańka o rozmiarach, które moja wyobraźnia z trudem była w stanie zaakceptować. Siedziała tam niczym olbrzymi ozdoby przycisk do papieru, a w jej wnętrzu widziałem rosnący las. Było tam błękitne niebo z miniaturowym słońcem i płynące chmury. Egzotyczne ptaki latały z drzewa na drzewo i zdawało mi się, że dostrzegam na południowym krańcu stado zielonych jeleni, przemieszczające się wśród wysokiej, pomarańczowej trawy, kołyszącej się w lekkiej bryzie.

W tej chwili wyraźniej niż w jakiegokolwiek innej rozumiałem, że Nadolny bawi się w Boga. Jego fizjonomiczne rysy wzbudzały we mnie niepokój, była w nie bowiem wpisana bezgraniczna duma, która - choć niewłaściwa u człowieka - u bóstwa, za które się uważał, byłaby całkiem na miejscu. To dlatego Mistrz nie miał żadnego problemu ze stosowaniem fizjonomiki jako złotego środka: gdy patrzył na siebie w lustrze, widział twarz idealną.

Szybko ocknąłem się z zadumy na widok żołnierzy z miotaczami rozstawionych wokół bańki. Byliśmy zbyt daleko od nich, by mogli nas wyraźnie zobaczyć. Schwyciłem Calloo i pociągnąłem w stronę ściany. Gdy tak staliśmy, zastanawiałem się, co dalej. Rozwahałem podejście do żołnierzy i powiedzenie im, że jestem tu oficjalnie, ale oni z pewnością poinformowaliby o tym Mistrza. Przez chwilę myślałem też o zaatakowaniu ich z pistoletem w dłoni, ale wiedziałem, że musiałbym działać szybko, a Calloo zostałby z tyłu. Potem już nie musiałem się o nic martwić, bo usłyszałem czyjeś kroki w tunelu.

Wyjąłem pistolet i skalpel, szepcząc do Calloo, by się przygotował. Wyteżyłem wzrok w półmroku, by zobaczyć, kto nadchodzi. Wtedy Calloo zrobił krok do przodu.

- Wybacz mi - szepnąłem, gdy demon wbijał mu w pierś oba rogi.

Wszystko stało się tak nagle, że upuściłem i skalpel, i pistolet. W bezruchu obserwowałem zmagania górnika z demonem, który szaleńczo walił skrzydłami, gdy Calloo ścisnął go za gardło i wyrwał jego rogi ze swej piersi. Potem chwycił ręką jeden z nich, zamknął go w wielkiej pięści i złamał, jakby to był sopel lodu. Demon wrzasnął i rozorał pazurami żyłę szyjną górnika, a raczej miejsce, gdzie ta powinna się znajdować. Olbrzym odpowiedział potężnym ciosem w twarz, który rzucił demonem o ścianę.

Słyszałem za plecami, jak żołnierze pędzą w naszą stronę. Schyliłem się, podniosłem swój pistolet i wycelowałem w głowę demona, który jednak owinął Calloo ogonem i tak nim zakręcił, że ten znalazł się na linii strzału. Kula utkwiała w czole górnika, rzucając go na ścianę, a z jego ust wystrzelił strumień maleńkich mosiężnych kółek. Wtedy demon rzucił się na mnie. Już niemal czułem, jak rozdziera mi twarz pazurami, ale w tym momencie Calloo skoczył mu na plecy, lądując pomiędzy skrzydłami i ściskając ramieniem szyję. Demon obrócił się, by go zrzucić, a jego ogon owinął się wokół moich kostek i zwałił mnie z nóg. Upadając na plecy, zdążyłem strzelić ponownie, tym razem w twarz demona.

Zdawało mi się, że upadam wieki. Wymachiwałem rękoma, próbując złapać równowagę, lecz nagle znalazłem się w wodzie i zrozumiałem, że wpadłem do rzeki. Mimo niezwykle silnego prądu udało mi się schwycić lewą ręką wystającą skałę. Przez jakąś minutę wisiałem tam, trzymając głowę ponad wodą, i słyszałem kroki nadbiegających żołnierzy. „Na zadek Harrowa!”, wołali, „Niech mnie drzwi ścisną!”. Zaraz potem w tunelu nad moją głową buchnął ogień. Słyszając wrzaski demona, puściłem skałkę i popłynąłem z prądem.

Ze wszystkich sił starałem się utrzymać głowę nad powierzchnią, ale niewiele mogłem zrobić, bo prąd był tak bystry, że rzucał mną o ściany i dno. Czułem, jak dosłownie zdziera ze mnie płaszcz. Gdy ten odpływał wśród piany, wziąłem ostatni głęboki oddech, po czym uderzyłem głową w wystającą skałkę i straciłem przytomność. Przyśniło mi się, że nie żyję i że kapral Matters z dziennej straży wrzuca moje ciało do grobu.

Nie widziałem nic prócz ciemności i czułem, jak zmieniam się w kryształ soli. Gdy wreszcie otworzyłem oczy, ujrzałem wyimaginowane błękitne niebo. Wiał ciepły wiatr, z oddali dobiegały krzyki ptactwa. Czułem wdzięczność, że śmierć nastąpiła tak bezboleśnie. Byłem zmęczony i tak

wymaglowany przez wodę, że bolały mnie wszystkie mięśnie. Leżałem w półśnie, spoglądając w niebo i myśląc: „Gdybym zawczasu wiedział, że tak to będzie...”.

Zdrzemnąłem się na minutę czy dwie, a gdy otworzyłem oczy, coś przesłaniało słońce. Przed oczyma załopotał mi strzęp zielonej tkaniny. Skupiwszy się, stwierdziłem, że to woalka, za którą kryje się twarz.

- Arla - powiedziałem.

- Tak - odparł znajomy głos.

- Kocham cię - wyznałem.

Odchyliła się do tyłu i widziałem teraz całe jej ciało. Klęczała przy mnie. Jej piękne dłonie pojawiły się w zasięgu mego wzroku niczym para ptaków na błękitnym firmamencie. Potem spoczęły na mojej szyi, a ich dotyk przyprawił mnie o dreszcz. Już miałem sięgnąć ku nim, gdy jej palce zacisnęły się na moim gardle.

26.

Gdy znów się zbudziłem, leżałem na ziemi przy ognisku, pod zieloną kopułą liści. Owiewała mnie ta sama ciepła bryza, niosąca słodkie aromaty kwitnących drzew i dzikiego kwiecia. Uniósłszy się na łokciu, zobaczyłem siedzącą w pewnej odległości Arłę z dzieckiem na ręku. Obok niej siedział na ziemi Podróżnik ze skrzyżowanymi nogami. Gdy zauważył, że nie śpię, powitał mnie uśmiechem. Nie umknęło mojej uwagi, że oprócz guzów i siniaków powstałych podczas przygody w rzece odczuwam teraz potworny ból gardła.

- Arlo, przyszedłem cię uratować - powiedziałem, siadając, lecz nagle zakręciło mi się w głowie i opadłem na plecy.

Oboje roześmiali się, gdy ponownie gramoliłem się z ziemi.

- Ciesz się, że w ogóle żyjesz - powiedziała Arla zimnym, beznamietnym tonem. Jej woalka poruszała się lekko przy każdym słowie, tak samo jak w moim śnie. - Zabiłabym cię, gdyby nie przyszedł Ea i nie kazał mi przestać.

- Gdzie ja jestem? - zapytałem.

- Jakimś cudem przedostałeś się przez rzekę do fałszywego raju. Znalazłam cię leżącego na brzegu - odparła.

- Arlo - powiedziałem, po czym umilkłem, usiłując wymyślić najlepszy sposób na przedstawienie swojej sprawy. Nim jednak zdołałem wymyślić coś, co nie byłoby zbyt trywialne, słowa wyskoczyły ze mnie z siłą rzeki, która omal mnie nie zatopiła. - Tak długo czekałem, by cię poprosić o przebaczenie za to, co ci zrobiłem. Bardzo cierpiałem, ale jakimś sposobem utrzymałem się przy życiu, by cię odnaleźć.

- Nie powinieneś być pozostawać przy życiu ze względu na mnie. Cóż takiego mam ci przebaczyć? To, że zmasakrowałeś mi twarz? To, że zrobiłeś ze mnie eksponat na wystawę? A może to, że jesteś nadętym bucem, przekonanym o własnej wyższości? - zapytała.

- Zmieniłem się - odparłem. - Byłem w kopalni siarki. Prowadzę potajemną walkę z Mistrzem, by uratować wasze życie - rzekłem.

- Czy mam ci przypomnieć, kim byłeś, nim wydarzył się ten cud? - zapytała i zaczęła unosić spód woalki.

Już miałem zakryć oczy, ale wtedy Podróżnik uniósł rękę i przemówił.

- Naprawdę dostrzegam w nim zmianę - rzekł do niej.

- Niestety, moja twarz nadal jest bronią - odparła. Podróżnik dotknął jej ramienia.

- Nawet to w końcu mu przebaczysz - powiedział spokojnie.

Arla pozwoliła mi mówić. Opowiedziałem im swoją żalosną sagę i wyjaśniłem, jak zrozumiałem poczynione przeze mnie zło.

- Teraz mogę jedynie próbować naprawić jego skutki - dodałem.

Zapytała mnie, co się stało z Calloo i Bataldo. Chciałem jej powiedzieć, że są wolni i zmierzają przez dziką krainę ku Wenau, ale ta zawoalowana twarz wymagała więcej prawdy niż jakiegokolwiek przeszywające oczy. Zapłakała, gdy jej opowiedziałem o losie jej ziomków.

- Nie mam wiele czasu na wydostanie nas z Miasta - mówiłem dalej. - Za kilka dni Mistrz poprosi mnie o listę mieszkańców, którzy mają zostać straceni podczas gali, na której planuje pokazać społeczeństwu tę rajską kulę. Jeśli nie zdążę do tego czasu, sam zostanę stracony, bo nie zamierzam przekazać mu żadnych nazwisk.

Podróżnik zapytał, co planuję.

Opowiedziałem mu, jakim sposobem znalazłem się wewnątrz bańki, i zasugerowałem, byśmy, choć to niebezpieczne, spróbowali wydostać się tą samą drogą.

- Nie - zaproponowała Arla. - Ea jest osłabiony z powodu życia pod tym sztucznym słońcem. Rzeka omal ciebie nie zabiła; on nigdy nie dałby rady się przeprawić, a jeśli nawet by zdołał, co z dzieckiem?

- A nie ma innej drogi? - zapytałem.

- Obudowali nas tą bańką dookoła. Jest hermetycznie zamknięta i teoretycznie stanowi odrębny świat. To cud, że się tu dostałeś. Nie sądziliśmy, że to możliwe - powiedziała.

- To jajko, z którego wkrótce ma się coś wykluć - rzekł Ea.

- Gdzie się nauczyłeś języka? - zapytałem go.

- Od niej - odparł, wskazując Arłę.

- On jest niesamowity, Cley - powiedziała. - Wyprzedza nas tak bardzo, że aż dziw, iż byłam w stanie go czegoś nauczyć.

- Pamiętam - zwróciłem się do niego - że nakarmiłeś Arłę kawałkiem białego owocu, nim opuściliście mój gabinet w Anamasobii.

- Tak - odparł. - To uratowało jej życie.

- Miałem nadzieję, że to wymaże skutki działania mojego skalpela - rzekłem do Arli.

- Nic ich nie wymaże - powiedziała.

- Ten owoc - dodał Podróżnik - nie zawsze czyni to, czego od niego oczekujesz. Ten mały kęs pomógł jej pozostać przy życiu, a także sprawił, że w pewnej mierze przestała pożądać władzy, którą ty kiedyś posiadałeś. Gdyby jednak zjadł go ktoś, kto nie jest tak niewinny jak ona, mógłby popaść w tarapaty.

- Czy to naprawdę rajski owoc? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Powoduje pozorne cuda, lecz działają one wbrew naturze. Zaciemniają obraz tego, co w życiu ważne. Tysiące lat temu owoc pojawił się w Wenau, gdzie żył mój lud. Zaczęto go jeść, co wywołało wiele koszmarnych zmian. Dobre rzeczy, które czynił, podstępnie pozbawiały ludzi prawdziwego życia. Złe rzeczy pozbawiały ich nadziei. W końcu starszyczna zrozumiała prawdę o nim i rozkazała spalić drzewo, na którym rósł. Ja miałem zabrać ostatni kawałek owocu i ukryć go w jakimś odległym i niedostępnym miejscu, by nigdy nie został znaleziony. Nie mogliśmy kompletnie go zniszczyć, gdyż był dziełem lasu, więc nie było nam wolno całkowicie usunąć go ze świata. Po znalezieniu takiego miejsca miałem zażyć mieszankę ziół i korzeni przygotowaną przez naszego szamana i zapaść w wieczny sen. Miałem strzec owocu i dopilnować, by nigdy więcej żadne stworzenie go nie ugryzło.

- Ale Garland ci go podał, a następnie ty podałeś kawałek Arli - zauważyłem.

Skinął głową z uśmiechem.

- Nawet bez tego w końcu obudziłbym się ze swego snu. Kiedy jednak ksiądz mnie nakarmił, spowodował pewną zmianę w mojej osobowości. Nie powinienem był podawać owocu Arli, ale gdy ją zobaczyłem w twoim gabinecie, poczułem, że mógłbym ją pokochać - rzekł. - Zmiana wywołana przez owoc sprawiła, że dostrzegałem jej urodę, choć tak bardzo różniła się od mego

ludu. W zamian za obietnicę miłości sprzeciwiłem się duchowym zasadom Wenau. Jestem przestępcą, zarówno tutaj, jak i w Zarubieżach.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

- To, że się kochamy - odparła Arla.

- Kochacie? - zapytałem. - W jakim sensie?

- W każdym - odparła i niemal słyszałem, jak uśmiecha się pod welonem.

Podróżnik ujął ją za rękę w taki sposób, jakby byli mężem i żoną, a mnie ogarnęła zazdrość. „Jak mogą się kochać? - myślałem, gapiąc się na nich. - Przecież są tak różni, jakby należeli do dwóch odmiennych gatunków!” Pokręciłem głową i do oczu napłynęły mi łzy, lecz gdy je otarłem i znów spojrzałem na parę, miałem wrażenie, że zaszła jakaś przemiana.

Zawsze traktowałem Podróżnika jako przedludzka istotę o dziwacznych rysach. Teraz wydał mi się równie ludzki jak każdy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Był wysoki i miał ciemną skórę, ale poza tym niczym się nie różnił. Szczerze mówiąc, gdy przyjrzałem się dokładniej, zauważyłem, że jego palce wcale nie są połączone pajęczyną, jak mi się wcześniej zdawało, i że nos jest prawdziwym nosem, a nie dwiema dziurkami w twarzy.

- Spójrz - rzekł Ea do Arli, puszcżając jej dłoń i wskazując na mnie. - On mnie widzi.

Otoczyła go ramieniem i przygarnęła mocno.

- Cley - powiedziała - jeśli zdołasz nas uratować, przebaczę ci. Po prostu pomóż mi wydostać go z powrotem na świat, nim umrze. Kocham go.

- Spróbuję - odparłem.

- Musisz wymyślić jakiś sposób na uwolnienie nas. Uderzaliśmy już w szkło kamieniami i kijami. Próbowaliśmy wykopać tunel pod bańką, ale ona sięga również pod ziemię. Ea przeszukał każdy jej cal, szukając jakiejś szczeliny, ale nic nie znalazł. Próbował też ucieczki poprzez sen, ale jest zbyt osłabiony.

- Lepiej już pójdę - powiedziałem, myśląc ponuro o perspektywie kolejnej przeprawy przez rzekę. - Musicie mnie zaprowadzić do miejsca, w którym rzeka opuszcza raj. Nie dam rady płynąć pod prąd.

- Pokażę ci - rzekł Ea, podnosząc się powoli. Wstałem, podszedłem do Arli i wyciągnąłem do niej rękę.

- Przepraszam - powiedziałem. Ona jednak nie podała mi ręki i siedziała w milczeniu, kołysząc dziecko. Woalka poruszyła się i sądziłem, że kobieta chce coś powiedzieć, ale okazało się, że to tylko wiatr. - Wrócę po was - dodałem.

Potem opuściliśmy obóz i szliśmy przez fałszywy raj. Dla Arli, jej dziecka i Podróżnika była to oczywiście atropa i więzienie, ale trzeba przyznać, że Nadolny stworzył rzecz niesamowitą. Gdybym wcześniej nie był na zewnątrz, nijak nie zdołałbym wpaść na to, że nie wędruję lasami prawdziwych Zarubieży. Wewnątrz kryształu uwięziono przeróżne zwierzęta, ptaki, nawet owady. Nie miałem pojęcia, jak stworzył słońce i chmury. Po raz pierwszy od trzydziestu pięciu lat znów zadałem sobie pytanie, dlaczego niebo jest niebieskie.

Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym rzeka przepływała pod kryształem, odwróciłem się do Ea i podałem mu rękę.

- Wypatrujcie mnie - powiedziałem.

- Przewidziałem twoje przyjscie w snach - odparł. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale wspólne milczenie okazało się dostatecznie wymowne. Podeszedłem do brzegu rzeki i zastanawiałem się, czy powinienem wskoczyć w rwący nurt, czy też wchodzić powoli. Wtedy poczułem na plecach rękę Ea, spychającą mnie. Natychmiast porwał mnie prąd. Tym razem jednak nie rzuciło mną na wszystkie strony. Zamiast tego wciąż czułem na plecach tę rękę, jakby mnie prowadziła.

Później - nie wiem, ile minęło czasu - prąd nagle ustąpił i zrozumiałem, że wpadłem do jakiegoś dużego zbiornika wodnego. Płynąc do brzegu, zobaczyłem biały, marmurowy sufit i stojące wzdłuż przejścia kolumny, i domyśliłem się, że znalazłem się w głównym zbiorniku wodociągów. Nie wiedziałem, jak to się stało, bo cała podróż przebiegała zbyt szybko. Dopłynąłem do brzegu i wydostałem się na chodnik.

Choć byłem przemoczony do nitki, a moje buty z każdym krokiem wyrzucały spomiędzy szwów maleńkie gejzery wody, dotarłem na ulicę, nim robotnicy przyszli do pracy. Gdy wybiegałem przez bramę i chowałem się w najbliższej skierowanej ku wschodowi alejce, słońce właśnie wschodziło. Biegając, drżałem i rozpacziałem nad tym, że po raz trzeci straciłem Calloo. Jeszcze trudniej było pogodzić się z tym, że moje marzenie o miłości Arli nigdy się nie ziści.

Gdy w końcu wdrapałem się po schodach do swego mieszkania, byłem kompletnie wyczerpany i - teraz, gdy adrenalina opadła - rozpaczliwie potrzebowałem piękna. Nim rozebrałem się do snu, przygotowałem dawkę i wstrzyknąłem sobie w nadgarstek. Obraz zaczął

mi się rozmywać przed oczami i miałem problemy z rozpięciem przemoczonych spodni. Na szczęście fioletowy specyfik rozgrzał mnie. Przede wszystkim jednak potrzebowałem kilku godzin snu. Opadłem na łóżko i natychmiast porwał mnie gorączkowy, narkotyczny sen, który rzucał mną niczym prąd rzeczny.

Widziałem Calloo i demona pogrążonych w morderczej walce, i strzały z miotaczy, które pogrzebały walczących za ścianą ognia. Potem widziałem już tylko ogień, płonący bez końca. Gdy nagle zgasł, z obu przeciwników nie pozostało nic z wyjątkiem czegoś, co wyglądało jak lśniąca kropelka wody i upadło na cementową ścieżkę z odgłosem przypominającym ten wydawany przez najwyższy klawisz pianina. Podeszedłem i podniosłem kropelkę. Okazała się zrobiona z kryształu.

Potem znalazłem się na zewnątrz, pod błękitnym niebem. W panującym tam świetle dostrzegłem, że wewnątrz kropelki coś się porusza. Uniosłem ją do oka i ujrzałem w środku miniaturowy las. Zawiał wiatr, jakby ktoś dmuchnął, a wtedy ja uniosłem głowę i zobaczyłem spoglądające na mnie poprzez niebo olbrzymie oko, które wyglądało, jakby znajdowało się za odległą kryształową ścianą.

Wszystko zadrżało, gwałtownie wrywając mnie ze snu. Było popołudnie. Podeszedłem do szafy, by się ubrać, z jakąś absurdalną nadzieją, że znajdę w środku skulonego Calloo, ale oczywiście nie znalazłem nic prócz ubrań. Jako że większość poprzedniej nocy spędziłem w wodzie, podarowałem sobie kąpiel. Ubrałem się, przygotowałem kilka zaproszeń na wieczór i wyszedłem, by je rozdać.

Najpierw zatrzymałem się w kawiarni, by kupić „Gazetę” i wypić dwie filiżanki kopa, które miały mi pomóc w pełni dojść do siebie. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: *Oczyszczalnia: demon zabił trzy osoby*. Dalej napisano, że demon zaatakował i zabił trzech uzbrojonych żołnierzy. Ani słowa o szczątkach Calloo ani o pływającym wśród ścieków płaszczu. Opowieść była lakoniczna i nie zawierała wielu szczegółów z wyjątkiem personaliów ofiar. Zastanawiałem się, czy to możliwe, by Calloo ocalał i błąkał się gdzieś z wystającymi spod skóry sprężynami. Z jakiegoś powodu ta upiorna myśl wywołała na mojej twarzy uśmiech. Rozsiadłem się wygodnie i piłem kopa, gdy nagle dostrzegłem na trzeciej stronie niewielką notkę, donoszącą, że minister skarbu skręcił kark wskutek nieszczęśliwego upadku z okna swej sypialni.

Rozdałem zaproszenia na targu, wręczając je na chybił trafił. Skończywszy, natychmiast wróciłem do biura w nadziei, że jeszcze kilka godzin sobie pośpię, nim pojawią się pierwsi

petenci. Ledwie się ułożyłem w fotelu, przybierając najmniej bolesną dla znękanego ciała pozycję, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołałem.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Mistrz. Gdy je za sobą zamykał, kątem oka dostrzegłem uzbrojonego żołnierza obejmującego wartę w korytarzu. Nadolny miał ze sobą torbę z brązowego papieru. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego. Ręce mu drżały. Zdjąłem nogi ze stołu i wyprostowałem się. Gość usiadł w fotelu naprzeciwko mnie, sięgnął do torby i wyjął dwa kubki kopa. Potem znów włożył rękę do środka, wydobyl świecący przedmiot i rzucił mi na biurko. Natychmiast rozpoznałem skalpel, który upuściłem w oczyszczalni, gdy demon zaatakował Calloo.

27.

Bez wahania chwyciłem za skalpel.

- Skąd pan go ma? - zapytałem. - Od lat takiego nie widziałem.

- To skalpel, Cley - burknął.

- Tak, ale Pierpointa. Ze starej szkoły - odparłem.

- A ty jakiego używasz? - zapytał.

- Janusa z dwoma końcówkami - odparłem. - Równiej tnij i łatwiej się nim kroi chrząstkę.

Przyznam jednak, że w rękach kogoś takiego jak Flock czy Muldabar Reiling te noże były bardzo skuteczne.

- Chcę, żebyś się dowiedział, do kogo to należało - rzekł, spoglądając na mnie sceptycznie.

Odłożyłem skalpel na biurko.

- Właśnie czekam na kolejną grupę pacjentów - powiedziałem. - Lista powoli się wydłuża.

Wytypowałem już pokaźne grono niegodziwców.

Skinął głową ze znużeniem.

- Cley - stęknął - nie mogę się pozbyć tych migren. Są coraz częstsze i mają coraz dziwniejsze skutki.

- To znaczy? - zapytałem.

- Moi lekarze sądzą, że spożywanie pewnych produktów może wywoływać lub wzmacniać te stany. Zabronili mi pić kopa, ale na zadek Harrowa, jak można przeżyć dzień bez kilku kubków, mając tak napięty plan jak ja?

- Może powinien pan poleżeć dzień lub dwa? - zasugerowałem.

- Nie masz pojęcia, co się dzieje. Wczoraj wieczorem w pewnym barze w dzielnicy fabrycznej moi żołnierze stoczyli regularną bitwę z klientami, gdy pojechali tam w poszukiwaniu zbiegłego gladiatora. Skąd ci robotnicy mają broń? W końcu moim ludziom udało się wysadzić bar. Zginęło dziesięć osób, resztę dobili w ruinach. Ale sprawy nie wyglądają dobrze. Wśród ludu panuje zaraza niewdzięczności, o jakiej nie miałem pojęcia. - Zamilkł na moment, kręcąc głową. Pod oczami miał ciemne półksiężyce. - Wszystko się rozlatuje - rzekł.

- Może jednak nie powinien pan pić tego kopa, którego pan przyniósł - powiedziałem, starając się brzmieć współczująco. Nadolny istotnie wyglądał dość żałośnie, ale jego wieści napawały mnie triumfem.

- Przeciwnie - odparł. - Przyniosłem go po to, by wypić w twojej obecności i pokazać ci, co robią ze mną te bóle głowy. Musisz mi pomóc, Cley. Nikomu nie ufam.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by panu ulżyć - zadeklarowałem.

Uśmiechnął się słabo, po czym wyciągnął rękę, podniósł jeden z kubków i zdjął pokrywkę. Uniósł płyn do ust i wypił w ciągu kilku sekund.

- To ten biały owoc. Potrzebuję czegoś, co odwróciłoby jego działanie - rzekł, odstawiając kubek na biurko.

- Na czym polega zmiana? - zapytałem.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. - Zaraz sam zobaczysz.

- Mówił pan, że zbiegł jakiś gladiator? - ciągnąłem go za język.

- Jeden z tych wraków, których używam do walk pokazowych - powiedział. - Nie sądzę, by stanowił duży problem, ale gdy się zbierze wszystko do kupy, widać, że dzieje się zbyt wiele nieprzewidzianych rzeczy.

- To musi być dla pana trudne - zauważyłem.

- To wielka samotność być Mistrzem - odparł, spoglądając w okno. - Z drugiej zaś strony nie mogę się poddać. Nawet jeśli będę musiał zabić wszystkich obywateli, nie odbiorą mi Miasta. Dobrze Skonstruowane Miasto jest moim życiem. To nie pusta retoryka: każdy cal koralu, każdy okruch kryształu zawiera jakieś wspomnienie, teorię, pomysł. Mój mentor, Scarfinati, nauczył mnie przeobrażać abstrakcyjne cienie w szczegółowe obrazy, ale ja go prześcignąłem, zmieniając obrazy w namacalną rzeczywistość. Te ulice, te budowle ucieleśniają historię mojego serca i umysłu.

Skinąłem głową.

Skrzywił się, ale niewidoczny ból nie powstrzymał go od kontynuowania opowieści.

- Moje kłopoty zaczęły się wtedy, gdy usiłowałem zmienić ludzi w cudowne równanie, którego sumą będzie ideał. Zamiast tego stali się wirusem, który psuje mi widok. Ich prostacka ignorancja niweluje moją złożoność. Potrzebuję porządku, który uzdrowi mechanizm mego geniuszu w taki sam sposób, w jaki fizjonomika zneutralizowała chaos abstrakcyjnej religii i chorobę wiary - Gdy skończył, spojrzał na mnie tak, jakby to wszystko było najzupełniej oczywiste.

- Pomogę panu - tylko tyle zdołałem powiedzieć, próbując za nim nadążyć.

- Wiem - odparł. - Właśnie po to sprowadziłem cię z powrotem. Gdy cię nie było, zrozumiałem, że jesteś jedyną osobą zdolną pojąć ogrom mojej wizji.

- Pański geniusz mnie olśniewa - rzekłem.

- Ktoś w którymś momencie zaczął rozpowszechniać niemądry pogląd, że Miasto oznacza ludzi, a nie wspaniałe konstrukcje, które je tworzą.

- Idiotyczne - przyznałem.

Pochylił się na fotelu i obiema rękami złapał za głowę. Jego twarz stała się maską cierpienia.

- Patrz - powiedział, kiwając się. Potem, jakby go spoliczkował niewidzialny napastnik, odrzuciło go na oparcie fotela. Powietrze w pokoju na moment stało się ciężkie i słychać w nim było ciche trzaski. I nagle szyba okienna wyleciała na zewnątrz z ogłuszającym hukiem.

Zerwałem się z fotela i przygnałem do ściany. Tymczasem Mistrz odjął dłonie od głowy i spojrzał na mnie z wątlym uśmiechem na bladej twarzy.

- Już koniec, Cley. Możesz usiąść. Usiadłem.

- Parę dni temu miałem w biurze tak silny atak, że to coś, cokolwiek to jest, rozwaliło głowę jednego z tych niebieskich posągów z rubieży, które stoją w holu. I jest coraz gorzej - powiedział.

- Musi pan odpoczywać, Mistrzu. Położyć się. Niech przez kilka dni pokierują Miastem ministrowie.

- Doceniam twoją troskę, Cley, ale te osły nie potrafiłyby nawet pokierować wozem w mur. Równie dobrze mógłbym przekazać władzę upośledzonemu dziecku - rzekł. - Nawet demon byłby lepszy.

- Cóż zatem mogę zrobić ja? - zapytałem.

- Dowiedz się, który z twoich przeświatnych kolegów po fachu używa takiego skalpela, i miej dla mnie czas, gdy cię potrzebuję - powiedział. - Potrzebuję twojej lojalności. Potrafię nad wszystkim zapanować, jeśli będę miał kogoś, z kim mógłbym konsultować swoje pomysły.

Gdy chciał wyjść, musiałem mu pomóc wstać. Kiedy prowadziłem go ku drzwiom, dotknął mojej dłoni, która trzymała go za łokieć.

- Dziękuję - powiedział. To słowo podziało na mnie mniej więcej tak, jak jego migrena na szybę.

- Przyślę kogoś, by naprawił ci okno - mruknął Mistrz ze śmiechem. Wyszedłszy na korytarz, wyprostował się dumnie. - W drogę, łajzy - rzekł do żołnierzy. Otoczyli go i cała gromada zeszła po schodach na ulicę.

Późnym popołudniem pospiesznie przebadałem zaproszonych, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej wrócić do domu i pójść spać. Czuję się tak, jak Mistrz wyglądał. Idąc pogrążonymi w mroku ulicami Miasta, myślałem o Nadolnym i w gruncie rzeczy mu współczułem. Wszędzie wokół mogłem podziwiać jego niezwykle twory: światła, iglice, tętniącą życiem metropolię. Wybudował wokół siebie kryształową kulę i teraz powoli uświadamiał sobie, że zamknął się w pułapce. Dla mnie taką kulą było wysokie stanowisko Fizjonomisty Klasy Pierwszej. Długo mnie chroniło, lecz także czyniło ślepy na całą resztę życia. Czuję, że wszystko wkrótce się zmieni, i to było niezwykle, lecz w pewnym sensie niosło ze sobą także smutek. Wiedziałem jednak, że jeśli przyjdzie mi odebrać życie Nadolnemu, by uratować Arłę, Ea i dziecko, zrobię to. Podobnie jak listkowiec Moissac, pozostawię po sobie ziarno - w postaci tej rodziny.

Część dwóch następnych poranków poświęciłem na przeglądanie dokumentów w piwnicy ministra informacji. Próbowałem znaleźć we wczesnych pismach Mistrza jakiś projekt kryształowej kuli. Choć wszystkie swoje wynalazki zapisywał w osobliwym systemie własnej pamięci, sporo zanotował także w formie stenograficznych wytycznych dla inżynierów. Nie wierzyłem, by coś tak genialnego jak fałszywy raj mogło być produktem chwilowego kaprysu. Nie znalazłem jednak nic, co przypominałoby bańkę z podziemi pod oczyszczalnią ścieków, choć były tam notatki dotyczące wielu egzotycznych wynalazków - takich, które zbudowano, i takich, które zapewne wciąż były w fazie produkcyjnej. To pisemne świadectwo genialnych pomysłów i rozważań Mistrza wywołało we mnie pewne przygnębienie, ale z drugiej strony myślałem o tym

jako o czymś, co jest niegodne człowieka. Odnosiłem wrażenie, że Nadolny nie potrafił się powstrzymać od poprawiania natury.

Wyglądało na to, że od bardzo dawna nikt nie zaglądał do tych papierów. Były poźółkłe i poukładane na chybił trafił, a kurz nie pokrywał ich, lecz walał się w kłębach na podłodze. Zauważyłem też, że w zatęchłej komorze, wśród rozsypujących się marzeń wielkiego Drachtona Nadolnego, zadomówił się jakiś gatunek owada. Gdy minęła poranna godzina szczytu i z zewnątrz nie dobiegały odgłosy kroków ani kół powozów, sześcionodzy intruzi rozpoczęli choralne cykanie, co rusz wytrącając mnie z równowagi. Ogólnie rzecz biorąc, niczego nie znalazłem.

Byłem zły, że straciłem dwa dni. Wprawdzie wykonywałem oficjalne obowiązki, a nocami jeździłem na przejażdżki powozem po całym Mieście w poszukiwaniu śladów Calloo, ale nic poza tym. Bardzo pragnąłem wrócić do Arli i Ea i oznajmić im, że wkrótce będą wolni, ale udawanie się tam bez dokładnego planu ucieczki było zbyt ryzykowne. Przyrzekłem im przecież, że następnym razem zabiorę ich ze sobą. Żałowałem, że nie mam więcej czasu, a ten uciekał w szalonym tempie. Pozostał niecały tydzień do dnia, w którym miano przeprowadzić egzekucję.

Następnego olśnienia dostarczyło mi piękno. Wieczorem owego dnia, w którym porzuciłem próby odnalezienia czegoś w ministerstwie informacji, jechałem przez Miasto, wyglądając przez okno i zaglądając w ciemne bramy zwężających się alejek. Kazałem woźnicy jechać powoli i wypatrywać dużego, zwalistego, powolnego mężczyzny.

W ciągu dnia nie miałem czasu zażyć piękna, więc głód dręczył mnie bardziej niż zwykle. W powozie zażyłem więc całą fiołkę i rozsiadłem się wygodnie, by oddać się rozmyślaniom. Okiem wyobraźni ujrzałem w oddali kryształową bańkę fałszywego rajy i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób ją skonstruowano. Arla mówiła, że postawiono ją wokół nich.

Jeśli nie została wydmuchana jak szklane miski, musiała zostać zbudowana po kawałku i zmontowana, co oznaczało, że gdzieś musi się znajdować spojenie. Nadal nie potrafiłem sobie wyobrazić planów jej budowy, ale w swojej wizji zobaczyłem, jakby z wielkiej odległości, pracujących przy niej ludzi, wyglądających niczym kolonia mrówek, która obsiadła jajko.

Uderzyłem w sufit powozu.

- Tak, ekscelencjo? - zapytał woźnica.

- Zawieź mnie na południową stronę parku, do posiadłości inżyniera Deemera - powiedziałem. - Wiesz, gdzie to jest?

- Tak jest, ekscelencjo - odparł.

Pierce Deemer był naczelnym inżynierem Mistrza przez cały okres budowy Dobrze Skonstruowanego Miasta. Niektórzy twierdzili, że dorównuje błyskotliwością Nadolnemu. Obecnie był już bardzo stary, ale nadal aktywnie udzielał się przy projektach municypalnych. Wiedziałem, że ma dzieci, a te dzieci mają swoje dzieci, i liczyłem na to, że mu na nich zależy.

Inżynier Deemer był silnym, ascetycznie zbudowanym mężczyzną o surowym obliczu i krótkich, siwych włosach. Pozwolił mi wejść, ale nie był zadowolony z mojej wizyty. Zaprosił mnie do swojej pracowni - małego, wygodnego pokoiku z deską kreślarską i regałami pełnymi książek. Był ważną figurą w Mieście, ale wiedziałem, że nawet jego wpływy nie są tak wielkie, by mogły mi przeszkodzić w zatrzymaniu i przebadaniu jego lub któregoś z członków rodziny. Bez owijania w bawełnę przeszedłem do sedna sprawy.

- Potrzebne mi pewne informacje - powiedziałem, siadając na jednym z pluszowych foteli przy biurku.

- Wszyscy potrzebują jakichś informacji - odparł pogardliwie.

Wyjąłem garść zaproszeń i rzuciłem je na biurko.

- Rozdaj je swoim wnukom - powiedziałem. - Mam nadzieję, że są ideałami fizjonomicznymi. Na pewno słyszałeś o tym, co Mistrz planuje urządzić w parku za kilka dni?

Przez chwilę gapił się na zaproszenia. W końcu skinął głową.

- Grozisz mi, Cley? - zapytał.

- Ich głowy rozprysną się jak winogrona - odparłem. - Wyobraź sobie tylko, jak wszystkie te twoje płowowłose bachory eksplodują ku chwale imperium. To będzie prawdziwy spektakl!

- Mistrz się o tym dowie - wycedził.

- W porządku - powiedziałem, wstając.

- Chwileczkę - zawołał, gdy byłem już w drzwiach. Odwróciłem się i podszedłem z powrotem do biurka.

- Jak skonstruowano kryształową kulę, w której znajduje się fałszywy raj? - zapytałem.

- Wiesz o niej? - zdziwił się. - To miała być tajemnica. Wyjąłem jeszcze jedno zaproszenie i rzuciłem na biurko.

- Przyślij do mnie także swoją żonę - powiedziałem.

- Nie konstruowano jej - rzekł wówczas. - Kryształ narasta. Mistrz wyhodował go w eliptycznej formie, zrobionej z wynalezionej przez niego substancji, która w miarę upływu czasu

przechodzi w czysty tlen. Roztwór wlano do formy, kryształ rósł, a forma w końcu się zdeintegrowała. To bardzo szybki proces - rzekł Deemer.

- Czy istnieją jakieś wejścia lub wyjścia? - zapytałem. Pokręcił głową.

- A można go rozbić?

- Testowaliśmy go za pomocą miotaczy ognia, kul, granatów ręcznych. Nawet go nie drasnęły. Ale dlaczego o to pytasz?

- Tajemnica - odparłem.

- Mistrz cię do tego upoważnił? - pytał dalej.

- Nie - odparłem. - Jeśli się dowie o mojej wizycie u ciebie, możesz być pewien, że twoje drzewo genealogiczne zostanie drastycznie przycięte.

- Jesteś jednym z nas, prawda? - zapytał, po czym uniósł dłoń i zrobił znak „o”.

Skinąłem głową i odpowiedziałem tym samym. Uśmiechnął się i odprowadził mnie do drzwi.

- Jeśli coś wymyślę, dam ci znać - obiecał.

Oddalając się od parku w swoim powozie, zastanawiałem się, czy powinienem był zdradzać Deemerowi swoje stanowisko. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że naprawdę należy do spisku, który zdawał się obejmować całe Miasto. „Ci nieznajomi sprzymierzeńcy mogą się okazać moją ostatnią deską ratunku” - pomyślałem. Ale w tym państwie prawie nic nie było takie, jakie się wydawało. W drodze do domu nadal przeszukiwałem ulice w poszukiwaniu jedynej osoby, której z całą pewnością mogłem zaufać - mechanicznego olbrzyma z ziarenkiem raju w głowie.

„To jajko, z którego wkrótce ma się coś wykluć” - powiedział o kryształowej kuli Podróżnik. Wyobrażałem sobie, jak uderzam w to jajko młotem, kopię w nie butem, przejeżdżam po nim kołem powozu i siedzę na nim jak kura, ale ono pozostaje niezłomne.

W końcu, po raz drugi tego wieczoru, poddałem się ukojeniu piękna. W mojej sypialni objawił się wówczas kapral Matters z dziennej straży, walący w kryształowe jajko laską z małpią główką. Gdy osiągnął stan niemal całkowitego wyczerpania, rzucił kośćmi na skraju mego łóżka i oznajmił:

- Zero.

28.

„Spisek jest prawdziwy” - powiedziałem sobie, gdy wyszedłszy na ulicę następnego ranka zobaczyłem, że Wierchołek Miasta... pozostał bez wierzchołka. Długa kolumna, wewnątrz której winda wjeżdżała do zwieńczonej kopułą restauracji, miała teraz poszarpany czubek. Po kopule nie pozostał nawet ślad, a z otwartego szybu unosił się dym. Zatrzymałem pierwszą przechodzącą osobę i zapytałem, co się stało.

- W nocy był wybuch - odrzekł mężczyzna. - Tu jeden, a drugi w ministerstwie bezpieczeństwa. Całe skrzydło wyleciało w powietrze.

- Kto to zrobił? - zapytałem.

- Mówią, że w Dobrze Skonstruowanym Mieście działają jakieś wrogie elementy - odparł.

Podziękowałem mu za informacje i pospieszyłem do kawiarni, by nabyć „Gazetę”. Nagłówek głosił: *Eksplozje w Mieście*. Podawano liczbę ofiar, która w obu przypadkach była znaczna, i donoszono, że Mistrz wyznaczył nagrodę w wysokości stu tysięcy nadoli za informacje mogące pomóc w schwytaniu terrorystów.

Sprawy toczyły się coraz szybciej. Ci od znaku „o” najwyraźniej nie czekali na moje ruchy. Przypuszczałem, że wiedzą o zbliżających się egzekucjach w Parku Pamięci i właśnie przeciwko nim kierują swoją akcją, albo że jest to odwet za niedawny atak na klientów baru.

Ledwie zdążyłem napocząć pierwszą filiżankę kopa, gdy przed kawiarnią zatrzymał się powóz, z którego wysiadł woźnica i podszedł do mnie.

- Ekscelencjo, za chwilę odbędzie się nadzwyczajne zebranie ministrów i Mistrz prosi, by pan wziął w nim udział - rzekł.

- W takim razie chodźmy - odparłem.

Zapłaciłem za kopa, wziąłem filiżankę i serwetkę i ruszyłem za nim do powozu.

Zebranie miało się odbyć w gabinecie Mistrza w ministerstwie dobrej woli. Jadąc przez Miasto, musieliśmy minąć ministerstwo bezpieczeństwa, miałem więc okazję przyjrzeć się następstwom niszczycielskiej eksplozji. Z całego zachodniego skrzydła pozostała jedynie kupa kamieni. Różowy koral pokruszył się jak czerstwy chleb. Spod gruzu wystawały ręce, nogi, rury i odłamki szyb. Żołnierze w mundurach formacji antyterrorystycznych patrolowali odcięty kordonem obszar. „Ci ludzie nie żartują” - pomyślałem.

Skręciliśmy za pozostałościami budynku i skierowaliśmy się do centrum, w stronę biura Mistrza. Po drodze dopiłem kopa, a gdy chciałem otrzeć usta serwetką, kątem oka dostrzegłem, że coś jest na niej napisane. Uniosłem serwetkę do ust - i rzeczywiście, po jednej stronie napisano piórem: *Cley, jajko łatwiej rozbić od środka niż z zewnątrz. Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, przyjdź dziś o ósmej wieczorem do „Dżdżownicy” w zachodniej części Miasta. P.D.*

Zmiałem serwetkę i nie omieszkałem wyrzucić jej do kosza przed wejściem do ministerstwa. Jadąc windą, zastanawiałem się, czy wiadomość istotnie pochodziła od Pierce'a Deemera, czy też był to wabik, który miał mnie zdemaskować. Pójście na to spotkanie było niezwykle ryzykowne, zwłaszcza w świetle ostatnich eksplozji, ale mimo wszystko nie mogłem przepuścić takiej okazji.

Idąc wzdłuż korytarza do gabinetu, z żalem spostrzegłem, że to głowa Ardena wybuchła w wyniku osobliwych dolegliwości Mistrza. Stał tam ze swoim lustrem, w tej samej pozycji co zawsze, tyle że teraz jego ciało kończyło się na wysokości ramion. Widok ów przypomniawszy mi Mantakisa i jego żonę, a ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślałem przed wejściem do gabinetu Mistrza, był widok tych dwojga splecionych ramionami w kałuży krwi w westybulu Hotelu de Skree.

Ministrowie stali półkolem przed biurkiem Mistrza.

- Myślałem, że to posiedzenie gabinetu - rzekł na mój widok Uciech Nadgrobny, minister bezpieczeństwa.

- Zamknij się - fuknął nań Nadolny.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałem do niego, a on tylko skinął głową i kazał mi zająć miejsce wśród zebranych.

Siedząc w swoim fotelu, wydawał się bardziej wymęczony i zmarnowany niż kiedykolwiek.

- Mamy do czynienia z kryzysem, moi panowie. Bez wątpienia wszyscy słyszeliście o eksplozjach, które tej nocy rozdarły moje Miasto.

Pokiwali głowami.

- Za tym stoi spisek - kontynuował Nadolny. - Żądam stanowczych działań. Jeśli jutro o tej porze nie przyniesiecie mi tu głów winowajców, wyrzucę was na zbity pysk. Zrozumiano?

Znów pokiwali.

- Minister Nadgrobnny - zazaądał Mistrz - wystąp! Nadgrobnny wyprężył się w wojskowym stylu, wystąpił naprzód i zasalutował.

Mistrz otworzył szufladę biurka i wyjął pistolet. Strzelił niemal bez celowania. Nadgrobnny padł jak ścięte drzewo prosto na dywan, z krwawą raną zamiast twarzy. Krew spryskała marynarki stojących obok ministrów.

- Jeden na dzień - rzekł Mistrz - dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Zauważyłem, że pod nogami nowego ministra sztuki zbiera się żółta kałuża. Inni też byli wyraźnie wstrząśnięci. Kiwali głowami, przytakiwali i wychwalali imperium. A potem już tylko stali, gapiąc się na Nadolnego, który na odmianę gapił się na nich.

- Do roboty! - wrzasnął i wystrzelił w sufit. - Zabierzcie ze sobą to łajno i zanieście na wysypisko - dodał, wskazując trupa Nadgrobnego.

Nigdy jeszcze biurokraci Dobrze Skonstruowanego Miasta nie poruszali się tak szybko. Gdy tylko wyszli, Mistrz wskazał mi krzesło. Przystawiłem je sobie, starając się nie wdepnąć w krzepnącą krew.

- Słyszałem o eksplozjach, Mistrzu - powiedziałem. - Kogo pan podejrzewa?

- Ja dokładnie wiem, kto to zrobił, Cley - odparł, chowając pistolet z powrotem do szuflady.

- Kto? - zapytałem.

- Ja - rzekł. - Przez całą noc nie spałem. Miałem potworne ataki migreny. Mówię ci, czymkolwiek jest to coś, co dostało się do mojego wnętrza wraz z owocem, posiada jakiś rodzaj świadomości. Zawzięło się, żeby zniszczyć moje Miasto. Z okna sypialni widać prawie całą zabudowę. Gdy zaczął się jeden z moich ataków, zobaczyłem oczami umysłu budynek, który z takim poświęceniem zaprojektowałem wiele lat temu. Wtedy zawładnął mną potworny ból, zmuszając do zamknięcia oczu. Usłyszałem wybuch. Gdy atak minął, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że budynek, o którym myślałem, leży w gruzach i płonie. O zniszczeniach

dokonanych we własnej rezydencji nie wspomnę. Mój osobisty sługa leży obecnie w sali balowej pałacu pod postacią miliona skrawków ciała.

- Czy jest jakaś nadzieja na wyleczenie? - zapytałem.

- Moi naukowcy pracują nad wywarem z liści drzewa, które wyrosło tam, gdzie zasiałem pestki owocu. Właśnie zaczęło kiełkować i mamy nadzieję, że jego soki mogą neutralizować skutki działania owocu. Ale surowica ciągle jeszcze nie jest gotowa.

- Dlaczego im pan powiedział, że istnieje spisek? - pytałem dalej.

- A co miałem powiedzieć? Że Mistrz systematycznie niszczy Miasto? - zachnął się.

Pokiwałem głową.

- On mnie zabija, Cley - rzekł po chwili. - Czuję, jak płynie w moich żyłach i prowadzi mnie ku upadkowi. Spisek jest we mnie. - Pokręcił głową z czymś, co wyglądało na autentyczny smutek. - Może pamiętasz, w ministerstwie bezpieczeństwa był pokój z blaszanym sufitem, w którym wytłoczono postać pelikana. Było to narzędzie mnemoniczne, pozwalające mi przypominać sobie twarz mojej siostry, która zmarła, gdy miałem dziesięć lat. Po wczorajszej nocy nie będę już mógł jej oglądać. W Mieście, które mam w głowie, ten pokój także uległ zniszczeniu.

I właśnie wtedy wstrząsnął nim kolejny atak.

- Znowu! - zawołał Mistrz, trzymając się za głowę. - Do okna, Cley. Ministerstwo edukacji. Uderzą od strony tylnego wejścia. - Ostatnie słowo przeszło w długotrwały jęk.

Patrzyłem przez okno, jak tył wspomnianego budynku w jednej chwili zmienia się w słup dymu. Odłamki kryształu i bloki koralu wyleciały w powietrze i spadły deszczem na ulice w dole. Jakby tego było mało, słyszałem, jak w korytarzu eksplodują głowy z błękitnej spiry, a regał po mojej lewej stronie pękł i rozpadł się, zasypując podłogę lawiną książek.

Odwróciłem się z powrotem do Mistrza, który oddychał ciężko, zlany potem.

- Już dobrze - rzekł słabym głosem. - Przygotujesz mi strzykawkę?

Przygotowałem dla niego dawkę piękna. Wziął ją ode mnie i wbił igłę w żyłę w lewej skroni. Wyjmując ją, westchnął z ulgą.

- Kochane piękno - mruknął. - Tylko ono uśmierza ból.

- Co jeszcze mogę dla pana zrobić? - zapytałem.

- Nic - odparł. - Po prostu musiałem opowiedzieć o wszystkim komuś, komu to leży na sercu. Miej oczy i uszy otwarte, Cley. Różne rzeczy mogą się zdarzyć, gdy jestem w tak kiepskiej formie.

- Może pan na mnie liczyć - powiedziałem.

Tego dnia nie rozdałem żadnych zaproszeń. Wiedziałem, że nazajutrz będę musiał coś zrobić, bo inaczej może z nas nic nie zostać. Na ulicach panował chaos, ratownicy pędzili ku ministerstwu edukacji, a reszta obywateli uciekała w przeciwnym kierunku. Żołnierze starali się utrzymać porządek, celując z miotaczy płomieni do tłumów, które były bliskie stratowania się nawzajem. Wróciłem do swego mieszkania, zażyłem piękna i leżałem w łóżku, rozmyślając. Gdzieś pośród długiego, narkotycznego snu usłyszałem kolejny wybuch i wygramoliłem się z łóżka, by wyrzucić przez okno. Akademia Fizjonomiki płonąła. Z uśmiechem na ustach ponownie zagrzebałem się w pościeli.

Z nadejściem nocy wstałem i ubrałem się. Na ulicach panował już spokój, choć w powietrzu wciąż unosił się zapach dymu. Ruszyłem tą samą drogą, którą wcześniej prowadziłem Calloo do zachodniej części Miasta. „Dźdźownica” była małym, obskurnym lokalem, który pamiętałem jeszcze z czasów studenckich. Nie, żebym kiedykolwiek tam bywał, ale znałem wielu, którzy to robili. Teraz, zmierzając tam, starałem się trzymać w cieniu i z dala od głównych arterii.

Gdy byłem o kilka przecznic od lokalu, wydało mi się, że ktoś mnie śledzi. Obejrzałem się, ale nic nie zobaczyłem. Ponieważ wciąż nie było wiadomo, co się stało z demonem, a ja utraciłem swój pistolet, czułem się trochę niepewnie. Przyspieszyłem i nie odwracałem się więcej, choć nadal mi się zdawało, że słyszę w oddali czyjeś kroki.

Bar był podupadły i w środku panował półmrok; tylko na kilku stolikach paliły się świece, a nad lustrem za barem wisiała świecąca reklama Zatoki Łysek. W jej świetle siedziało trzech klientów, pijących po cichu i opartych o nieheblowane drewno. Barman drzemał na stołku w kącie pod reklamą Schrimleya. W oddali dostrzegłem siwą czuprynę Deemera. Siedział przy ostatnim stoliku, pochylony nad kieliszkiem wina.

Podszedłem i usiadłem naprzeciw niego. Nie podniósł głowy. Odchrząknąłem, by przykuć jego uwagę, lecz nawet się nie poruszył. Pomyślałem, że zasnął w oczekiwaniu na mnie, więc nachyliłem się i dotknąłem jego ramienia. Wtedy zauważyłem dziurę po kuli w jego koszuli, na wpół ukrytą pod płaszczem. Niemal w tej samej chwili ujrzałem na stole obok kieliszka swój pistolet. Za moimi plecami trzech mężczyźni wstali, szurając krzesłami.

Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z dwoma żołnierzami, którzy trzymali karabiny wycelowane w moje serce. Pomiędzy nimi stał Mistrz, wykonując kciukiem i palcem środkowym znak „o”.

- Ostatnio wydobyto kilka dziwnych przedmiotów ze zbiornika w wodociągach, Cley - powiedział. - Oprócz tego pistoletu znaleźli też płaszcz, który wydał mi się dziwnie znajomy.

- Mogę wszystko wyjaśnić - powiedziałem. Uniósł rękę.

- Ufałem ci, Cley. Dopuszciliem cię blisko siebie, a ty zdradziłeś mnie tak samo jak cała reszta. Gdy przyniesiono mi pistolet i płaszcz, zacząłem rozpytywać o aktualne miejsce twojego pobytu i dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem odwiedziłeś inżyniera. Poszedłem więc do niego ze swymi ludźmi dziś po południu. Moja głowa kompletnie zniszczyła jego pracownię, wcześniej jednak zdążyliśmy znaleźć rewolucyjne pisma. Cała rodzina natychmiast została stracona.

Zerknąłem na bar i zorientowałem się, że barman także nie żyje.

- Może mnie pan zabić - powiedziałem - ale przynajmniej będę umierał ze świadomością, że pan i całe to Miasto też już długo nie pociągniecie.

- Nie dam ci kolejnego urlopu na Doralicji - rzekł. - Myślę, że po prostu wpuścimy ci gaz do głowy.

- Tylko pistolet pana naprowadził? - zapytałem. - Czy też od początku mnie pan podejrzewał?

- Dziwiło mnie, że ani razu nie zapytałeś o dziewczynę. Nie chciałem wierzyć, że coś ukrywasz, ale kiedy dziś przyszli do mnie z tym pistoletem i płaszczem, od razu zrozumiałem - rzekł. - Co planowałaś?

- Nie chodziło mi o pana - odparłem. - Chciałem tylko uratować dziewczynę.

- Szkoda. Wyprowadźcie go stąd - rozkazał żołnierzom. Podeszli i chwycili mnie pod pachy. Gdy ruszaliśmy ku drzwiom, Nadolny złapał się za głowę. Sądziłem, że zaraz będzie miał atak, ale po chwili jakby mu przeszło. Na ulicy czekał powóz.

- Do komory egzekucyjnej! - ryknął Nadolny do woźnicy.

Żołnierze podprowadzili mnie do powozu i jeden z nich otworzył drzwi. W tym samym momencie coś uderzyło go w twarz tak mocno, że puścił moje ramię. Drugi żołnierz uniósł broń, a ja rzuciłem się na ziemię, by zejść z linii strzału. Zdołał wystrzelić jedną kulę w powóz, ale gdy ponownie się złożył, Calloo - a raczej coś, co wyglądało jak Calloo, ale było potwornie spalone i

zawszą sterzczyły mu sprężyny - wyskoczył na niego, złapał za gardło i rozerwał je z taką łatwością, z jaką wcześniej oderwał róg demona. Nadolny błyskawicznie wydobyl z za pasa pistolet, ale potężna pięść była szybsza - grzmotnęła go w twarz, posyłając na ziemię.

Zerwałem się i wskoczyłem na przód powozu, by uniemożliwić woźnicy ucieczkę, ale okazało się, że jest w tym samym stanie co Deemer. Calloo usiadł za mną i położył mi rękę na ramieniu. Mechanizmy w środku trzeszczały i rzeżyły, jakby za chwilę miał się rozlecieć. Spaliła się spora część jego kombinezonu, a cała lewa strona ciała była czarna. Przybył mu kolejny ślad po kuli, może dwa, ale zdawało mi się, że gladiator się uśmiecha. Wydał też z gardła jakiś skrzeczący dźwięk, który uznałem za pozdrowienie.

29.

Zamknąłem Calloo w kabinie powozu wraz z bezwładnym ciałem, zaklinając go, by nie zabijał Nadolnego, który tylko stracił przytomność. Potem przesiadłem się na miejsce woźnicy, wypychając zwłoki na zewnątrz. Wyjąłem bat z uchwytu i zdzieliłem zwierzęta po głowach. Dopiero gdy już pędziły, uświadomiłem sobie, że nie umiem powozić. Ciągnąłem za lejce, próbując zwolnić, ale wyglądało na to, że konie trochę za bardzo wzięły sobie do serca moją pierwszą komendę. Wzięliśmy kilka zakrętów na dwóch kołach i uderzyliśmy tyłem powozu w słup latarni, ale po przejechaniu paru przecznic zdołałem w końcu zmusić zwierzęta, by zwolniły do kłusa.

W gorączce następujących po sobie zdarzeń zdołałem jakoś wykoncypować plan, a może powinienem raczej powiedzieć - wskoczył mi do głowy pewien plan. Odnalazłem lokal, w którym Calloo i ja zatrzymaliśmy się na gumele tamtej nocy, kiedy odkryliśmy kryształową kulę. Musiałem użyć całej swojej siły, by zatrzymać czwórkę koni przy krawężniku przed niewielkim sklepikiem. Gdy tylko się upewniłem, że nie ruszą dalej beze mnie, zeskoczyłem z siedzenia i przebiegłem przez chodnik do drzwi.

Na moje szczęście za ladą stał ten sam mężczyzna co przedtem, członek spisku „o”.

- Witam, panie Cley - rzekł i zrobił znak. Wyciągnąłem rękę poprzez ladę i złapałem go za kołnierz.

- Słuchaj - powiedziałem - potrzebuję dziesięciu kubków kopa. - Obróciłem się i zobaczyłem, że przy stolikach siedzi kilka osób. Znów spojrzałem na sprzedawcę, którego wciąż

trzymałem za kołnierz, i rzekłem: - Powiedz swoim ludziom, że porwałem Mistrza. Jeśli zamierzają cokolwiek zrobić, niech zrobią to dziś. Zrozumiano?

Pokiwał głową. Puściłem go. Natychmiast zabrał się do nalewania kopa do kubków i nakładania przykrywek. Potem ułożył je wszystkie elegancko w kartonowym pudle. Także tym razem nie przyjął zapłaty.

- Do zobaczenia w Wenau! - krzyknął za mną, gdy zmierzałem ku drzwiom.

- Wenau! - zawołał zgodny chór klientów. Wróciłem do powozu i położyłem pudełko obok siebie.

Natychmiast ruszyliśmy z kopyta. Konie sprawiały wrażenie współspiskowców, bo zachowywały się niemal jakby wiedziały, że mają zmierzać ku oczyszczalni ścieków. Po kilku minutach skręciliśmy i moim oczom ukazał się biały marmurowy budynek wodociągów. Zjechałem na lewą stronę ulicy i zatrzymałem powóz przed szarym ułem.

Ledwie stanęliśmy, Calloo wygramolił się z kabiny z przewieszonym przez ramię Nadolnym. Zeskoczyłem z kozła i dołączyłem do niego. Zabrałem pudło z kopem, po czym ciąłem konie batem po głowach. Ruszyły ulicą, ciągnąc za sobą powóz.

Weszliśmy do budynku i szliśmy tą samą trasą co poprzednio. Jeśli wtedy Calloo szedł powoli, to teraz włókł się jak ślimak, rżąc popsutymi mechanizmami. Dotarcie do miejsca, w którym tunel rzeki wypływał na płaszczyznę, zabrało nam całe wieki. Ale nie miałem innego wyjścia jak czekać na niego. Nie mogłem też narzekać, biorąc pod uwagę fakt, że uratował mi życie tyle razy, iż nawet straciłem rachubę.

Szliśmy tunelem, aż dotarliśmy do granicy miejsca, w którym ten otwierał się na betonową komorę, gdzie znajdował się fałszywy raj. Dałem towarzyszowi znak, by położył Mistrza na ziemi. Zrzucił go w taki sposób, że Nadolny siedział wsparty o ścianę. Przykląkłem i zacząłem bić go lekko po twarzy, by się ocknął. Dobrze, że trucizna zawarta w owocu osłabiła go, bo w przeciwnym razie mógłby już spróbować nam się wymknąć za pomocą swojej magii.

Po kilku policzkach i potrząsaniu za ramię zaczął dawać oznaki życia. Gdy tylko zobaczyłem, że otwiera oczy, otworzyłem pierwszy kubek kopa, odchyliłem mu głowę i począłem lać zawartość do gardła. Przerwałem w połowie kubka, bojąc się, że się zadławi. Kiedy próbowałem kontynuować, Nadolny zdążył w pełni dojść do siebie i wypluł na mnie całą porcję.

- Nie ujdzie ci to na sucho, Cley. Moi ludzie są tuż za rogiem. Wystarczy, że zawołam, a zaraz tu będą - powiedział, dysząc ciężko.

- Spróbuj wydać jakikolwiek dźwięk, a mój towarzysz natychmiast zatka ci gębę butem - odparłem. - Jeśli chcesz przeżyć, musisz to wypić. Nim ruszymy dalej, musisz wlać w siebie mnóstwo kopa.

- Wybacz, lekarze mi zabronili - mruknął ze śmiechem, po czym zacisnął usta.

Calloo spokojnie obserwował całą scenę, warcząc i bucząc. Chyba rozumiał coś z tego, co się działo, bo unosił nogę i kopnął Nadolnego w brzuch. Niezbyt mocno, ale wystarczyło, by ten otworzył usta. Wlałem w niego dwa kolejne kubki, nim zdołał znów mnie odepchnąć. Calloo ponownie użył buta i powtórzyliśmy całą procedurę. W końcu Nadolny uspokoił się i, obrażony, bez walki wypił pozostałe kubki.

Gdy skończyłem go poić, zapytał:

- Jaki masz plan? Chcesz mnie oszołomić kopem i zostawić w tym tunelu?

- Nic z tych rzeczy - odparłem. - Jesteś mi potrzebny, by rozbić jajko.

Po tych słowach poleciłem Calloo postawić go na nogi, co ten uczynił z łatwością niedźwiedzia podnoszącego swoje młode.

- Genialne - rzekł do mnie Nadolny.

- Myślisz, że się uda? - zapytałem.

- Obawiam się, że nie zdążysz się dowiedzieć, bo w ciągu kilku minut ty i ten wielki wrak spalicie się na popiół.

- Nie krępuj się - powiedziałem. - Jeśli masz ochotę na migrenę, proszę bardzo.

Z ręką Calloo mocno zacisniętą na karku Nadolnego pokonałszy ostatnich kilka jardów do wylotu tunelu. Wyjrzałem z cienia i zobaczyłem czterech żołnierzy strzegących kuli. Widok fałszywego raję znów wzbudził we mnie podziw.

Żałowałem, że nie pomyślałem o przyniesieniu karabinów żołnierzy z „Dżdżownicy”. Musieliśmy się zbliżyć do kuli bez interwencji straży.

- Jak zrobiłeś to słońce? - zapytałem Nadolnego. Zaczął mi odpowiadać, ale jego słowa przeszły w krzyk bólu. W pierwszej chwili myślałem, że Calloo zbyt mocno ścisnął go za kark, ale okazało się, że to kop zaczyna działać. Żołnierze oczywiście usłyszeli krzyk i zbliżali się, by sprawdzić, co się dzieje. Sparaliżował mnie strach i doznałem dziwnego uczucia, że to wszystko już raz się zdarzyło.

- Czas na ministerstwo skarbu - stęknął Nadolny.

Przez tunel przetoczyło się drżenie, któremu towarzyszył bardzo odległy odgłos wybuchu. Po chwili kilka jardów za nami od ściany odpadły kawałki skały. Siła uderzeniowa nieomal wrzuciła mnie do rzeki. Gdy złapałem równowagę, wyjrzałem i zobaczyłem, że żołnierze zatrzymali się na chwilę, próbując wy badać, co się dzieje.

- Tutaj! - wrzasnął Nadolny.

Usłyszeli go i natychmiast ruszyli do przodu.

Przyciłem się, by wyskoczyć na nich z ukrycia. Nie wiedziałem, co mi to da, ale miałem nadzieję, że unieszkodliwię przynajmniej jednego. Modliłem się, by Calloo był jeszcze w stanie trochę powalczyć.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem kolejny grymas bólu na twarzy Mistrza, który uniósł ręce i schwycił się za głowę.

- Tylko nie mój pałac - wychrypiał.

Poczuliśmy kolejne drżenie, usłyszeliśmy wybuch i po chwili podłoga podziemnej hali strzeliła prosto w górę gejzerami kamieni i pary. Nie wystarczyły, by zabić żołnierzy, ale ich przestraszyły. Uciekli w przeciwnym kierunku, porzucając stanowiska i znikając gdzieś za kulą, ścigani deszczem kamieni sypiących się z sufitu.

Ledwie znikli, dałem Calloo znak, by podprowadził Nadolnego. Ruszyliśmy po dziurawym betonowym podłożu, omijając krater i unikając spadającego z góry gruzu. Nim dotarliśmy do podstawy cudownej konstrukcji, nastąpiły dwa kolejne wybuchy. Mistrz to tracił przytomność, to się budził, a wszystko wokół nas się rozsypywało. Kryształowa kula marszczyła się przy wybuchach jak prawdziwa bańka mydlana, ale nie zauważyłem w niej żadnych pęknięć.

Wewnątrz raju widziałem Arłę i Ea, patrzących na nas. Oboje machali do mnie. Dziewczyna trzymała na rękach dziecko.

- Podprowadź go bliżej! - wrzasnąłem do Calloo. Zamierzałem roztrzaskać mu twarz o kryształową ścianę.

Pobiegłem do przodu i dałem znak uwięzionym, by się odsunęli. Nagle ujrzałem odbicie jaskrawego błysku i odwróciłem się akurat w chwili, w której Calloo wylatywał w powietrze z ogłuszającym hukiem i rozlatywał się w kawałki. Kółka, sprężyny, wirniki i ciało leżały rozrzucone po hali jak konfetti na wietrze. Nadolny zaś upadł twarzą do ziemi, nienaruszony.

Popędziłem ku niemu, nim zdążył się ruszyć, i podniosłem go. Czułem szalony przyływ adrenaliny, która obdarzyła mnie niezwykłą siłą. Pchnąłem go na kryształ i uderzyłem w ścianę

kuli jego głową. Rozległy się trzy kolejne eksplozje, znów marszcząc kulę, lecz jej nie rozbijając. Zauważyłem, że ostatni wybuch był słabszy, i obawiałem się, że wywołana przeze mnie za pomocą kopa reakcja enzymatyczna zaczyna słabnąć.

Ea i Arla obserwowali mnie z wnętrza rajy. Trzymając się roztrzęsionego ciała Nadolnego, by zachować równowagę podczas wstrząsów wtórnych, zauważyłem, że Podróżnik wygląda na bardzo osłabionego. To była moja ostatnia i największa szansa, ale najwyraźniej nic z niej nie wyszło. Postanowiłem po prostu zabić Nadolnego, gdy nagle spostrzegłem, że Arla podała dziecko swemu towarzyszowi, podeszła do granicy i dotknęła jej, jakby mnie zaklinała, bym się nie poddawał.

Tymczasem Mistrz się ocknął i zaczął szamotać, pragnąc uwolnić się z mojego uścisku. Odzyskał dość sił, by się obrócić i zacisnąć palce na moim gardle. Zrobiłem to samo i utknęliśmy tak. On ścisnął mocniej, a ja oderwałem jedną rękę i uderzyłem go w bok głowy. Wtedy jego chwyt na chwilę osłabł, ale wkrótce znów przybrał na sile. Już miałem uderzyć ponownie, gdy ku memu zdziwieniu z jego uszu wystrzeliły niewielkie gejzery płomieni, a z otwartych ust buchnął gęsty dym. To, czego obawiałem się najbardziej - jego magia - odzyskiwało część mocy. Wiedziałem, że zabicie go nie wchodzi już w grę. Jedyne, co mogłem zrobić, to trzymać go mocno, by nie uciekł.

Ścisnąjąc jedną ręką za kołnierz koszuli, drugą za klapę marynarki, przygotowałem się na kolejne sztuczki. Dym się rozwiął, a twarz Nadolnego rozmyła się i przeobraziła w łeb szablozębnego kota, ręce zaś stały się węzami, które jeszcze mocniej opłotły moje gardło. Małe, ciemne ptaki wylatywały z rękawów marynarki i oślepiały mnie, trzepocząc szaleńczo skrzydłami.

- Już jesteś trupem, Cley - odezwała się kreatura głębokim głosem.

To wszystko złudzenie - powtarzałem w myślach, ale mięśnie mojej szyi słabły w miarę jak węże owijały się coraz mocniej. Do płuc przestało docierać powietrze i czułem lekkość w głowie. Coraz słabiej ścisnąłem ubranie Nadolnego.

W końcu ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż tułowia, a on obrócił mną tak, bym stał przodem do kryształu, i uderzył weń moją twarzą, tak jak wcześniej ja uczyniłem z nim. Potem szybko odciągnął mnie i przytknął mi usta do lewego ucha.

- Gdy to się skończy, trochę nad tobą popracuję. Myślę, że Grecie Sykes przyda się partner.

Nie mogłem się skupić, na przemian to tracąc, to odzyskując przytomność. Uniósłszy głowę, zobaczyłem tuż przed sobą, po drugiej stronie przejrzystej granicy, Arłę. Dotykała spodu woalki i choć byłem ledwie żywy, natychmiast zrozumiałem, co chce mi przekazać. Rozluźniłem wszystkie mięśnie w swoim ciele i osunąłem się na kolana, by Nadolny pozostał z nią twarzą w twarz.

Gdy usłyszałem, jak Mistrz zaczyna krzyżeć, wiedziałem, że Arła podniosła woalkę. Węże znów zmieniły się w palce, zwiotczały i puściły moje gardło. Powietrze wokół nas na moment znieruchomiło i w podziemnej hali zapanowała osobiwa cisza. Potem całe pomieszczenie wypełnił dźwięk przypominający grzmot, a po nim rozległ się ogłuszający trask, jakby popękał naraz cały lód na zamrożonej rzece. Wreszcie nastąpił wybuch, który rzucił nami w głąb komory w deszczu odłamków kryształu. Po wylądowaniu przetoczyłem się o kilka kroków i dopiero wtedy znieruchomiłem.

Podniosłem głowę i ujrzałem krocącego ku mnie Podróżnika, który wy dostał się przez dziurę w kuli, wyglądającą jak postrzępione drzwi. Za nim szła Arła z synkiem na ręku. Wtedy straciłem przytomność, a gdy po kilku minutach ją odzyskałem, oboje stali nade mną.

- Przebaczam ci, Cley - powiedziała Arła beznamiętnie z za zielonej woalki.

Podróżnik pochylił się i podał mi rękę, pomagając wstać.

- Odbyłeś daleką podróż - rzekł.

Dojście do siebie zabrało mi trochę czasu, ale gdy już się pozbierałem, zlustrowałem wzrokiem halę w poszukiwaniu Nadolnego. Jakimś cudem udało mu się uciec. Być może kryształ stanowił dostateczną barierę przed straszną bronią Arli, by go ocalić, ale sam nie wytrzymał jej strasznego spojrzenia.

Zdołała go skruszyć, bo miała po drugiej stronie coś, na czym mogła skupić swoją nienawiść. Zastanawiałem się jedynie, czy tym czymś był Nadolny, czyja.

Po drugiej stronie kuli znaleźliśmy wejście do sieci tuneli biegnących pod Miastem i wystartowaliśmy niczym szczury do biegu przez labirynt. Dokonaliśmy niemożliwego, ale teraz czekało nas jeszcze trudniejsze zadanie: musieliśmy wydostać się z Miasta żywi.

W dole wpadliśmy na bandę uzbrojonych spiskowców, którzy poinformowali nas, że na powierzchni toczy się teraz regularna wojna. Nie musieli mi mówić, że Nadolny wciąż żyje, bo od czasu do czasu odczuwaliśmy drżenia, oczyma duszy widząc, jak kolejny fragment cudownej konstrukcji wylatuje w powietrze. Powiedzieli natomiast, że nie można się wydostać z Miasta nie

tylko z powodu mobilizacji wojska, ale także zablokowania drogi przez gruzy po kompletnie zniszczonym ministerstwie terytoriów zależnych. Kazano nam iść w stronę wschodniej granicy Miasta, gdzie wysadzono fragment murów miejskich, tworząc sporą dziurę. Spiskowcy nie mogli nam towarzyszyć, gdyż musieli wesprzeć batalion trzymający pozycje przy wodociągach.

Ku memu zdumieniu wielu spośród nich znało Ea lub słyszało o nim. Gdy bowiem trzymano go w klatce tuż po przywiezieniu do Miasta i w trakcie budowy kuli, rozmawiał z robotnikami. Zniewolił ich swoim spokojem i uśmiechem.

- Pokazał nam, że największą potęgą Mistrza jest nasz własny strach - rzekła pewna młoda kobieta.

Dowiedziałem się, że to właśnie wskutek kontaktu z Ea narodził się pomysł obalenia Nadolnego. To Podróżnik nauczył mieszkańców znaku „o” i opowiedział im o Wenau. Nim ruszyli do bitwy, wszyscy po kolei uścisnęli mu dłoń.

- Powiedział nam, że pan wróci - rzekł jeden z nich. - Mówił, że poszukuje pan raju i że stał się pan innym człowiekiem.

Potem znów zostaliśmy sami w ciemnych tunelach. Starłem się ignorować objawy narkotykowego głodu, on jednak coraz bardziej dawał mi się we znaki. Arla i Ea przez dwa dni opiekowali się mną: Podróżnik karmił mnie słodkimi jagodami z mieszka, który nosił przy pasie. Uśmierzały ból i osłabiały mdłości. Przez cały czas, gdy wraz z potem wydaląłem z siebie resztki ignorancji i strachu, słyszeliśmy wybuchy oraz terkot karabinów, a smród palonych ciał sięgał nawet tutaj.

Trzeciego dnia, choć byłem wciąż roztrzęsiony i chwilami potrzebowałem wsparcia, by iść dalej, wyszliśmy na górę w pobliżu wschodniej ściany. Całe Miasto leżało w ruinach. Wyglądało, jakby nie pozostał w nim żaden budynek, a jedynie góry gruzów, wśród których gęsto słał się trup żołnierzy i mieszkańców, a wszędzie unosił się potworny odór. Przedarliśmy się przez to pobojuwisko i dotarliśmy do wyrwy, o której nam mówiono. Za nią widzieliśmy pastwiska i lasy, które wywołały we mnie wrażenie, że przez cały czas miałem raj na wyciągnięcie ręki. Nadal byłem słaby i oszołomiony od swojej drugiej zwycięskiej walki z pięknem, więc na ten widok po prostu się rozplakałem.

- Cley - odezwał się jakiś głos, gdy zmierzaliśmy ku wolności.

Odwróciłem się i o pięćdziesiąt jardów od nas ujrzałem Mistrza trzymającego smycz, na końcu której szamotała się Greta Sykes.

- To już koniec, Cley. Wszyscy albo umarli, albo odeszli - powiedział. - Od czasu, kiedy jako młody człowiek przybyłem tu przez morze i góry z umysłem niemal pękającym od wysublimowanej rzeczywistości, nie potrafiłem przewidzieć tylko jednego: jak to się skończy.

Jego twarz była teraz maską śmierci, wychudzoną niczym twarz mumii. Nie wiem, skąd brał siłę, by utrzymać wilkołaka.

- Pozwól nam odejść, Nadolny - powiedziałem. - Nie masz już powodu, by nas krzywdzić.

Przez chwilę gapił się w zamyśleniu w ziemię.

- Nie mam nawet czasu, by się wami przejmować, Cley. Jest tyle do zrobienia. Ostatniej nocy miałem nowy sen. Olśniewającą wizję. - Po tych słowach odwrócił się i pokuśtykał z powrotem do swego Miasta.

Gdy znaleźliśmy się na łące po drugiej stronie muru, Ea dotknął mojego ramienia i wskazał niebo ponad dymiącymi zgliszczami. Zobaczyłem tam coś, co wyglądało jak ogromny, kołujący ptak.

- Sęp? - zapytałem. Pokręcił głową.

- Demon odnalazł swój dom - rzekł.

30.

Ci, którzy nie zginęli wraz z Miastem, osiedlili się w dolinie około pięćdziesięciu mil na zachód od Latrobii, w miejscu przecięcia dwóch rzek. Nazywamy je Wenau, choć nie jest bynajmniej Ziemskim Rajem. Ludzie nadal umierają, chorują i bywają nieszczęśliwi, ale samo miejsce jest tak piękne, a mieszkańcy są sobie tak życzliwi, że niekiedy czujemy się jak w niebie.

W tej oto sielskiej dolinie kreślę ostatnie słowa swej opowieści. Mam tu mały domek z ogródkiem na tyłach. Ea nauczył mnie polować z łukiem, zbierać owoce i korzonki. Bardzo się różnię od tego pysznego durnia, którym byłem, gdy przyjechałem do Anamasobii. Po pierwsze, nie boję się już ciemności i najlepiej śpi mi się przy zgaszonych świecach. Być może teraz jestem głupcem w innym sensie - do szaleństwa uwielbiam ciepło słońca i zapach ziemi. Nie dbam już o tytuły czy pozycje, choć w pewien sposób wydaje mi się, że je mam - tu, jako prosty członek tej wiejskiej społeczności.

Pomagamy sobie wzajemnie w przetrwaniu i rozwoju. Pamięć o Nadolnym sprawia, że wzbraniamy się przed posiadaniem rządu. Nikt nie ma większej władzy niż inni. Spory udaje się rozstrzygnąć bez rozlewu krwi, kwitnie handel. Jesteśmy podejrzliwi - może nawet za bardzo - w stosunku do urzędów, które miałyby ułatwiać nam życie, bo zbyt dobrze pamiętamy, ile wolności trzeba poświęcić w zamian za ten komfort. Kto wie, czy przetrwamy w takiej postaci?

Od naszego przybycia tutaj często widywałem Arłę po drugiej stronie pól, pracującą w swoim ogrodzie. Osiedliła się wraz z Podróżnikiem całkiem niedaleko mnie; razem wychowują chłopca. Ma na imię Jarek. Gdy był malcem, w niektóre popołudnia przebiegał przez pole,

zakradał się do mojego pokoju i rozmawiał ze mną, kiedy próbowałem pisać. W końcu musiałem wstać i iść z nim na spacer do lasu albo na ryby nad rzekę.

Podczas tych wędrówek zadawał mi wiele pytań, a i ja nie pozostawałem mu dłużny. Ea nauczył go prastarych sztuk Zarubieży, więc chłopak miał już całkiem dobre pojęcie o używaniu ziół i drzew do leczenia chorób i wywoływania wizji. Podróżnik powiedział mu, że jestem wielkim człowiekiem o ogromnej wiedzy, ale ja czułem, że najlepszym, co mogę mu ofiarować, jest milczące zapewnienie, że to on jest kimś wyjątkowym. Choć mój zapas papieru - który kupiłem od żony ministra skarbu w zamian za swój stary płaszcz - szybko zniknął, wraz z chłopcem używaliśmy go do rysowania obrazków żab, królików i innych mieszkańców pól.

Arla nie chciała mieć ze mną do czynienia. Czasem mijaliśmy się na ścieżce; mówiłem wtedy: „Witaj”, ale jej woalka nawet nie drgnęła. Musiałem się bardzo starać, by te chwile nie zmąciły radości mego nowego życia, ale w głębi serca wiedziałem, że nie mogę oczekiwać niczego więcej. Ea czasami przystawał i gawędził ze mną. Wypytywałem go o raj. Śmiał się i opowiadał mi o czasach sprzed swego długiego snu. Jego opowieści zawsze miały na celu pokazanie mi, że nawet prawdziwe Wenau wcale nie było idealne.

Pewnego dnia zapytałem:

- Czy naprawdę istnieje raj na ziemi?

- Och, tak - odparł.

- Gdzie on jest? - indagowałem. - Jak wygląda?

Oparł swój łuk o ziemię i położył rękę na moim ramieniu.

- Zdążamy ku niemu - rzekł. - Jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałeś.

Od tamtej pory, ilekroć widywałem go przez pole, wołał do mnie: „Jesteśmy blisko, Cley! Jesteśmy prawie na miejscu!”.

Trwało to wiele lat i stało się naszym prywatnym żartem. Często także, wychodząc rankiem na próg, znajdowałem tam zwierzę gotowe do upieczenia lub mnóstwo świeżo zerwanych owoców leśnych i nie miałem wątpliwości, kto je zostawił.

Potem, pewnej nocy, mniej więcej trzy lata temu, chłopak przybiegł do mojego domu. Padało, grzmiało i błyskało, a on walił w drzwi, wołając:

- Cley, Cley!

Gdy otworzyłem, stał tam przemoczony, drżący i najwyraźniej przerażony.

- Co się stało? - zapytałem.

- Ojciec wyjechał na polowanie, a dziecko już prosi się na świat! - zawołał. - Matka posłała mnie po pomoc.

Pognaliśmy przez pole. Gdy dotarliśmy do domu, Arla leżała w łóżku, wijąc się z bólu. Na szczęście zachowałem znajomość fizjologii i anatomii z czasów praktyki zawodowej. W akademii nauczyliśmy się o porodach, wierzyliśmy bowiem, że właśnie w tym momencie tworzy się ludzka fizjonomia.

Ściągnąłem z Arli kołdrę i pochyliłem się. Spomiędzy nóg wystawała mała dziecięca stopka.

- Podaj mi nóż! - poleciłem chłopcu.

Natychmiast przyniósł mi jeden z kamiennych noży swego ojca, równie ostry jak moje skalpele. Gdy trzymałem narzędzie w ręku, ogarnął mnie wielki niepokój. Nigdy nie uznawałem religii, ale muszę przyznać, że w tamtej chwili modliłem się, by znów nie zrobić Arli krzywdy.

Ocknęła się w momencie, gdy stałem nad nią z nożem, i podniosła krzyk Zielona woalka poruszała się jak firanka podczas burzy. Powiedziałem chłopcu, by przytrzymał jej ręce, i choć spoglądał na mnie z pewną obawą, zaufał mi i spełnił polecenie.

Podszedłem do kominka i włożyłem ostrze noża w ogień, podgrzewając je przez kilka sekund w celu sterylizacji. Gdy trochę ostygło, zrobiłem rozcięcie na brzuchu i wydobyłem ze środka niemowlę: ciemnoskórą dziewczynkę o urodzie ojca i temperamencie matki. Do zaszycia brzucha Arli musiałem użyć katgut, który Ea zrobił z jednego z upolowanych zwierząt.

Nigdy w życiu nie czułem się tak potrzebny jak w tamtej chwili - jak gdyby wszystkie moje bolesne przygody i cały nędzny żywot w końcu dotarły do punktu, w którym okazywało się, że moje istnienie czemuś służy. Ea wymyślił dla dziewczynki imię: Cyn. Była szczególnym dzieckiem, bowiem po jej narodzinach twarz Arli powoli i w cudowny sposób poczęła się zmieniać. Do następnego roku wszystkie zniszczenia, jakie poczynił mój skalpel, znikły i nie potrzeba już było woalki, by chronić patrzących. Mimo to Arla nadal nie odzywała się do mnie. Kiedy spotykaliśmy się na targu nad rzeką, spuszczała głowę i mijała mnie w milczeniu.

Ea, ze swej strony, często odwiedzał mnie wraz z Jarkiem i Cyn. Pozwalał mi trzymać dziewczynkę, a czasem uśmiechał się tak, że zadawałem sobie pytanie, czy przypadkiem celowo nie udał się tamtej nocy na polowanie. Szybko jednak napominałem siebie, by nie ulegać niebezpiecznym złudzeniom.

Podczas jednej z takich wizyt Ea oznajmił mi, że następnego dnia wyjeżdżają całą rodziną, by udać się na Zarubieże.

Wiadomość tak mnie zamroczyła, że musiałem szybko oddać mu dziecko i usiąść.

- Dlaczego? - wykrztusiłem.

- Wrócimy - powiedział. - Muszę się wytłumaczyć przed moim ludem.

- Ale oni uważają cię za przestępcę - zauważyłem. - Sam mówiłeś.

Skinął głową i położył mi rękę na ramieniu.

- Musimy to zmienić, Cley - powiedział i odszedł wraz z dziećmi. Spoglądałem za nimi, gdy szli przez pole, i nie mogłem powstrzymać łez. Nim znikli, chłopiec odwrócił się i pomachał mi ręką na pożegnanie.

Tamtego popołudnia, dla ukojenia samotności, opróżniłem dwie flaszki płatków róży, które nabyłem drogą wymiany przed laty, gdy osiedliliśmy się na przecięciu rzek. Zrobiły swoje: późną nocą straciłem przytomność.

Niespokojne sny zawiodły mnie z powrotem na krę, na której konał Moissac, a ja klęczałem przy nim zamiast Beatona. Listkowiec ścisnął mnie lekko za nadgarstek drzewiastą dłonią, mroźny wiatr szczypał w twarz. Za pomocą dotyku Moissac kazał mi rozciąć swą pierś i wyjąć nasienie. Gdy iskra życia w jego oczach zgasła, podniosłem nóż, który nagle pojawił się w moim ręku, i rozciąłem gęste listowie w miejscu, w którym powinno znajdować się serce. Gdy wyciąłem dostatecznie dużą dziurę, krzyknąłem głośno, przekrzykując zamieć, i sięgnąłem w głąb... tylko po to, by się zbudzić i usłyszeć słabe echo zatrzaśniętych drzwi. Słońce wpadało przez jedyne okno mojego domu; na zewnątrz śpiewały ptaki. Usiadłem na łóżku i uniosłem zaciśniętą pięść. Koszmar pozostawił tak silne wrażenie, że potrzebowałem niezwyklej koncentracji, by rozewrzeć palce, lecz gdy to uczyniłem, znalazłem w środku zieloną woalkę, zmiętą w kulkę niczym nasienie z mego snu.